WC ŚWIAT – PO RAZ PIERWSZY

Wojciech Cejrowski w „Do Rzeczy” z cotygodniowym felietonem

Warzecha przestrzega przed „równościową” dyskryminacją na Uniwersytecie Warszawskim

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 37/390 7–13 WRZEŚNIA 2020 CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

W CO DZIŚ INWESTUJE WARREN BUFFETT – JEDEN Z NAJBOGATSZYCH LUDZI ŚWIATA

Semka o pierwszej próbie odsunięcia Wałęsy od szefowania przyszłej Solidarności

JAK IM NIE WSTYD

Ziemkiewicz do obrońców Michała Sz. vel „Margot”: Bierzecie za niego odpowiedzialność

KSIĄDZ ADAM BONIECKI

NACZELNY RABIN POLSKI MICHAEL SCHUDRICH

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829

9 772299 850000 37 >

Nakład: 58 000 egzemplarzy

eprasa.pl dfe5ca67de

Piękno i moc jadą w parze

SIMPLY SAFELY FOR LESS

RENTIS
Smart way to rent a car

+48 720 200 500 www.rentis.pl info@rentis.pl

OGÓLNOPOLSKA WYPOŻYCZALNIA SAMOCHODÓW

BIAŁYSTOK +48 519 535 331 **BYDGOSZCZ** +48 519 535 300 **GDAŃSK** +48 519 535 311 **GORZÓW WLKP.** +48 519 535 327
KATOWICE +48 519 535 301 **KIELCE** +48 519 535 304 **KRAKÓW** +48 519 535 305 **LUBLIN** +48 519 535 318
ŁÓDŹ +48 519 535 308 **OLSZTYN** +48 519 535 314 **OPOLE** +48 519 535 307 **PŁOCK** +48 519 535 334 **POZNAŃ** +48 519 535 303
RZESZÓW +48 519 535 306 **SZCZECIN** +48 519 535 310 **WARSZAWA** +48 519 535 302 **WROCŁAW** +48 519 535 307

eprasa.pl dfe5ca67de

W RZECZY SAMEJ

Wolność i tyrania doczesności

PAWEŁ LISICKI

Kiedy przeczytałem o tym, że australijska policja aresztowała kobietę w ciąży i brutalnie zabrała ją w kajdankach z domu, odciągając ją od innych dzieci i męża tylko dlatego, że na Facebooku wsparła protest przeciw polityce lockdownu w stanie Wiktoria, pomyślałem, że szaleństwo walki z koronawirusem osiągnęło apogeum.

Australia czy Nowa Zelandia nie są wyjątkami – pod sztandarem walki z zagrożeniem epidemicznym wiele państw posłużyło się najmocniejszymi możliwymi środkami. Przymusowa, wielotygodniowa izolacja w domu wszystkich obywateli, ciągłe kwarantanny, ograniczenia, a wręcz zniesienie podstawowych praw obywatelskich – tak wyglądają ostatnie miesiące. Wszystkie te drastyczne posunięcia mają chronić obywateli przed zagrożeniem. Jednak łatwo zauważyć ogromną dysproporcję między użytymi środkami – godzina policyjna, zakaz spotykania się, areszty, wysokie kary pieniężne, zniesienie praktyk religijnych, powszechna inwigilacja, nakaz noszenia maseczek również w przestrzeni publicznej – a faktycznym zagrożeniem. To bowiem, jak podkreśla wielu naukowców, jest znacznie mniejsze, niż początkowo można było sądzić.

Zarówno jeśli chodzi o ogólną liczbę zakażeń wirusem w stosunku do całości populacji w poszczególnych państwach, jak i o śmiertelność wskutek wirusa, nowa choroba, choć groźna, nie może być porównywana do wcześniejszych, znanych z historii wielkich fal dżumy, cholery czy grypy hiszpanki. Co więcej, jak pokazuje przykład Szwecji, być może najlepszym sposobem walki z zagrożeniem był apel do zdrowego rozsądku obywateli i wprowadzane na niewielką skalę ograniczenia. Zdecydowana większość państw – Polska jest gdzieś pośrodku – wybrała inną drogę. Wszędzie tam przeważyło przekonanie, że tylko ostre i radykalne rozwiązania uchronią nas przed armagedonem. O ile trudno teraz powiedzieć, jakie były realne skutki takich rozwiązań, o tyle długotrwałe konsekwencje globalnej wojny z pandemią (a może panpsychozą) są oczywiste.

Pierwszy i najbardziej fatalny to powszechność podejrzenia. Efektem polityki izolacji i powszechnego nakazu noszenia maseczek jest przekonanie, że każdy człowiek jest potencjalnym nosicielem zarazków. Ponieważ państwo toczy walkę z chorobą, której nosicieli nie można od razu rozpoznać, podejrzenie i brak zaufania stają się powszechne. Co ciekawe, przerażeni doniesieniami medialnymi obywatele sami z siebie często domagali się restrykcyjnych rozwiązań. Człowiek to już nie bliźni, ale potencjalny nosiciel zarazków. Byle kichnięcie lub chrząknięcie może doprowadzić do wybuchu paniki.

Po drugie, okazało się, że głównym zagrożeniem dla wolności obywatelskich stają się coraz bardziej tyrańskie rządy ekspertów i specjalistów. Informacje o zagrożeniu, rozdęte do niebotycznych rozmiarów przez media, pozwoliły zastosować politykom środki nadzwyczajne, o których nigdy wcześniej nie myśleli. Połączenie ekspertokracji i masowej demokracji medialnej to mieszanka iście wybuchowa.

Trzecim nowym doświadczeniem jest poznanie ciemnej strony rozwoju technologicznego: współczesne państwo ma nieporównywalnie większą władzę nad swoim obywatelem niż kiedykolwiek w przeszłości. Może go kontrolować i dyscyplinować, może narzucać mu wolę ogółu w stopniu, w jakim nie śniło się to nikomu wcześniej. W imię obrony zdrowia setki milionów ludzi musiało pogodzić się z tym, że każdy ich krok jest sprawdzany. Tym razem państwo posłużyło się technologią dla obrony zdrowia, ale łatwo sobie wyobrazić, że takie środki można zastosować w innych celach.

Po czwarte, można przewidzieć, że zagrożenie chorobą, nawet jeśli w końcu pojawi się mniej czy bardziej skuteczna szczepionka (bo przecież nigdy nie będzie skuteczna w 100 proc.), stanie się w przyszłości stałym uzasadnieniem poszerzania prerogatyw władzy państwowej. W istocie między zagrożeniem spowodowanym koronawirusem a zagrożeniem wynikającym z grypy lub innych chorób wirusowych jest tylko różnica stopnia. Łatwo sobie zatem wyobrazić, że również w przyszłości politycy, zachęceni obecnymi efektami, szybko i łatwo będą sięgali po środki nadzwyczajne. Kult zdrowia i długowieczności, najważniejsze wartości współczesnego społeczeństwa, coraz bardziej poddanego tyranii doczesności, prowadzi je nieuchronnie do pogodzenia się z ograniczeniem wolności. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl dfe5ca67de

TEMAT TYGODNIA

14 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
WSTYD BYĆ TAK GŁUPIM
Osiągnęliśmy dno. Jest nim zaangażowanie liberalno-lewicowej elity w kampanię „solidarności z »Margot«"

49 DODATEK SPECJALNY
IDEOLOGIA LGBT A EDUKACJA DZIECI

KRAJ

18 PIOTR SEMKA
ZAPOMNIANY PUCZ
Jak Jacek Kuroń pokłócił się z Lechem Wałęsą

22 TOMASZ ROWIŃSKI
DYPLOMACJA NA ARENIE

24 ŁUKASZ ZBORALSKI
PANDEMIA URATUJE UCZNIÓW?

26 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
KORONOSCEPTYCY ZE ŚWIECZNIKA

KULTURA

28 TOMASZ Z. ZAPERT
NA CELOWNIKU ARMII KRAJOWEJ
Rozmowa z Krzysztofem Węglarzem

30 PIOTR GOCIEK
KTO PISZE W GŁOWIE DUKAJA

NIE PRZEGAP

32 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

40 ŁUKASZ WARZECHA
UNIWERSYTET RÓWNEJ PŁCI
UW będzie organizował „Tygodnie równości" oraz walczył z „homofobią i transfobią"

42 KS. ANDRZEJ KOBYLIŃSKI
WOJNA O PAMIĘĆ

HISTORIA

46 PIOTR WŁOCZYK
POTWÓR Z NOWEJ ZIEMI
Sowiecka car-bomba miała tak niszczycielską siłę, że sami Rosjanie się jej przestraszyli

ŚWIAT

66 OLIVIER BAULT
SYCYLIA MA DOŚĆ
Mieszkańcy Włoch nie chcą już przyjmowania imigrantów. Rząd przeciwnie – luzuje bariery

EKONOMIA

70 JACEK PRZYBYLSKI
URODZINY WYROCZNI
Warren Buffett skończył 90 lat. Wciąż aktywnie zarządza funduszem inwestycyjnym i nadal szuka okazji do zarobku

O ZDROWIU

76 KATARZYNA PINKOSZ
MAMY 2000 POWODÓW
Na świecie są już dostępne cztery leki dla chorych na mukowiscydozę działające przyczynowo. W Polsce nie ma ani jednego

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ZYCHOWICZ, KOPER (48), PRZYBYLSKI (68), GABRYEL, WARZECHA (72), MAKOWSKI (75), KOMUDA (78), ROSZKOWSKI (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl dfe5ca67de

Drodzy Czytelnicy!

Korespondencję elektroniczną prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Fałszywa epidemia", Mariusz Błochowiak, „DRz" 32/2020

Serdecznie witam!
Z zainteresowaniem przeczytałam tekst red. Mariusza Błochowiaka „Fałszywa epidemia" („DRz" nr 32/2020). W jakimś stopniu pomógł mi w ustosunkowaniu się do tej okropnej pandemicznej rzeczywistości, bo im dłużej ta cała pandemia czy plandemia trwa, tym gorzej radzę sobie ze związanymi z nią emocjami. Coraz bardziej krytycznie patrzę na posunięcia zwalczające wirusa, właściwie defensywne, i zadaję sobie coraz więcej pytań, próbując sobie dookreślić to, w czym się obecnie znajdujemy. Dobrze, że ukazała się wreszcie jakaś naukowa publikacja dotycząca tej całej sytuacji. Oby tylko przebiła się na rynku czytelniczym i żeby ludzie chcieli po nią sięgnąć.

Dlaczego ludzie nie chcą wierzyć niezależnym ekspertom? Ponieważ większość społeczeństwa, nie tylko naszego, jest szczególnie uwrażliwiona na bezpieczeństwo zdrowotne i finansowe, więc łatwo poddaje się zarządzeniom i temu, co się oficjalnie mówi. I nie zależy to od sympatii politycznych. Ja w pierwszym okresie tego zamieszania z COVID-em też temu się poddałam, bo miałam nadzieję, że po kilku tygodniach „siedzenia w izolatce" (jako anglistka powinnam napisać „lockdownie", bo tak brzmi piękniej) to minie i wrócimy do normalnego życia. Tymczasem zaczęło się mówić o jakiejś „nowej normalności", co ja nazwałam w jednej części mojej produkcji „Koronna opowieść" nienormalną normalnością. Na szczęście już nie słyszę w mediach tego dziwacznego terminu. Widocznie rządzący doszli do wniosku, że wywołuje to jakiś dysonans. Wprowadzono obowiązek zasłaniania twarzy i dystans społeczny, co jest zamachem na nasz kod kulturowy. Twarz nie jest do zasłaniania ani w naszej polskiej, ani europejskiej kulturze, a powitania za pomocą łokci też nam nie wpojono. Uczono nas, że na powitanie podaje się dłoń lub po prostu wypowiada się słowo powitania, gdy sytuacja na podanie dłoni nie pozwala. Jak można mówić o budowaniu wspólnoty, skoro mamy się zasłaniać również w przestrzeni sakralnej, a jedni w drugich mają widzieć potencjalne zagrożenie? Ostatnio robi się coraz bardziej opresyjnie, bo wzmaga się kontrole i skłóca się klientów z obsługą sklepów, kierowców z pasażerami itd.

Będąc osobą całkowicie niewidomą, odczuwam to jako pozbawianie mnie tego, co mi jeszcze służy w odbiorze otoczenia, czyli dotyku i węchu. Nie wszystkim to przeszkadza, ale mnie bardzo. Na szczęście jakoś się przez to prześlizguję, ale gdy zapakują nas w przyłbice, bo to chcą zastosować wobec niemogących nosić maseczek, nie wiem, czy będzie mi się to udawało.

Denerwuje mnie ta cała retoryka z tym związana, a argumenty medyczne już zupełnie do mnie nie trafiają. Ciężkim grzechem i przestępstwem jest to, że ludzie chcą zachowywać się normalnie, tak jak zostali wychowani.

Mam nadzieję, że ta publikacja pozwoli rządzącym i ich ekspertom zrewidować to, co robią w związku z wirusem, i przestaniemy mieć do czynienia z tą nieznośną, powalającą i nielogiczną sytuacją.

Nie chcąc już się rozpisywać, serdecznie pozdrawiam całą redakcję i czytelników tygodnika „Do Rzeczy".

Jolanta Fedorczuk, Wrocław

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wiesław Chełmniak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Sandra Skibniewska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także „Super Express").

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **R. Oleksiewicz/Reporter, A. Stępień/Agencja Gazeta A. Chełstowski/Forum; oprac. graf:JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Monika Doroś**, tel. : 508 040 664
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 58 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl dfe5ca67de

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Za Odrą stan Nawalny

Zamach za pomocą nowiczoka na opozycjonistę Aleksieja Nawalnego w Polsce mało kogo zdumiał. Po agresji na Gruzję, zachowaniu Rosji po katastrofie smoleńskiej, po aneksji Krymu i całej serii przypadków zatrucia przeciwników Putina sprawa Nawalnego jest dla nas tylko kolejnym potwierdzeniem agresywnego charakteru polityki Kremla.

Zupełnie inne wrażenie powstaje, gdy się śledzi media w Niemczech. Tam sprawa Nawalnego przykuwa uwagę polityków, a oficjalne potwierdzenie przez laboratoria Bundeswehry faktu zatrucia opozycjonisty trucizną nowiczok wywołało spory szok. I co dla nas równie ważne, otworzyło na nowo dyskusję nad sensem zaangażowania Berlina w projekt Nord Stream 2.

Wyraziste stanowisko zajęli niemieccy Zieloni wskazujący, że zamach na Nawalnego to kolejny argument za pogrzebaniem Nord Stream. Partia ta jednak po pierwsze zajmuje korzystne dla Polski stanowisko już od dłuższego czasu, a po drugie jest w opozycji.

O wiele ważniejszy jest fakt pojawienia się krytyki Nord Stream 2 wśród liderów rządzącej chadecji. Oto Norbert Röttgen, szef komisji spraw zagranicznych Bundestagu i jeden z nieformalnych kandydatów do sukcesji po Angeli Merkel, również połączył sprawę Nawalnego z bałtycką rurą. „Reakcja Zachodu na otrucie Aleksieja Nawalnego musi wyjść poza »obowiązkowe dyplomatyczne rytuały«" – ogłosił Röttgen, występując jako gość magazynu „Tagesthemen", uważanego za subtelny wyznacznik aktualnej linii rządu. „Znowu jesteśmy brutalnie konfrontowani z pogardzającą człowiekiem rzeczywistością reżimu Putina". Polityk chadecji zauważył, że marzenia o strategicznym partnerstwie Niemiec i Rosji powinny zostać teraz „ostatecznie pogrzebane".

Jeżeli teraz dokończony zostałby gazociąg Nord Stream 2, byłoby to zachętą dla Władimira Putina do kontynuacji dokładnie tej samej polityki, bo byłby za nią wręcz nagradzany" – wskazał Röttgen. Dodał, że Niemcy mają wystarczające zapasy gazu, a Nord Stream 2 budowany jest wbrew większości europejskich państw.

Jego wypowiedź stała w wyraźnej kontrze do stanowiska Angeli Merkel, która dzień wcześniej, w czasie wizyty w swoim okręgu wyborczym, potwierdziła zamiar dokończenia kontrowersyjnego projektu. Wielu obserwatorów łączy to jednak z faktem, że właśnie w okolicach Greifswaldu, na terenie okręgu pani kanclerz, rura ma się kończyć i zapewniać pracę paru tysiącom wyborców. Podobno Angela Merkel najbardziej chciałaby, aby odpowiedzialność za koniec gazociągowej epopei wzięły na siebie Unia Europejska wraz z NATO.

Czy wielki show z wysłaniem samolotu ratunkowego do Omska przez Angelę Merkel po zatrutego Nawalnego był wstępem do honorowego wycofania się z rozbudowy Nord Stream? „Die Welt" wskazuje, że wraz z otruciem Nawalnego polityka pani kanclerz się zmienia. „Czy to, co nie do pomyślenia, staje się możliwe?" – pyta dziennik. Jest to możliwe, tym bardziej że Putin na pewno nie zakończy zbyt szybko polityki polowania na wrogów zatrutą herbatką. Akurat w tej kwestii na Władimirze Władimirowiczu można polegać. ©℗

FOT. ODD ANDERSEN/AFP/EAST NEWS

ROSJANIE OTRULI OPOZYCJONISTĘ

Aleksiej Nawalny stał się ofiarą „próby zabójstwa przez otrucie" – oznajmiła kanclerz Angela Merkel, żądając od Moskwy wyjaśnień. Opozycjonistę otruto środkiem z grupy nowiczoków, tym samym, którego użyto w Salisbury przy próbie zabójstwa byłego oficera GRU. „Gruzja 2008. Krym i Donbas od 2014. MH17. Salisbury 2018. Berlin 2019. Navalny 2020. Ile ostrzeżeń potrzebujemy, aby w końcu zorientować się, że mamy do czynienia z wrogim reżimem?" – pytał premier Mateusz Morawiecki. W piątek sprawą zajęło się też NATO. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl dfe5ca67de

dwaj panowie g

Trochę nas bawią te wstrząsające opowieści o tym, jak to Bełata Szydło, niegdyś premier, a teraz europosłanka, trzęsie Zjednoczoną Prawicą na złość Kaczorowi Dyktatorowi i premierowi Mateuszowi, a oni nic nie mogą jej zrobić, bo Bełata będzie kandydatem na prezydenta za pięć lat. Cóż, owszem, słyszeliśmy, że będzie to kobieta. Ale nie Bełata.

Dobrze poinformowane wiewiórki mówią: as w rękawie Naczelnika Państwa nazywa się Małgorzata Wassermann. Kiedy przeminie druga kadencja Andrzeja Sebastiana, ona ma być kandydatem. Co oczywiście nie wszystkich cieszy. Na przykład ZiZou wolałby Bełatę. Ach, ta odwieczna wrogość klanów Ziobrów i Wassermannów…

Ważna wiadomość. Jeśli coś jednego dnia działało, a następnego dnia nie działa, to znaczy, że padło ofiarą sabotażu, zamachu i w ogóle spisku. Powiedzcie to żonie następnym razem, gdy będzie miała pretensje, że się żarówka w przedpokoju przepaliła, albo synkowi, kiedy zapyta, dlaczego mu powietrze z opony w rowerze schodzi. Cóż, my tylko wyciągamy logiczne wnioski z linii obrony Rafcia Trzaskowskiego w sprawie kolejnej awarii Czajki.

Na moje barki spadła odpowiedzialność" – skarży się tymczasem Rafcio Trzaskowski w związku z Czajką. Co za koszmar! Po raz pierwszy w życiu. I co tu robić z tym dziwnym, nieznanym stworzeniem? Jak obłaskawić groźną odpowiedzialność? Karmi się ją marchewkami czy poi mlekiem? Na razie Rafcio zastanawia się nad tym w zaciszu domowym. Pewnie dlatego nie przyszedł na sesję rady miasta, którą sam zwołał w kwestii awarii.

Nie Trzaskowski, nie Czaskowski, ale Czajkowski. Tak Rafcia nazwał w tok efemach red. Chrabota z hajdabomberowej „Rzepy". Za przejęzyczenie przeprosił, ale wiecie, jak to jest. Przejęzyczenia to jedna z dróg, którą prawda wybija na powierzchnię. Tak, słowa „wybija" użyliśmy celowo.

Nikt się nie spodziewał, że cios potężniejszy od przejęzyczenia zada Rafałowi Czajkowskiemu „Wyborcza". A to ona przypomniała, w kontekście szamba, które wybiło do Wisły za sprawą awarii Czajki, że jeszcze niedawno Rafcio, zapraszając do współtworzenia Nowej Solidarności, ogłosił: „Ja wiem, gdzie płynę i co chcę zmienić w Polsce. Jeśli chcecie płynąć ze mną – zapraszam".

Tymczasem wiewiórki w Eine Totalopposition opowiadają, że być może zamiast Nowej Solidarności powstanie coś jeszcze nowszego, ale też Rafałowego. Świetny pomysł. Mamy nawet nazwę. Zamiast „Nowa Solidarność" proponujemy „Stara Zajadłość".

Apropos „Wyborczej" – sensacja, rewelacja! Adam Michnik i jego ferajna po cichu wspierają PiS i Daniela Obajtka! Mamy świadków, którzy opowiadają o tym, jak niedawno zarząd Agory podczas postoju przy autostradzie A1 obżerał się hot dogami na stacji Orlenu. Czekamy na komentarze w tej sprawie. Zwłaszcza europosłanki Spurek.

Skoro już o mediach, to może niekoniecznie tylko o drukowanych. Wiewiórki opowiadają, że niezależnie od nowej konfiguracji rządu oraz okrzyczków amerykańskiej namiestnik w Vistula County na pierwszy ogień pójdzie dekoncentracja mediów. Ma być ostro i konkretnie. Po europejsku.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Tymczasem w Europie narasta przeświadczenie, że media w Polsce są prześladowane przez władzę, głodzone i torturowane. Owszem, mamy na to dowód. „Pozostawiam firmę w doskonałej formie. W 2020 roku TVN osiągnął rekordowe udziały rynkowe, jest w dobrej kondycji finansowej" – ogłosił odchodzący z roboty prezes TVN Piotr Korycki. Domyślamy się, że napisał to pod groźbą waterboardingu ze strony siepaczy Krwawego Maria Kamińskiego.

Ważyły się losy przyszłości Peezelu. Daleko od Warszawy, w pięknym województwie lubuskim. Dwa tygdnie temu zarząd województwa nie dostał absolutorium i droga do zmiany władzy była otwarta. Stawką było nie tylko lubuskie. Gdyby koledzy z Peezelu postanowili porzucić PeŁo w Lubuskiem, miał to być początek ogólnokrajowej koalicji samorządowej z PiS. Niestety, zieloni bracia zmarnowali szansę. Po raz kolejny. Ale wiecie, w polityce jak w piłce – niewykorzystane okazje się mszczą.

Już tłumaczymy, jak się niewykorzystane okazje zemszczą w pierwszej kolejności. Otóż tak oto w Lubuskiem oraz paru innych sejmikach zdecydował się los stolicy i województwa mazowieckiego oraz ostatniego wielkiego bastionu Peezelu, czyli władztwa Struzika Adama. Jeszcze niedawno opcja pokojowego współistnienia leżała na stole. Teraz jest tam już tylko projekt wydzielenia Warszawy z mazowieckiego, stworzenia nowego województwa i rzezi powszechnej działaczy Peezel.

Na koniec lekcja historii. Nie rozumiemy wrzawy, którą wywołało stwierdzenie Joanny Scheuring-Wielgus z Eine Totalopposition, że podczas studiów walczyła z komuną. Wytknięto jej zaraz, że jak to, że przecież studiowała w latach 90. No i co z tego? Oznacza to tylko, że Joanna jest jak Jarosław Kaczyński albo Mario Kamiński. Oni też w latach 90. walczyli z komuną. Gdyż, drogie dzieci, mieliśmy naonczas PRL-bis albo RPRL, jak mówią inni. Właściwe pytanie brzmi więc nie: „Jak mogła wtedy walczyć z komuną?", lecz: „Dlaczego dziś z nią nie walczy?". ©℗

eprasa.pl dfe5ca67de

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Credo warchoła

Gdy powtarzałem swą ocenę Donalda Tuska, dokonaną w „Pysze i upadku" – że tak żałosna kreatura nie rządziła Polską od czasu gen. Zajączka – nawet od ludzi generalnie podzielających moje poglądy słyszałem często: „Przesadzasz!". „To co powiesz o Gomułce i reszcie?" – pytali. Ano, mówiłem, że im jednak o coś chodziło. Że Gomułka potrafił postawić się samemu Chruszczowowi, i to gdy na Warszawę szły sowieckie tanki, że nawet za Jaruzelskiego władze PRL potrafiły po katastrofie iła zaprzeczyć oficjalnej sowieckiej wersji „winy pilotów" i doprowadzić do rzetelnego śledztwa, które wykazało, że zawiodła przodująca sowiecka technika. Tusk, jako premier wolnej Polski należącej do NATO i UE, w analogicznej sytuacji skwapliwie oddał śledztwo Putinowi i zgodził się na wszystko, a nam oznajmił, że „przecież wojny Rosji nie wypowie", myśląc tylko o tym, żeby jego kariera nie doznała uszczerbku.

Wszystko, co zawsze o tym człowieku mówiłem, potwierdził nieświadomie on sam w niedawnym wywiadzie dla „Polityki". Jest to popis politycznego cynizmu, zupełnie bezwstydny wykład, że cel w polityce jest tylko jeden: wdrapać się na wysoki stołek po to, by się z niego wdrapać na jeszcze wyższy stołek.

„Platforma musi codziennie skakać PiS do gardła. Nie bać się twardej konfrontacji, nie paktować z władzą" – radzi na przykład Tusk. Trudno o bardziej dobitne wzgardzenie korzyścią państwa i społeczeństwa, o bardziej demonstracyjne odrzucenie jakiegokolwiek dobra wspólnego. Dla Tuska Polska nie jest żadnym wspólnym domem. Jest sienkiewiczowskim „czerwonym suknem", które trzeba wyszarpać całe, aby sobie z niego zrobić królewski płaszcz. Żadnej współpracy, cokolwiek oni zrobią, my zawsze musimy być przeciw, zawsze pchać kij w szprychy i szkodzić. Im gorzej w państwie, im gorzej Polakom – tym dla nas, jako opozycji, lepiej.

Niestety, tę naukę przekazał Tusk swoim uczniom, stąd jawnie głoszona formuła „opozycji totalnej" i zanik w niej elementarnego instynktu państwowego. Tak dojmujący, że kibicująca przecież PO i wielbiąca Tuska „Polityka" nawet nie zauważyła, jak bardzo ich obnażyła. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Pedoseksualizm en marche!

We Francji co roku prawie tysiąc dziewcząt niemających 15 lat zachodzi w ciążę. Rząd republiki postanowił zareagować po swojemu, zapewniając darmowy dostęp do antykoncepcji najmłodszym dziewczynkom. W ojczyźnie „praw człowieka" pedoseksualna polityka nie zwalnia rozpędu.

Czas byłoby zagrzmieć o „łamaniu praw człowieka"! Zgodnie bowiem z ideologią praw człowieka, gdy prawa te są łamane, milczeć nie wolno. „Prawa człowieka" nie tylko nie mają granic, lecz także nie wolno im nawet takich granic wyznaczać. No więc nadstawmy teraz uszu i słuchajmy protestów, a przekonamy się, czy ochrona najmłodszych przed pedoseksualną polityką i propagandą do owych „praw człowieka" należy.

Trochę już na ten temat wiemy. Posłowie naszej opozycji głosowali w Sejmie przeciw ustawie „Stop pedofilii". Argumentowali to troską o prawo organizacji „seksedukatorskich" do nieskrępowanej działalności w szkołach. A gdy opozycję wsparł w tym Parlament Europejski, uchwalając otwarcie pedoseksualną rezolucję, posłowie większości nie chcieli poprzeć zgłoszonej przez Dominikę Chorosińską uchwały, broniącej Polski i potępiającej skandaliczną brukselską prowokację. Tłumaczyli to względem najwyższym – wolą partii.

Tymczasem francuskie ekscesy to jeszcze jeden sygnał o potrzebie powołania w Sejmie przynajmniej podkomisji ds. przestrzegania praw człowieka w Unii Europejskiej i jej państwach. Nie dla postulowania – ani potrzebnej, ani realnej – ingerencji, ale dla dokumentowania stanu rzeczy, periodycznego publikowania raportów na wzór Kongresu USA, a także notyfikowania obojętności instancji unijnych. Opis przestrzegania praw podstawowych najlepiej, bo najbardziej obrazowo, wyjaśnia kompetencje władz Unii i jej państw do udzielania innym nauk na temat „praw człowieka". Niestety, postulat powołania podkomisji pozostaje niezrealizowany od pięciu lat i obciąża konto zaniechań władzy. Najwyższy więc czas to naprawić. ©℗

eprasa.pl dfe5ca67de

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Banksy i inni

Światowej sławy brytyjski artysta Banksy ufundował stateczek ratowniczy, który teraz pod niemiecką flagą przywozi Włochom w prezencie to, czego im najbardziej potrzeba – migrantów z Afryki.

Tak w każdym razie wynika z wypowiedzi równie znanego fotografika Oliviero Toscaniego (m.in. kampanie reklamowe Benettona): „Łódź Banksy'ego? Chciałbym mieć tyle pieniędzy, żeby ufundować statek. Najlepiej jakiś wycieczkowiec firmy Costa Crociere [biorą na pokład 3–6 tys. turystów – przyp. P.K.], który zabierałby migrantów z Afryki do Europy. Naszą przyszłość zbudują imigranci. To nasze szczęście i wielka okazja. Artyści powinni to pojąć jako pierwsi".

Równocześnie niemiecki statek niemieckiej organizacji pozarządowej „Sea Watch", finansowanej przez niemiecki Kościół ewangelicki, przywiózł na Sycylię blisko 400 migrantów. Komentarze włoskich internautów pod tymi doniesieniami niespecjalnie nadają się do cytowania. Generalnie wynika z nich jednak, że z Afryki do Włoch przypłynęło 700 tys. migrantów, i już wystarczy. Proszą Banksy'ego, żeby pasażerów swojego stateczku ugościł w swoim ogródku w Wielkiej Brytanii. Toscaniemu radzą, żeby się nie załamywał, odkładał na wycieczkowiec, a w międzyczasie zaprosił do domu kilku przybyszów z Afryki. Trudno też im pojąć, dlaczego arcyniemiecki „Sea Watch" wolał 11 dni czekać u wybrzeży Sycylii, zamiast popłynąć z migrantami do Hamburga. Przecież zdążyłby obrócić co najmniej dwa razy.

Ponad połowa migrantów, którzy w tym roku przypłynęli do Włoch, to Tunezyjczycy. Nie uciekają przed wojną ani prześladowaniem. Jak już zapowiedział szef włoskiego MSZ, zostaną wydaleni. Nie tak szybko, moja rybko. „Trzeba przestrzegać praw unijnych i międzynarodowych" – upomniała Italię Komisja Europejska. Wszyscy Tunezyjczycy mają prawo złożyć podanie o azyl, a potem się od decyzji odwołać. Może to trwać dwa lata. W tym czasie wszystkich przybyszów, włącznie z tunezyjską damą, która przypłynęła własną motorówką z własnym pudelkiem, utrzymywać będzie włoski podatnik. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

CZYTAJ TAKŻE O WŁOSKIM PROBLEMIE Z IMIGRANTAMI NA STRONIE 66

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Potyczki z historią

Chociaż minęło 81 lat od wybuchu drugiej wojny światowej, to wydaje się, że to nadal za mało, aby ustalić podstawowe fakty. Na przykład: kto kogo napadł. „Pamięć pierwszego września nie jest własnością PiS. Nazistowskie kule nie rozróżniały, czy ktoś jest lewicowy, czy prawicowy. Wierzący czy niewierzący. Poglądy nie miały znaczenia, mordowano jak leci. Wyciągnijmy z tego wreszcie wnioski. Albo będziemy razem, albo nas nie będzie" – napisał Szymon Hołownia.

Pochodzenie tajemniczych „nazistowskich kul" szybko zainteresowało badaczy. „Mój dziadek walczył w 1939 r. z Niemcami. Niemcy wzięli go do niewoli. Niemcy wysłali na przymusowe roboty do fabryki. Potem Niemcy wysłali go do pracy u bauera. Z Niemiec wrócił, jak Niemcy przegrali wojnę. Nigdy nie mówił o nazistach, zawsze mówił: Niemcy nas zaatakowali" – ujawnił Paweł Lisiecki.

A co z poglądami? „Poglądy miały znaczenie. Przynajmniej w pierwszych dniach. Niemcy po wejściu do Poznania nie wyłapywali, nie osadzali w obozach, nie eksterminowali »jak leci«. Skupili się na powstańcach wielkopolskich i ich rodzinach, ziemianach i klerze katolickim. Wielkopolskiej inteligencji" – przypomniał mroki dziejów Wojtek Wybranowski.

Szymon Hołownia pozostał jednak niewzruszony. „Komentarze pod ostatnim tweetem boleśnie ilustrują to, co w nim napisałem. Upamiętniamy dziś jedną z największych tragedii, jaka wydarzyła się w dziejach Polski. Dla was to jest moment, żeby skakać do gardła? Bo nazwałem niemieckich zbrodniarzy nazistami?" – zapytał kandydat na prezydenta, sam sobie przyznając rację.

Radykalnie zmieniając temat, przenieśmy się do współczesnej Warszawy. „Nie wierzę w teorie spiskowe, ale to dziwne, żeby Rafał Trzaskowski miał aż tak wyjątkowego pecha, żeby dosłownie chwilę przed uroczystą zapowiedzią ruchu Nowa Solidarność doszło do kolejnej awarii Czajki..." – zastanawiał się Jacek Nizinkiewicz. A jednak zamach. Czyż historia nie jest największym ironistą świata? ©℗

eprasa.pl dfe5ca67de

BIDA, AŻ PISZCZY

Maryla Rodowicz ubolewa, że przez pandemię musi żyć biednie jak nigdy dotąd. To dla niej nowa i zaskakująca rzeczywistość, ale jakoś daje sobie radę. Chociaż narzeka, że jest ciężko. – Trzeba zaciskać pasa jak nigdy. Przez ten kryzys uczę się doceniać wartość pieniądza. Bywa, że jestem pod kreską. Są jednak wydatki, których nie uniknę: opłaty związane z domem, pensje dla ludzi, których zatrudniam, jestem na diecie pudełkowej, więc to też sporo kosztuje, wprawdzie mniej, niż jakbym sama wszystko kupowała i gotowała, ale sumka na koniec się zbiera – żali się piosenkarka. Dodaje, że w ramach oszczędności musiała ograniczyć zakupy nowych ciuchów, nie jeździ też na wakacje. – Ukróciłam budżet na ciuchy. Trzy lata nie byłam na wakacjach – wylicza. – Ale na szczęście mam 3 tys. mkw. lasu – dodaje z ulgą. No, w takiej biedzie to można żyć!

ALE SIARA!

Tymczasem celebrytka, eksmodelka Viola Kołakowska, nadal prowadzi swoją misję uświadamiania ludziom, że pandemii nie ma, a koronawirus nie istnieje. Tym razem odniosła się oczywiście do rozpoczęcia roku szkolnego i pochwaliła się tym, że jej dzieci poszły do szkoły bez maseczek. – Słuchajcie, hit wam muszę powiedzieć. Mój syn poszedł do pierwszej klasy, wszystkie dzieci miały maseczki, mój syn nie. Już się jeden ojciec

FOT. VIPHOTO/EAST NEWS

do nas doczepił, mówił, żeby się trzymać od niego półtora metra. To już zaczęła się robić gorąca atmosfera... – relacjonowała pierwszy dzień swojego syna w szkole. – To nie jest państwowa szkoła, więc jest to zalecenie, a nie obowiązek – dodaje. – Mój syn jakoś dobrze sobie z tym poradził, ale moja córka właśnie do mnie zadzwoniła. Pani dyrektor ponoć powiedziała, że dzieci muszą mieć maseczki, a jak nie będą miały, to nie mogą do siebie mówić. Zaraz mam zamiar do pani dyrektor zadzwonić – poinformowała. Ależ żal nam tych jej dzieci. Nie dość, że im matka siarę w szkole robi, to jeszcze potem dokłada w Internetach. Nie zna litości.

FOT. PAWEŁ GROMADA

STRUMIEŃ EDZI

Tymczasem Edzia Górniak postanowiła odnieść się do sytuacji osób LGBT w Polsce i na świecie. Jej zdaniem wszystkie konflikty na tym tle są sztucznie prowokowane. I to właściwie jedyne zdanie, które dało się wyłowić z tego strumienia świadomości, który wylała w rozmowie z portalem Pudelek. – To są sztucznie wywołane konflikty. Każdy ma prawo do własnej oceny, do własnej świadomości. Jeśli ktoś myśli, że mógłby decydować za innego człowieka, to tak, jakby chciał się postawić na miejscu Boga. Nikt nie zajmie miejsca Boga, chciałam to przypomnieć. Nie bez przyczyny jest tyle ciemności na świecie, ile jest jasności. Jeśli damy się sprowokować, to przegramy. W spokoju siła – powiedziała. Dodała też, że „to jest ciężki czas dla ludzi, z którymi się przyjaźnię". – Jest mi wstyd za to, że człowiek, który nie jest z gay community, mógłby się odwrócić od drugiego człowieka. Jaki jest powód, ludzie? Miecz można podnieść, jak ktoś chce bić bezbronne dziecko lub uśmiercić zwierzę. Ludzie wymyślają bzdury – dodała. Z tym ostatnim zdaniem zgadzamy się najbardziej. Zwłaszcza gdy słuchamy Edzi.

PRYWATNOŚĆ OCHRONIONA!

Celebrytka Ania Wendzikowska w wywiadzie dla magazynu „Flesz" ujawnia kulisy rozstania z ojcem swojej drugiej córki. Tłumaczy też, dlaczego o rozstaniu poinformowała cały świat za pomocą filmiku wrzuconego do sieci. – Nagranie tego filmu było trudne, bo musiałam odsłonić więcej, niżbym chciała, i powiedzieć o czymś, co mi nie wyszło. Z drugiej strony czułam, że jeśli tego nie zrobię, sytuacja będzie poza moją kontrolą i zacznie żyć swoim życiem – wyjaśnia. – Może zabrzmi to absurdalnie, ale zrobiłam to, żeby ochronić prywatność – podkreśla. Bo wiadomo nie od dziś, że najskuteczniej chroni się swoją prywatność, opowiadając o niej w Internecie. A potem jeszcze koniecznie w wywiadach. ©℗

eprasa.pl dfe5ca67de

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, iż mija już pół roku, odkąd korporacje przeniosły się do domów, postanowiliśmy skorzystać z socjologicznego zacięcia i przygotowaliśmy psychozabawę pod hasłem „Jakim pracownikiem/czką zdalnym jesteś", iżbyście się dowiedzieli, jakiego rodzaju pracownikiem/czką jesteście:

1) Dzień zaczynasz od:
a) przeklinania w myślach
b) gorączkowego sprawdzenia e-maili i biegunki ze stresu
c) spokojnie dopijasz ostatnie piwo i idziesz spać
d) zbilansowanego śniadania, ćwiczeń fizycznych, medytacji i „Wyborczej"
e) sprawdzenia statystyk nowych zakażeń koronawirusem i obejrzenia wypowiedzi przynajmniej trzech ekspertów z dwóch różnych szpitali

2) Home office to dla Ciebie przede wszystkim:
a) jest, jak jest, na chooy drążyć temat
b) czas, kiedy niezauważenie przestałeś/łaś mieć życie prywatne
c) okazja, żeby przez trzy kolejne dni nie zmieniać bielizny
d) maraton nowych wyzwań i wspinaczka na szczyty kariery
e) nieustający czas kompulsywnego wyrażania histerii

3) Na obiad w home office wybierasz:
a) obojętnie, jedzenie i tak nie ma sensu
b) garmażerkę z dyskontu, bo taski czekają
c) kawa, papieros, może piwko do tego
d) starannie skomponowaną sałatkę z wykorzystaniem kiełków sushi z własnej balkonowej hodowli
e) coś ostrego i wyrazistego, aby upewnić się, że nie straciłeś węchu i smaku

4) Home office nauczyło Cię przede wszystkim, iż:
a) nie ma takiego dedlajnu, którego nie da się przekroczyć
b) można pracować 20 godzin na dobę za takie same pieniądze jak za osiem
c) nie ma zakresu odpowiedzialności, który byłby dla Ciebie zbyt wąski
d) każdego dnia jest Ci łatwiej być najlepszą wersją siebie bez znajomych z open space'a
e) potrafisz zmienić zdanie na temat koronawirusa przynajmniej dwa razy na godzinę, jednocześnie realizując taski i zamartwiając się do granic psychicznej wytrzymałości

5) Gdy tylko będziesz mógł/mogła wrócić do biura, to:
a) wszystko jedno, gdzie będę przekraczać dedlajny
b) wstawię sobie leżankę i nocną szafkę
c) zmienię bieliznę i wystąpię o podwyżkę
d) zapytam, co mogłem/am zrobić lepiej
e) kupię kilka masek z filtrem FFP3 i nie będę dotykać niczego w tramwaju

ODPOWIEDZI:

Najwięcej a) Życie nauczyło Cię, iż nie warto się czymkolwiek ekscytować, bo zawsze może być gorzej, a rzadko kiedy lepiej. Home office mógłby dla Ciebie być okazją do podróży w głąb siebie, ale nie lubisz podróżować. Nauczyłeś się brać życie takim, jakim jest, bo inaczej Ci się nie chce.

Najwięcej b) Masz wyrzuty sumienia, iż pracujesz za mało wydolnie i boisz się upadku firmy. Celowo wysyłasz e-maile o trzeciej w nocy, iżby pokazać, że Ci zależy. Jesteś dumny z bycia częścią korpo i chętnie dopłaciłbyś do możliwości pracy, nawet jeśli nikt tego od Ciebie nie oczekuje.

Najwięcej c) Zawsze miałeś się za dekadenta, ale znajomi uważają Cię za abnegata. W sumie oba słowa Ci się podobają. Co prawda, masz już więcej niż 30 lat, ale nadal licytujesz się z kolegami po weekendzie na liczbę wypitych warek. HR Cię nie zwalnia tylko dlatego, iżby nie przyznać się do pomyłki.

Najwięcej d) Podczas home office'u odbyłeś/łaś kilka szkoleń z coachingu i rozwoju osobistego. Starasz się być najlepszą wersją siebie, ale to wciąż mniej niż najsłabsza wersja kogoś innego. Często wizualizujesz sobie swoje marzenia i zawsze wychodzi nowy opel astra w leasingu i żeby nie bolało już w krzyżu.

Najwięcej e) Żyjesz pandemią, a Twoje FOMO nie pozwala Ci skupić się na pracy. W efekcie wiesz o COVID więcej, niżbyś chciał, ale jesteś do tyłu z taskami. Od środków dezynfekujących zeszła Ci skóra na rękach, ale to nic, bo i tak nawet w domu zakładasz rękawiczki. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Jak działa pociąg

Jacek, ty masz prawo jazdy, prawda?
Tak, Jarku, mam. Przecież kiedyś cię wiozłem nawet, pamiętasz?
No faktycznie. Znaczy się – jak drogi wyglądają, to wiesz. Pociągiem jeździsz?
Zdarza się, ale nie za często. Jednak autem głównie.
Ale tak kojarzysz mniej więcej, jak ten pociąg działa? W sensie... no, w ogólnym sensie?
Że jak lokomotywa pracuje?
Nie, już bez szczegółów. O takie ogólne działanie kolei mi chodzi. Jak z tymi torami jest, wagonami i takie tam.
Kojarzę, jasne. Wagony są na wózkach, wózki mają osie, na osiach koła, nawet wiem, że lokomotywy są elektryczne i spalinowe, te elektryczne mają na dachu pantografy, to się fachowo „odbierak prądu" nazywa, no i te starsze to mają kierownice, ale te kierownice są nie od kierunku jazdy, tylko...
Dobrze, dobrze, już widzę, że masz wiedzę wystarczającą. Czyli jak ci dołożymy do aktywów infrastrukturę, to dasz radę pociągnąć?
Ja wszystko dam radę, jak mnie poprosisz...
A czekaj... w razie czego, ale to tak tylko na wszelki wypadek pytam, bez zobowiązań: Statkiem płynąłeś kiedyś? ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Chrześcijaństwo jest zbyt poważną sprawą, by zostawiać ją w rękach polskich katolików"

MICHAŁ SZ. (PS. MARGOT), *aktywista LGBT, w wywiadzie dla „Vogue'a"*

eprasa.pl dfe5ca67de

„Rodowe srebra” zostały w Polsce

Za nami 42. edycja Polskiego Narodowego Pokazu Koni Arabskich Czystej Krwi oraz 51. Aukcja Koni Arabskich w Janowie Podlaskim Pride of Poland. Współorganizatorem wydarzenia był KOWR, który sprawuje nadzór m.in. nad stadninami koni, które znajdują się w wykazie spółek o szczególnym znaczeniu dla gospodarki narodowej. Ten rok był wyjątkowo trudny i pełen wyzwań organizacyjnych z powodu trwającej już od paru miesięcy pandemii i związanych z nią restrykcjami. Niewielu wróżyło powodzenie tegorocznej aukcji koni, ale dzięki profesjonalizmowi instytucji zaangażowanych w organizację wydarzenia, w tym Krajowego Ośrodka Wsparcia Rolnictwa, zarządzanego przez doświadczonego menedżera Grzegorza Piętę, udało się, mimo wielu niechętnym kibicom, odnieść spektakularny sukces zarówno organizacyjny, jak i biznesowy. Nie bez znaczenia były determinacja i wiara w powodzenie tegorocznego wydarzenia Jana Krzysztofa Ardanowskiego, ministra rolnictwa i rozwoju wsi, który przekonywał, że to, co dobre, profesjonalne i robione uczciwie w oparciu o najwyższe standardy pracy i rzetelność, samo się obroni. Tegoroczna aukcja koni arabskich jest tego namacalnym dowodem. Praca zespołowa dyrektora generalnego Grzegorza Pięty i Tomasza Chalimoniuka – prezesa Polskiego Klubu Wyścigów Konnych – przy pełnym zaufaniu Ministerstwa Rolnictwa musiała przynieść sukces. Zarażeni ideą sukcesu i zmotywowani przez dyrektora generalnego Grzegorza Piętę pracownicy KOWR i podległych spółek tej instytucji po raz kolejny dali dowód, że zaufanie przełożonego i jego wsparcie to najlepsza droga do sukcesu. „Rodowe srebra” zostały w Polsce, a wynik finansowy tegorocznej aukcji był rekordowy. Perfinka ze stadniny w Białce –klacz sprzedana za 1,250 mln euro do Arabii Saudyjskiej – to niewątpliwe rekordzistka. Odliczając prowizję dla prywatnego pośrednika i przeliczając kurs walut sprzedanej w 2015 r. klaczy za 1,4 mln euro, Perfinka przyniosła większy przychód niż ta sprzedana w 2015 r. A przecież ma znaczenie, czy zyski wypracowane ciężką pracą wszystkich zatrudnionych w spółkach KOWR zostaną na miejscu czy pójdą w ręce prywatnego pośrednika, który nie miał nic wspólnego z codzienną mozolną pracą budującą ten sukces. Bo niewątpliwie to sukces. W tegorocznej aukcji Pride of Poland oraz Summer Sale sprzedano łącznie 25 koni za sumę blisko 1,8 mln euro, to wyższa kwota niż w ubiegłym roku, mimo zasadniczo trudniejszych warunków i okoliczności, a aukcję przez Internet oglądało ponad 80 tys. osób z całego świata. Nie bez znaczenia pozostaje to, że minister rolnictwa i rozwoju wsi Jan Krzysztof Ardanowski przyznał dla najlepszych hodowców koni nagrody ufundowane m.in. przez KOWR. Nagrody te rozłożyły się niemal po równo między prywatne i państwowe stadniny. Dostali je najlepsi – bez względu na poglądy czy strukturę własności, bo zdaniem ministra Jana Krzysztofa Ardanowskiego i Grzegorza Pięty, dyrektora generalnego KOWR, ciężką pracę należy szanować i nagradzać, a hodowla koni niewątpliwie do takich należy. Organizacja i przebieg zarówno Narodowego Pokazu, jak i Aukcji Koni Arabskich w Janowie Podlaskim to dowód w pełni profesjonalnej pracy wszystkich zaangażowanych osób i instytucji, które brały w tym udział. To także namacalny dowód systematycznej i konsekwentnej realizacji założonych sobie celów przez dyrektora generalnego KOWR, aby spółki podległe przynosiły coraz większe zyski i były coraz bardziej profesjonalne w swoich działaniach. Ten cel udaje się osiągać. Do zobaczenia na kolejnych edycjach wydarzenia, które będą również sukcesem, mimo że poprzeczka zawieszona jest wysoko.

MATERIAŁ POWSTAŁ WE WSPÓŁPRACY Z KOWR

eprasa.pl dfe5ca67de

KUPUJ CO POLSKIE*

co tworzy wartość dla polskiej gospodarki

Polskie **owoce** i **warzywa**,
nabiał, **mięso** i **wędliny**.
Polskie **marki**, polskie **produkty**
wytwarzane, przetwarzane
lub konfekcjonowane w Polsce.

Kupuj to, co rodzi się
we współpracy
z przedsiębiorcami w Polsce,
co pozwala tworzyć
tysiące miejsc pracy i pomaga
w rozwoju naszego kraju.

Dowiedz się więcej na biedronka.pl/kupujcopolskie

Biedronka
Codziennie niskie ceny

*Szczegóły i regulamin na www.biedronka.pl

FOT. JULIA ZABROCKA/FORUM

Wstyd być tak głupim

eprasa.pl dfe5ca67de

Rafał A. Ziemkiewicz

Osiągnęliśmy dno. Jest nim masowe zaangażowanie liberalno-lewicowej elity w kampanię „solidarności z »Margot«"

Liberalne salony przyzwyczaiły nas już do lamentów, że przestano je podziwiać, szanować i ich słuchać. Są to lamenty tyleż głośne, co jałowe, bo niewychodzące poza intensywne przeżywanie konstatacji, że elity są mądre, a pospólstwo głupie. I dlatego woli ono prymitywne kłamstwa „populistów" niż wymagające wyrafinowania wywody ludzi „oświeconych".

Salony nie zadają sobie oczywistego pytania: Dlaczego w takim razie przez długi czas – w świecie zachodnim co najmniej pół wieku – cieszyły się rosnącym z czasem posłuchem i utraciły go dopiero stosunkowo niedawno? Czyżby pospólstwo kiedyś było mądre i zgłupiało dopiero teraz? Czyżby dawniej nie było populistów? Każda z możliwych odpowiedzi na to pytanie wiedzie do wniosku, że to nie w domniemanej głupocie pospólstwa ani nie w rzekomej demagogii „populistów", ale w samych liberalnych elitach tkwi problem. Jeśli sprawowały niepodzielnie „rząd dusz" i dopuściły do tego, że społeczeństwa masowo zgłupiały, to widać coś im poszło nie tak z niesieniem „kaganka oświaty". Jeśli kiedyś autorytet profesorów, laureatów i innych wybitnych intelektualistów przeważał nad demagogią, a dziś większość chętniej niż ich słucha „zwykłego człowieka", to ten autorytet roztrwoniono.

W istocie dla wszystkich, poza samymi intelektualistami, jest jasne, że to oni się skompromitowali i zniszczyli szacunek, który niegdyś wiązał się z wyższym wykształceniem, sukcesem artystycznym czy pozycją w establishmencie. Zawalił się z hukiem system finansowy, za który najwybitniejsi profesorowie ekonomii, z noblistami na czele, ręczyli jak za niezatapialność „Titanica". Integracja europejska, za którą murem stali „oświeceni" całej Europy, rozczarowuje do tego stopnia, że gdyby dziś odbyło się uczciwe referendum w sprawie przyszłości Unii Europejskiej, to trzeba by ją było rozwiązać. Imigranci, którzy wedle solennych zapewnień elit mieli się ochoczo zokcydentalizować i umocnić dobrobyt Zachodu, stali się źródłem nieustających i narastających problemów. Doszło do tego, że na dorocznym obrzędzie wręczania nagród Emmy prowadzący komik Ricky Gervais wykpił polityczne zaangażowanie celebrytów – i te jego kpiny zrobiły w Internecie furorę.

DNO OSIĄGNIĘTE

W Polsce nastąpił ten sam proces. Szacunek dla liberalno-lewicowych elit zaczął się załamywać już pod wpływem wydarzeń, które śp. Maciej Rybiński podsumował morderczo: „Przychodzi Rywin do Michnika, a Michnik też Rywin" – wkrótce potem okazało się, że brak namaszczenia przez „ludzi na pewnym poziomie" nie jest już przeszkodą, by wygrać wybory i objąć władzę. Jedyną radą, którą od lat znajdują na to zakwestionowane elity, jest jeszcze mocniej i dosadniej artykułować pogardę dla pospólstwa i jego wybrańców, jak najusilniej podkreślając swoją intelektualną i moralną wyższość nad ogółem. Im bardziej to robią, tym bardziej ich pouczenia są przeciwskuteczne. Pokazało to już doświadczenie KOD, a szczególnie protesty „w obronie wolnych sądów". Tam, gdzie początkowo spontanicznie pojawiały się tysiące poruszonych taką czy inną sprawą ludzi, poparcie protestu przez autorytety w rodzaju Krystyny Jandy, Mai Ostaszewskiej czy Agnieszki Holland natychmiast redukowało frekwencję do garstki najbardziej zajadłych.

Każda równia pochyła musi mieć jakiś koniec. Musi być gdzieś dno, na którym musi skończyć formacja powtarzająca wiecznie ten sam błąd. Otóż takie dno rzeczywiście istnieje – i właśnie je osiągnęliśmy.

Tym dnem jest masowe zaangażowanie liberalno-lewicowej elity w kampanię „solidarności z »Margot«". Pisząc apele i listy zbiorowe w obronie Michała Sz., udzielając za niego formalnego poręczenia, „autorytety" salonu skompromitowały ostatecznie pojęcie „elit" i zabiły resztki wiary w to, że tytuły i pozycja społeczna znamionują ludzi generalnie mądrych lub przynajmniej moralnych.

Przypomnijmy – ponad 900 osób ze świata kultury i nauki podpisało się pod listem „do międzynarodowej opinii publicznej", domagając się natychmiastowego uwolnienia z aresztu aresztowanej rzekomo za poglądy i orientację seksualną „Małgorzaty Sz.". W „jej" sprawie inter-

eprasa.pl dfe5ca67de

weniowali rzecznik praw obywatelskich oraz, niemal nazajutrz po aresztowaniu, komisarz do spraw praw człowieka Rady Europejskiej. Z Zachodu z odsieczą pośpieszyło z wyrazami solidarności dla „prześladowanej działaczki LGBT" liczne grono „ludzi kultury, historyków i filozofów", w liście adresowanym do szefowej Komisji Europejskiej domagając się „zaprzestania agresji wobec społeczności LGBT w Polsce", „brutalnego traktowania", „retoryki nienawiści polskiego rządu" – w ich liczbie takie tuzy jak Pedro Almodóvar, Margaret Atwood, Mike Leigh, Timothy Snyder czy Slavoj Žižek, w znakomitej większości nieznający ani pół słowa po polsku i wiedzący o Polsce tyle, ile dowiedzieli się od swoich polskich „źródeł".

Towarzyszącej temu istnej lawiny wypowiedzi wszelkiej maści wyliniałych salonowych lwów, biadolących w mediach nad losem prześladowanej za „odmienność" dziewczynki, dosłownie nie sposób ogarnąć. Odnotujmy jednak apel prof. Michała Bilewicza, który przebijając wszystkich w zaprzeczaniu rzeczywistości, nazwał „prześladowanego" Michała Sz. (25-latka!) nie tylko dziewczyną, lecz także „dzieciakiem".

Do mediów jednak najbardziej przebiły się nazwiska 12 osób publicznych, które udzieliły formalnego poręczenia za Michała Sz. Miary kompromitacji dopełnił fakt, że wśród poręczających za chuligana, odpowiedzialnego między innymi za sprofanowanie figury Chrystusa, znalazło się dwóch katolickich księży – Adam Boniecki i Alfred Wierzbicki oraz naczelny rabin Polski Michael Schudrich.

Poręczenie odniosło skutek i Michał Sz. wyszedł z aresztu. I natychmiast, ze zręcznością rasowego PR-owca, zdyskontował świeżo zdobytą sławę kolejnymi prowokacjami, zamieszczając zdjęcie, na którym pokazuje wulgarny gest (nazwany w jego własnym języku „fakolcem"), trzymając napis: „Polsko, ty hó.." (z błędami ortograficznymi, jak się wydaje, zamierzonymi) – na kolejnej wersji tego zdjęcia dodatkowo wystylizował się w Photoshopie na Matkę Boską. Zaraz też ruszył w tournée po mediach, opowiadając w wywiadach to, co skądinąd i wcześniej można było znaleźć na jego profilu internetowym – że marzy o „Polsce rozp.....lonej", że „pokojowe protesty nigdy nie były skuteczne", osoby LGBT poddane są „niewyobrażalnym prześladowaniom" i jako takie mają prawo do każdego rodzaju akcji, by zniszczyć źródła opresji: państwo, naród, rodzinę i prawo. Z pogardą wyraził się przy tym o homoseksualistach, którzy próbują znaleźć sobie miejsce w społeczeństwie, zamiast z nim walczyć, i o nieskutecznej wskutek swych liberalnych zahamowań opozycji. Przy okazji jego „kolektyw" w tym samym czasie wezwał w Internecie do dymisji Rafała Trzaskowskiego, nazywając go „zakłamanym kut.....m" i „frajerem". To ostatnie zresztą, zważywszy na to, ile dla „kolektywu" zrobił potraktowany w ten sposób lider liberalnej opozycji jako prezydent Warszawy, zabrzmiało wyjątkowo smakowicie.

W sprawie „Małgorzaty Sz." interweniowali rzecznik praw obywatelskich oraz komisarz do spraw praw człowieka Rady Europejskiej. Z Zachodu z odsieczą pospieszyło liczne grono „ludzi kultury, historyków, filozofów" – w ich liczbie takie tuzy jak Pedro Almodóvar, Margaret Atwood, Timothy Snyder czy Slavoj Žižek

Osobny wątek stanowiły przechwałki o bujnym, „poliamorycznym" życiu seksualnym Michała Sz. i jego partnerki „Łani", którzy posiadają swoich partnerów płci obojga, i powtarzane po raz kolejny wyjaśnienie, że jakkolwiek każe używać w odniesieniu do siebie żeńskich form gramatycznych i nazywanie go „nim" zamiast „nią" jest „przemocą" (choć on sam czasem się zapomina i tak robi), „misgenderowaniem" i przemocą jest również traktowanie go jak kobiety, którą wcale się nie czuje. Jest bowiem „osobą niebinarną" i podział na płcie go nie dotyczy.

BEZCZELNIE I AMORALNIE

Żeby nie dłużyć – wszystko, co pisałem o Michale Sz. w poprzednim numerze, on sam potwierdził bardzo dobitnie. W wywiadach dla OKO.press czy Radia Zet objawiła się osoba niemająca nic wspólnego z wykreowaną na użytek listów, apeli i poręczeń postacią „represjonowanej aktywistki". Ani homoseksualisty, ani człowieka mającego jakiekolwiek problemy ze swą tożsamością seksualną, ani ofiary represji. Raczej bezczelnego, całkowicie amoralnego i, najdelikatniej mówiąc, psychicznie niedojrzałego szczeniaka, zachwyconego łatwością, z jaką manipuluje ludźmi, by zapewniali mu sławę, wesołe życie i, last but not least, pieniądze – na fali „solidarności z »Margot«" zebrał co najmniej 400 tys. zł, ale być może znacznie więcej, bo nie wszystkie zbiórki są jawne.

Z osób niekojarzonych z prawicą bodaj tylko jedyna Monika Jaruzelska nie poddała się czarowi, punktując rozbieżności między prawdą o Michale Sz. a obrazem „represjonowanej aktywistki" wykreowanym przez media i nazywając najnowszą ikonę salonów „ideologicznym Kalibabką". W swojej ocenie wydaje się jednak odosobniona. Z grona wcześniej zaangażowanego w obronę »Margot« i sympatyzujących z ruchem LGBT drobne wyrazy otrzeźwienia dały się zauważyć tylko u Agnieszki Gozdyry i u Kataryny; ta ostatnia deklarację Michała Sz.: „Jesteśmy wroginiami rodziny i prywatnej własności" przyjęła pytaniem: „kobieta, lesbijka, wrogini – nie macie wrażenia, że on wszystkich strollował?". Oczywiście, nawet tak wyważone próby dostrzeżenia rzeczywistości, powodowane bynajmniej nie wrogością wobec LGBT, ale troską, że ich sprawa jest przez obrońców „Margot" ośmieszana i kompromitowana, spotkały się z reakcją równie wściekłą jak swego czasu zdroworozsądkowa wypowiedź Piotra Jedlińskiego, że dopóki Michał Sz. ma papiery na takie właśnie imię i nazwisko, dopóty dla serwisów informacyjnych pozostaje Michałem Sz., a nie aktywistką Małgorzatą.

Porównanie z Kalibabką wydaje się trafne. Prostą sztuczką, jaką było wpisanie swego seksualnego rozwydrzenia w wyobrażenie liberalnych salonów o ofiarach „nietolerancji" osaczanych przez wrogów wobec „odmienności seksualnych", sprytny młodzieniec uwiódł je równie skutecznie, jak najsławniejszy uwodziciel PRL pozbawiał rozsądku swoje ofiary. Tajemnica, jak zdołał tak łatwo „wkręcić" profesorów, sławnych artystów i postępowych duchownych, nie tkwi w nim samym – ale w nich.

ZIDIOCENIE ELIT

„Wyście sami stworzyli to bydlę i postawili je na piedestał!" – krzyczy

eprasa.pl dfe5ca67de

w sławnej powieści Dołęgi-Mostowicza hrabia Ponimirski w twarze arystokratom, prezesom i oficerom, którzy zgłupieli na punkcie sprytnego prostaka Nikodema Dyzmy, dodając ironiczny okrzyk: „Elita!". Właściwie sytuacja obrońców „Margot" jest identyczna jak sytuacja wielbicieli wybitnego ekonomisty i męża stanu, tak że nic tu nie można do słów powieści dodać.

To znak, że tego rodzaju zidiocenie elit nie jest niczym nowym. Podobnie jak powieściowy Dyzma Michał Sz. załapał się na właściwy moment. Na chwilę, gdy w emocjonalnych paroksyzmach liberalnych elit frustracja nieustającą przegraną, utratą szacunku i posłuchu połączyła się z ideologicznym obłędem płynącej z Zachodu mody. Mody traktowanej jako jedyna recepta na ocalenie. Postawa europoseł Spurek, wyznającej publicznie, że tylko w Niemcach i niemieckiej prezydencji nadzieja na zmuszenie Polaków, by w ich kraju „znowu było jak było", jest bowiem w liberalnych elitach powszechna.

Dołęga-Mostowicz był bystrym obserwatorem, ale nie on jeden opisał wypalenie arystokratycznych elit międzywojnia, nie tylko polskich, popychające je do irracjonalnej tęsknoty za „silnym człowiekiem", uosabiającym ludową krzepę i „wolę". Współczesna „liberalistokracja" przeżywa swój schyłek podobnie, choć ratunku od swych „mąk dusznych" upatruje gdzie indziej – w dopuszczeniu do znaczenia „odmienności" i zastąpieniu nimi całej własnej tradycji, która stała się wskutek moralnego rozkładu Zachodu źródłem wstydu i cierpień. Uchwycił ten proces już kilkanaście lat temu Pascal Bruckner w wydanej także u nas „Tyranii skruchy", która była nagradzana, dyskutowana, ale, podobnie jak inne podobne diagnozy, niczemu nie zapobiegła. Wszystko, co Bruckner prorokował, rozwinęło się przez te lata w wielką dekadencję, bo obecna rewolucja demolująca Zachód, obojętne, po jakie sięga hasła, czy „broni" LGBT, czy kolorowych, czy innego rodzaju prześladowanych mniejszości, jest przede wszystkim właśnie eksplozją dekadencji, nihilizmu i pędu do samozniszczenia.

Michał Sz. „Margot", który spełnił płynące z nich marzenie równie znakomicie jak powieściowy Dyzma oczekiwanie na „silnego człowieka", jest jednym z dowodów, że proces ten jest czysto emocjonalny, nie ma za grosz wymiaru intelektualnego. Intelektualiści, którzy masowo porwali się, by pisać i apelować w obronie „Margot" z tą samą skwapliwością, z jaką wcześniej bronili drzew, dzików i bananów, okazali się kompletnymi idiotami. I to podwójnie.

Gdyby aprobatę nihilistycznego ataku Michała Sz. potraktować poważnie, wszystko jest możliwe i nie ma żadnych skutecznych narzędzi prawa. Mężczyzna może bez przeszkody wchodzić do damskiej toalety, może też zgłosić się po emeryturę w wieku przewidzianym dla kobiet albo po zasiłek macierzyński

Nie tylko dlatego, że w ogóle nie pofatygowali się sprawdzić, kim naprawdę jest rzekoma ofiara, i choćby tylko pobieżnie zapoznać się z licznymi filipikami Michała Sz. oraz jego kolektywu przeciwko „państwu prawa" i innym wartościom, które liberalna lewica wypisane ma na najwyżej uniesionych sztandarach – co musiałoby przywieść do spostrzeżenia, że dla anarcho-komunistycznego „kolektywu" zepsutego młodziana to oni właśnie, liberałowie, ze swymi „przesądami" są wrogiem gorszym niż prawica.

Także dlatego, że nie zadali sobie trudu zastanowienia się bodaj przez chwilę, co wynika z obrony tej wykreowanej przez salony dla samych siebie „aktywistki".

NIC NIE MA SENSU

Przecież jeśli można być „niebinarnym" niemężczyzną i niekobietą tylko na mocy złożonej deklaracji, niepopartej niczym, to podważona zostaje nie tylko znienawidzona na salonach tradycyjna moralność, lecz także głoszona przez nie moralność nowa. Nie ma sensu żaden feminizm, bo zaprzeczone zostaje istnienie kobiecości i wszystkie najbardziej „seksistowskie" oraz patriarchalne zachowania, jakim w istocie hołduje Michał Sz., muszą być zaakceptowane za skromną cenę zadeklarowania się przez seksistę jako „queer" – na przykład lesbijka z męskimi narządami. Nie ma również sensu obrona praw mniejszości seksualnych, bo seksualność, wraz z konceptem „płci kulturowej", zostaje wywrócona na nice definiowaną, jak komu wygodnie, „niebinarnością".

Uznanie za obiektywną rzeczywistość „samoidentyfikacji" unieważnia tak naprawdę wszystko i na wszystko pozwala. Gdyby aprobatę nihilistycznego ataku Michała Sz. na elementarny zdrowy rozsądek potraktować poważnie, wszystko jest możliwe i nie ma żadnych skutecznych narzędzi prawa. Stary pederasta po zgwałceniu dziecka może oznajmić, że sam czuje się dzieckiem, morderca schwytany z dymiącym pistoletem – że właśnie jest zupełnie kim innym, kto za „tamtego" nie odpowiada. Mężczyzna, który może bez przeszkody wchodzić do damskiej ubikacji i szatni, może też zgłosić się po emeryturę w wieku przewidzianym dla kobiet albo po zasiłek macierzyński. Szkoda czasu na wyliczanie bezmiaru nonsensu, w jaki zabrnęła wiedziona stadnym instynktem tłuszcza „autorytetów".

Odruch inkwizycyjnej gorliwości, zajadła nienawiść, z którą rzucono się na Jedlińskiego, Jaruzelską czy Gozdyrę, zdaje się zresztą wskazywać, że podskórnie tłuszcza owa odczuwa bezmiar swej kompromitacji. Po zeszłotygodniowym medialnym tournée Michała Sz. większość jego głośnych obrońców nabrała wody w usta. Nie wszyscy. Niektórzy brną jeszcze dalej, tak jak ks. Alfred Wierzbicki, który podtrzymał swoje poręczenie, argumentując, że poręczał z uwagi na „człowieczeństwo" Michała Sz., które jest dla niego najwyższą wartością i musi być afirmowane bez względu na to, co człowiek robi. Cóż, mniejsza o poręczenie dawno już skompromitowanego duchownego, ale w tak rozumianym chrześcijaństwie nikt nie może ponosić odpowiedzialności za nic.

Wydaje się, że dalej nie ma już nic i że głupiej już nie można – można tylko głośniej, bardziej prowokacyjnie i bardziej brutalnie. I zapewne należy się spodziewać, że tak będzie – przy ekstatycznym aplauzie do reszty już zdeprawowanych i upadłych lewicowo-liberalnych elit.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

CZYTAJ TAKŻE NASZ DODATEK SPECJALNY „IDEOLOGIA LGBT A EDUKACJA DZIECI" NA STRONIE 49

eprasa.pl dfe5ca67de

Zapomniany pucz

Piotr Semka

Czterdzieści lat temu doszło do konfliktu Kuronia z Wałęsą. Bez tego zajścia trudno rozumieć podziały, które zachowały się do dziś, i rolę samego Wałęsy

Data 3 września nie kojarzy się zbyt wielu historykom z dziejami Solidarności. Czterdzieści lat temu, trzeciego dnia po zwycięstwie strajku w Stoczni Gdańskiej, Jacek Kuroń wszedł w ostry konflikt z Lechem Wałęsą jako liderem nowych związków zawodowych. Ten konflikt sprzed czterech dekad jest dzisiaj kłopotliwy dla wszystkich jego stron. Dla każdej z innego powodu. Warto do niego wrócić, bo dobrze pokazuje wewnętrzne podziały w przyszłej Solidarności, które odzywają się do dziś.

Okrągła rocznica gdańskiego Sierpnia była okazją do wielu podniosłych słów na temat ówczesnej determinacji stoczniowców i robotników, którzy wspierali Gdańsk w wielu ogniskach strajkowych od Wybrzeża do Katowic. Nie zmienia to faktu, że obóz opozycjonistów, którzy rzucili wówczas wyzwanie władzy, składał się z ludzi mających własne ambicje polityczne i różne koncepcje wykorzystania zgody władz do powstania niezależnych związków zawodowych.

SPÓŹNIONE WEJŚCIE NA SCENĘ

Między 20 a 31 sierpnia 1980 r. Jacek Kuroń, jeden z czołowych działaczy KSS KOR, był zatrzymywany przez SB. Dopiero wyraźne żądanie strajkujących zwolnienia wszystkich więźniów politycznych i osób zatrzymanych na krótkoterminowe areszty pozwoliło mu dotrzeć do Gdańska.

Jak się zdaje, Kuroń nie zrozumiał na czas, jak dalece w ciągu ostatnich

eprasa.pl dfe5ca67de

Jacek Kuroń i Lech Wałęsa w marcu 1984 r. w Gdańsku

FOT. LEONARD SZMAGLIK/AP/EAST NEWS

dwóch tygodni Sierpnia '80 wydarzenia nagle popędziły do przodu. Ten błąd był typowy dla wielu ludzi, którzy wówczas znajdowali się poza Gdańskiem i nie obserwowali wydarzeń w stoczni z bliska. Kuroń nie zrozumiał, że w czasie strajku Lech Wałęsa wyrósł na niezwykle popularnego i skutecznego przywódcę nowego ruchu. W pamięci warszawskiego opozycjonisty zapisał się jako gadatliwy i nieco chełpliwy działacz z Gdańska, ale nie wyrastający poza funkcję strajkowego lidera.

Kuroń był przekonany, że gdański ruch zapoczątkowany w stoczni jest politycznie niedoświadczony i będzie musiał zaakceptować przywództwo bliskich KOR działaczy Wolnych Związków Zawodowych na czele z Bogdanem Borusewiczem, Andrzejem i Anną Gwiazdami oraz Anną Walentynowicz. To było spojrzenie „warszawskie". Mocno ufundowane na przekonaniu o wiodącej roli lewicy laickiej jako inicjatora zmian.

Nieco inna, ale w praktyce zbieżna z poglądami Kuronia była optyka „gdańska". Dla działaczy Wolnych Związków Zawodowych po wygranym strajku Lech Wałęsa nie przestał być dość ambiwalentną postacią. WZZ-owcy pamiętali mu zarówno to, że w momencie decyzji o strajku solidarnościowym w obronie Walentynowicz nie wykazywał specjalnego entuzjazmu, jak i niewyjaśnioną do dziś czterogodzinną absencję w dniu wybuchu strajku między godz. 6 a 10. Pamiętano też zgodę Wałęsy na szybkie zakończenie strajku już trzy dni po wybuchu protestu. Te negatywne obserwacje były jednak zrównoważone pełnym zaskoczenia oszołomieniem skutecznością Wałęsy w kolejnych dniach akcji strajkowej. Na dodatek w tej drugiej fazie protestu Walentynowicz i Gwiazdowie odkryli ze zdziwieniem, że Wałęsa nauczył się rozgrywać swoich byłych mentorów z WZZ przeciw doradcom przybyłym z Warszawy, swoją niezależną pozycję podbudował jeszcze szybkim wykreowaniem ślepo zapatrzonych w niego młodych liderów robotniczych, którzy Wolnych Związkowców sprzed Sierpnia nie znali.

To w takiej atmosferze Kuroń traktowany przez sporą część WZZ-owców jako polityczny guru przybył do Gdańska z zamiarem uporządkowania na swoją modłę relacji na szczytach nowego ruchu.

DWA SPOTKANIA

Już 2 września, czyli dwa dni po wygranej w Gdańsku, aktyw WZZ zebrał się w mieszkaniu opozycjonisty Mariusza Muskata. Na spotkaniu tym Borusewicz był wyraźnie nieufny wobec kierunku, w którym Wałęsa poprowadził nowy związek, miał więc zaproponować, by WZZ istniały dalej jako centrum decyzyjne działające równolegle z tworzącymi się niezależnymi związkami. Borusewicza bardzo mocno wsparł Kuroń, który podkreślał, że KSS KOR musi być swoistym centrum nadzorującym nowy ruch. Dyskusja z Wałęsą nie rozwinęła się zbytnio, bo – jak wspominają uczestnicy spotkania – Wałęsa był na nim krótko i w bardzo ugodowy sposób uroczyście się zarzekał, że będzie akceptował swoistą rolę doświadczonego przewodnika politycznego ze strony KOR-owców. Jednak stosunkowo szybko Kuroń i działacze WZZ dowiedzieli się, że tego samego wieczoru Wałęsa był na spotkaniu Ruchu Młodej Polski – o wiele bardziej konserwatywnego ugrupowania opozycji – na którym zadeklarował, że także będzie akceptował kierowniczą i doradczą rolę młodopolaków. Wywołało to głęboką irytację Kuronia, Walentynowicz i Gwiazdów. Znów przekonali się, że „Lechu" uczy się grać na paru fortepianach naraz.

Bez Wałęsy zebrano się w nocy z 3 na 4 września w mieszkaniu sympatyzującego z opozycją adwokata Jacka Taylora. W spotkaniu mieli brać udział: Bogdan Borusewicz, Joanna Duda-Gwiazda, Andrzej Gwiazda, Lech Kaczyński, Jerzy Kmiecik, Andrzej Kołodziej, Bogdan Lis, Helena Łuczywo, Jerzy Sikorski, Jacek Kuroń i Anna Walentynowicz. Jest ono do dziś otoczone aurą niedomówień. Jedyną osobą, która po latach wypowiadała się szczegółowo, był Krzysztof Wyszkowski. W 2004 r. w wywiadzie dla IPN-owskiego pisma „Pamięć i Sprawiedliwość" Wyszkowski opowiedział, że czas przerwać zmowę milczenia wokół tamtego spotkania. Według jego relacji został na nim przedstawiony plan lidera KSS KOR mający ukształtować kierownictwo nowego ruchu związkowego.

Zdaniem Wyszkowskiego Kuroń miał wypomnieć, że Lech Wałęsa na spotkaniu jeszcze w latach 70. przyznał się do współpracy z SB i – jak wskazał – okoliczność ta wymaga usunięcia go z funkcji przewodniczącego MKZ. Według Wyszkowskiego Kuroń miał proponować, by aparatem związku zajęło się środowisko WZZ i pisma „Robotnik" wydawanego przez KSS KOR. W myśl tego planu nowym liderem miał być Andrzej Gwiazda, Bogdan Borusewicz miał zostać dyrektorem biura MKZ, przybyła z Warszawy Helena Łuczywo miała zostać redaktorem naczelnym pisma „Solidarność". Dla Krzysztofa Wyszkowskiego przewidziana była rola szefa wydawnictw związkowych. Sam Kuroń miał być członkiem zespołu doradców, choć można było się domyślać, że chciałby w tym gremium pełnić wiodącą funkcję. Co więcej, według lidera KOR związek miałby zrzec się swoich statutowych uprawnień na rzecz rad zakładowych i skupić się nad zmianami w prawie pracy, działać na rzecz równorzędności pozycji pracownika i pracodawcy.

eprasa.pl dfe5ca67de

Według Wyszkowskiego Kuroń chciał, by zebrani jeszcze tego samego wieczoru przyjęli jego plan i następnego dnia, korzystając z posiadania większości głosów w prezydium MKZ Gdańsk, zaczęli go realizować, detronizując Wałęsę. Po wystąpieniu Kuronia dojść miało do bardzo ostrej dyskusji, w trakcie której Kuronia wsparli Anna Walentynowicz i małżeństwo Gwiazdów, a przeciwko temu pomysłowi zdecydowanie wystąpili Krzysztof Wyszkowski i Lech Kaczyński. Wyszkowski twierdzi, że Lech Kaczyński miał zarzucić Jackowi Kuroniowi, iż „mówi o dobru robotników, a chodzi mu tylko o władzę".

Jak widać, linia sporu szła poza osią wyboru: za WZZ-ami czy przeciw nim. Jak się zdaje, Wyszkowski i Kaczyński dobrze rozumieli, że wygrana strajku w stoczni tworzy zupełnie nową rzeczywistość, w której koncepcje Kuronia jeszcze z października 1956 r. – o silnych radach robotniczych jako elemencie zmian – w nowej sytuacji, wobec akceptacji przez władzę idei wolnych związków zawodowych, stały się kompletnie anachroniczne. Rozumieli też, że nowy ruch wymaga bardzo dynamicznego lidera, a na tle Walentynowicz czy Gwiazdów Wałęsa się w tej roli znacznie lepiej sprawdził. Ta kwestia będzie wracała potem jak bumerang w postaci oskarżenia braci Kaczyńskich, że wiedząc o uwikłaniach Wałęsy z SB po grudniu, promowali jego osobę.

Wyszkowski wyjaśniał, że wówczas – na naradzie w domu Jacka Taylora – zakładano, iż sprawa Wałęsy była złym, ale dawno zakończonym epizodem. Z kolei sprzeciw Gwiazdów i Walentynowicz wobec Wałęsy można było postrzegać jako rozdrażnienie dawnych mentorów z powodu usamodzielnienia się dawnego wychowanka. Wyznanie Wyszkowskiego o „puczu" z 3 września zrobiło w 2004 r. mocne wrażenie. Ze strony obrońców Wałęsy pojawiły się zarzuty, że nikt inny z uczestników spotkania nie potwierdza takiej wersji wydarzeń.

Tyle że po pewnym czasie przypomniano wydaną w 1990 r. w niewielkim nakładzie książkę „Polak z Polakiem" autorstwa Grzegorza Nawrockiego, który w latach 70. należał do bliskiego kręgu twórców pisma „Robotnik" i był bliskim znajomym zarówno Kuronia, jak i Heleny Łuczywo. W książce Nawrockiego znalazło się nawiązanie do ówcześnie zasłyszanego przez Wyszkowskiego dokładnie takiego samego planu Kuronia. Paradoksalnie próbę wysadzenia Wałęsy z siodła poświadczył sam Wałęsa w swojej książce „Droga nadziei" napisanej w latach 80. Lider Solidarności wspomina w niej o ówczesnej wizycie Anny Walentynowicz w jego biurze: „Pani Anna przyszła z bardzo konkretną koleżeńską propozycją: złóż rezygnację z funkcji przewodniczącego MKZ-u. Że głowa za słaba, że na nowy etap trzeba kogoś w rodzaju Andrzeja Gwiazdy, Kuronia czy Modzelewskiego, a może jeszcze kogoś innego. Kandydatury były niejasne, ale intencja przejrzysta: jestem za słaby, za mało rewolucyjny w żądaniach, zbyt jej zdaniem uległy wobec władz. Ten pomysł nie był tylko autorstwa pani Anny, stała za nim nieliczna, ale wpływowa część WZZ-ów na Wybrzeżu". Dlaczego Wałęsa przemilczał w tym kontekście osobę Kuronia? Trzeba pamiętać, że pisał swoją książkę ok. 1986 r. Kuroń był wtedy jednym z najbliższych jego doradców. Obaj dawno już zakopali topór wojenny i Wałęsie raczej nie wypadało przypominać o tej sprawie. Jednak wtedy, we wrześniu 1980 r., konflikt z Kuroniem wpłynął na dalsze losy Wałęsy. I to niezwykle mocno.

Wałęsa odrzucił wszelkie propozycje odejścia. Szybko zbudował nowe otoczenie, w którym ważną rolę odegrali działacze Ruchu Młodej Polski

BALANS NA LINIE

Wałęsa odrzucił wszelkie propozycje odejścia. Wizyta Walentynowicz z misją namówienia go do usunięcia się na dalszy plan nic nie dała. Szybko zbudował nowe otoczenie, w którym młodzi działacze Ruchu Młodej Polski odegrali ważną rolę. Pierwszą konsekwencją zdecydowanej kontrakcji Wałęsy wobec Kuronia było wsparcie ze strony Kościoła oraz takich doradców jak Tadeusz Mazowiecki. Kardynał Wyszyński w swych zapiskach z września 1980 r. zaznacza rozpowszechnione wówczas informacje o konflikcie Wałęsy z Kuroniem. Z obaw o los Wałęsy wezmą się potem ostrzeżenia Episkopatu dla Solidarności przed zbytnią radykalizacją związku utożsamianą z linią działaczy lewej części KOR. Powtarzać się będą one np. w wypowiedziach rzecznika KEP ks. Alojzego Orszulika przez sporą część 1981 r.

Ten konflikt wywołał też znamienną reakcję po stronie komunistycznej. Władze po pierwszym nieprzyjemnym zaskoczeniu sukcesem strajku w Stoczni Gdańskiej zaczęły dochodzić do wniosku, że Wałęsa być może nie jest najgorszą opcją w roli lidera ruchu Solidarności. W „Informacji MSW" o aktualnej sytuacji w kraju według meldunków na 5 września 1980 r., do której dotarli autorzy książki „Lech Wałęsa a SB" Sławomir Cenckiewicz i Piotr Gontarczyk, można było przeczytać: „J. Kuroń – zdaniem red. T. Mazowieckiego – może prowadzić do nieobliczalnych nieszczęść, gdyż usiłuje usunąć L. Wałęsę [z funkcji] przewodniczącego gdańskiego MKS-u".

Z kolei w meldunku z 5 września 1980 r. sygnowany przez mjr. Ryszarda Bartnickiego z Wydziału IX Departamentu III MSW znalazła się informacja, że po powrocie do Warszawy podczas spotkania środowiska KOR referujący sytuację w Gdańsku Jacek Kuroń miał ubolewać, iż „całą sprawę na Wybrzeżu trzyma w swoich rękach L. Wałęsa".

Najsłynniejszy wówczas elektryk na świecie potrafił wyjść ze starcia z Kuroniem wzmocniony, ale – jak można podejrzewać – miało to swoją cenę. Wałęsa zaczął w tym czasie dyskretną grę z władzą, którą starał się przekonywać, że jest na stanowisku lidera Solidarności mniejszym złem. Zyskał w ten sposób ciche wsparcie aparatu państwa, które ostrzegało go, zapewne za pośrednictwem nieformalnego łącznika Mieczysława Wachowskiego, przed działaniami jego rywali w kierownictwie Solidarności – Mariana Jurczyka, Andrzeja Gwiazdy czy Jana Rulewskiego.

Sam Kuroń wyciągnął praktyczne wnioski ze swojej porażki. Przez kolejny, 1981, rok dążył do naprawienia relacji z Wałęsą, którego lekkomyślnie nie docenił. Dopiero jesienią 1981 r. Wałęsa zdecyduje się na coś w rodzaju amnestii dla opozycjonisty z Żoliborza. Ta łaska Wałęsy nie dotyczyła jednak Bogdana Borusewicza ani Anny Walentynowicz. Ich spychał na margines w związku.

Ta historia bardzo nie pasuje do linii podziałów, z którą kojarzą się uczestnicy spotkania w mieszkaniu Jacka Taylora w nocy z 3 na 4 września 1980 r. Jednak żeby zrozumieć historię pierwszej Solidarności, trzeba oderwać się od dzisiejszych afiliacji. Tylko tak można pojąć bardzo niejednoznaczną rolę Wałęsy w karnawale Solidarności w latach 1980–1981.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dfe5ca67de

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

DO RZECZY

HISTORIA

STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI 2020

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

PARTNER

Grupa Inwest®

HM Inwest S.A.

eprasa.pl dfe5ca67de

FOT. MATEUSZ GROCHOCKI/EAST NEWS

Tomasz Rowiński

Dyskusja po wywiadzie byłego szefa MSZ Jacka Czaputowicza wskazuje, że nasze państwo nie wykształciło funkcjonalnych organów polityki zagranicznej i mamy problem z wyważeniem naszej aktywności

Dyplomacja na arenie

Wywiad, którego udzielił były już minister spraw zagranicznych prof. Jacek Czaputowicz „Rzeczpospolitej", wywołał mocną reakcję Beaty Szydło i Witolda Waszczykowskiego. Reakcja ta nie dziwi, ponieważ to właśnie politykę zagraniczną rządu Szydło Czaputowicz skrytykował przede wszystkim. Ważniejsze jest jednak, że Jacek Czaputowicz – niejako mimochodem – wskazał realne problemy w funkcjonowaniu Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Niedawny szef MSZ skorzystał z okazji, by wymienić działania MSZ, które uważa za swoje zasługi. Zaliczył do nich: poprawę relacji z UE, ale też bilateralnych stosunków z Niemcami, Francją, Ukrainą i Litwą czy wreszcie ze Stanami Zjednoczonymi, w tym aktywność w sprawie ustawy 447 Kongresu USA. Tak sformułowana ocena sytuacji musiała być odebrana jako opis naprawy polityki zagranicznej po czasach Witolda Waszczykowskiego.

Beata Szydło w swoim wpisie na Twitterze określiła słowa byłego ministra w rządzie Mateusza Morawieckiego jako „nieprofesjonalne". Znacznie ostrzej, na tym samym społecznościowym portalu, zareagował Witold Waszczykowski, sugerując, że po takiej wypowiedzi media oraz organizacje opozycyjne chętnie przygarną Jacka Czaputowicza. Przypomnijmy – Czaputowicz od 2014 r. jest przecież członkiem Rady Programowej Prawa i Sprawiedliwości. Rzeczywiście, w perspektywie bieżącej polityki wywiad dla „Rz" wypada całkiem źle, szczególnie w kontekście narastających napięć w obozie władzy. Ze swoimi opiniami minister mógł wyglądać jak posłaniec stronnictwa Mateusza Morawieckiego, który rozprawia się z Beatą Szydło, być może najpoważniejszą konkurentką premiera do dziedziczenia władzy w PiS.

NASZE BRAKI

Doktor Marcin Kędzierski, główny ekspert Klubu Jagiellońskiego, uważa jednak, że wypowiedzi Czaputowicza nie miały intencji politycznej, równocześnie nazwał je kuriozalnymi. – To jest wywiad profesora, który faktycznie ma doświadczenie dyplomatyczne, ale kompletnie nie jest politykiem, a jednak minister po prostu musi nim być także. To kwintesencja sposobu, w jaki Czaputowicz sprawował swój urząd. Skoro minister nie

eprasa.pl dfe5ca67de

konsultuje swoich działań z premierem, z prezydentem, z szefem partii rządzącej, to rzeczywiście jest problem – mówi Kędzierski.

Jeśli jest rzeczywiście tak, jak mówi ekspert KJ, to znaczy, że nieostrożna politycznie wypowiedź Czaputowicza odsłoniła przed czytelnikami nie tyle jakąś intrygę partyjną, ile poważne problemy polskiej polityki zagranicznej – brak odpowiednich narzędzi i brak ciągłości działania. Pierwszy poważny kryzys w tym obszarze po roku 1989 dał się zauważyć, gdy Polska osiągnęła swoje fundamentalne cele okresu transformacji, co do których panował konsensus polityczny, a także społeczny, czyli integracja z instytucjami europejskimi oraz NATO. Oczywiście okres transformacji dość łatwo jest krytykować z dzisiejszej perspektywy np. za niedostateczną asertywność w relacjach z partnerami europejskimi, jednak na przełomie wieków żadna z pojawiających się krytyk nie była w stanie podważyć podstawowych zasad funkcjonowania polskiej polityki zagranicznej.

Po 2004 r. polskie myślenie o polityce zagranicznej rozpadło się na dwa nurty. Jeden reprezentowany przez prawicę, a także wspierających ją intelektualistów, wskazywał na konieczność korekty polskiej aktywności w kierunku większej samodzielności. Na nowo pojawiło się w publicystycznym obiegu słowo „podmiotowość". Drugi nurt, który można by określić mianem „konserwatyzmu transformacji", optował za kontynuacją wcześniejszej polityki, czyli świadomym pozostawaniem w roli peryferyjnego gracza polityki europejskiej. A właściwie nie gracza, lecz przedmiotu polityki kontynentalnych mocarstw, co miało nam przynieść – powiedzmy metaforycznie – wasalne frukty. Chociaż ta niezgoda funkcjonująca w Polsce na poziomie filozofii publicznej wciąż stanowi ważny element tożsamości politycznych, to dzięki opinii Jacka Czaputowicza jak w probówce zobaczyliśmy, że suwerenistom wciąż brakuje odpowiedniej metody działania. Okcydentalizm liberałów jest prostszy, wystarczy robić to, co inni. Suwereniści zaś, jak widać, po raz kolejny nie zgadzają się między sobą co do tego, jak realizować specyficznie polskie cele, te, do których nie da się dotrzeć poprzez podłączenie do koncertu któregoś z silniejszych partnerów. Można odnieść wrażenie, że ostatni dwaj ministrowie spraw zagranicznych prowadzili politykę o tak odmiennych kierunkach taktycznych, jak gdyby nie wywodzili się z jednej opcji politycznej. Jeden parł naprzód, drugi łagodził stanowisko, a dziś nie wydaje się, by wzajemnie cenili efekty swojej pracy.

Wrażenie to wzmacniają jeszcze różnice w rozumieniu przez obu ministrów znaczenia pełnionego przez nich urzędu. Witold Waszczykowski był wyrazistym politykiem, który w porozumieniu ze swoim otoczeniem politycznym i z rządem działał nieraz z pominięciem specyficznego, koncyliacyjnego ducha dyplomacji. Tak stało się choćby podczas głosowania decydującego o stanowisku szefa Rady Europejskiej dla Donalda Tuska. Wydarzenie to okazało się swego rodzaju symbolem polskiej polityki zagranicznej z lat 2015–2017. Jacek Czaputowicz, narzekający dziś, że w MSZ brakuje specjalistów, chciał – jak się zdaje – by Ministerstwo Spraw Zagranicznych pełniło raczej funkcję apolityczną, czysto dyplomatyczną, administrującą polską obecnością w innych krajach, łagodzącą relacje. Okazuje się jednak, że unikając – do czego się przecież przyznał – konsultacji w ważnych dla Polski obszarach polityki zagranicznej, redukując je do dyplomatycznej technologii, mógł przyczyniać się do osłabienia suwerenności państwa, która musi opierać się na decyzjach i racjonalności politycznej. Technologia dyplomatyczna to narzędzie, które samo nie wyznacza celów, ale wręcz może służyć, przy zbytniej pasywności, do marginalizacji państwa, do jego ogrywania przez podmiotowych partnerów. Nie dziwi jednak to, że Czaputowicz mówi o swoich sukcesach. Być może problem tkwi właśnie w sposobie funkcjonowania MSZ?

JAK TO ZMIENIĆ?

Doktor Kędzierski uważa, że stoimy przed koniecznością reformy działania całej służby. – Ministerstwo Spraw Zagranicznych powinno być współcześnie czymś w rodzaju służby działań zewnętrznych, czyli urzędem do zarządzania placówkami dyplomatycznymi. Do tego wystarczy dyrektor, a nie politycznie umocowany minister – mówi. I dodaje: – Politykę zagraniczną i tak w całym świecie coraz wyraźniej prowadzą kancelarie prezydentów i premierów.

Nie wydaje się zatem dalekie od prawdy stwierdzenie, że nasze państwo nie wykształciło funkcjonalnych organów polityki zagranicznej i mamy problem z wyważeniem naszej aktywności między decyzją polityczną a pewnymi wymogami technicznymi relacji dyplomatycznych.

Eksperci, z którymi rozmawiałem, także zwracają uwagę ten problem. – W polskim myśleniu o polityce zagranicznej poruszamy się w obrębie fałszywej alternatywy: polityka twarda albo miękka. Tymczasem prowadzenie konfrontacyjnej polityki przez państwo niebędące mocarstwem, nieposiadające instrumentów wymuszających na innych państwach korzystnych dla siebie rozwiązań jest wyrazem bezsiły. Maksymalizacja postulatów nie służy realizacji racji stanu, w jej wyniku bowiem zagraniczni partnerzy nie wykażą nagle empatycznej postawy względem polskich interesów narodowych – mówił mi dr Tadeusz Matuszkiewicz. – Zarazem jednak polityka koncyliacyjna oznacza rezygnację z forsowania korzystnych dla siebie rozwiązań na arenie międzynarodowej, uległość prowadzi bowiem do podporządkowania się imperatywom polityki zagranicznej innych państw. Efektywna polityka zagraniczna polega na ciągłym stwarzaniu i wykorzystywaniu okazji do dokonywania na arenie międzynarodowej transakcji wymiennych – dodawał.

Problem ten pobrzmiewa też w zarzucie, że Czaputowicz „unikał prymatu interesu narodowego", gdy tymczasem były minister wyraźnie mówił o języku polityki, dając nie wprost do zrozumienia, że nie zgadza się ze stylem swojego poprzednika, który bywał określany mianem kowbojskiego. – Język interesu narodowego i język geopolityki to jest język, którym wprost mogą mówić mocarstwa. Polska jest państwem średnim i my musimy działać w ramach ładu, jaki istnieje. Optymalnym ładem dla nas jest ład multilateralny oparty na instytucjach międzynarodowych. Powinniśmy to wykorzystywać, więcej możemy osiągnąć dzięki językowi porozumienia niż dzięki językowi siły, której nie mamy – uważa dr Kędzierski.

Być może jednak, choć części dylematów naszej suwerenności międzynarodowej udałoby się uniknąć, gdyby to politykom zostawić politykę, ale jednocześnie dać im solidne zaplecze dyplomatyczne, które – tak jak każda dobrze działająca służba cywilna – mogłoby stanowić ramy ich działania.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dfe5ca67de

Łukasz Zboralski

Pandemia uratuje

Sprawdzanie prac domowych w dobie koronawirusa stało się bardzo trudne. To może ratować polską szkołę. Nasi nauczyciele zadają bowiem więcej niż w innych krajach, a to pogarsza wyniki edukacyjne uczniów

Ruszył zupełnie inny rok szkolny od tych, które do tej pory znaliśmy. Widok dzieci i rodziców na zebraniach 1 września, siedzących w maseczkach w salach, mógł wydać się przygnębiający. Niektórzy wcale nie zaczęli tradycyjnej nauki. Już po 1 września wiadomo było, że pracy stacjonarnej nie zacznie kilkanaście placówek. To m.in. cztery szkoły w małopolskiej gminie Łukawica, gdzie zatrudniona we wszystkich placówkach nauczycielka okazała się osobą zakażoną SARS-CoV-2.

Mimo kilkunastu pozwoleń na naukę zdalną czy hybrydową (część uczniów i nauczycieli stacjonarnie, część zdalnie – lub część zajęć zdalnie) system ogłoszony przez Ministerstwo Edukacji Narodowej nie pozwala sprawnie zarządzać takimi procesami. Na dyrektorów i samorząd zrzucono decyzję o ewentualnym zamykaniu placówek, ale ci muszą najpierw wystarać się o odpowiednią decyzję w lokalnym sanepidzie. Efekt jest taki, że dyrektorzy – nawet ci z czerwonych powiatów i mający poważne podstawy do zamknięcia szkół – nie dostają takiej decyzji od sanepidu albo, z powodu fatalnej pracy urzędników sanitarnych, tygodniami czekają na informację zwrotną.

W samych szkołach z procedurami też jest różnie. Uczniowie nie muszą zakładać maseczek w klasach (robią to np., gdy nauczyciel założy maskę i zbliży się, by coś dokładniej wyjaśnić przy stoliku), ale robią to już na korytarzach, gdzie stykają się z innymi klasami. Jednak ci sami uczniowie zmieniają klasy i zasiadają w tych samych ławkach co poprzednia klasa, a szkolny sprzęt jest dezynfekowany tylko raz dziennie…

Paradoksalnie można jednak dostrzec kilka pozytywów i szans na zmianę dla polskiej szkoły, zwłaszcza podstawowej, ale też przedszkoli.

PRACA DOMOWA NISZCZY

Chodzi m.in. o prace domowe. W dobie pandemii i rygorów higienicznych zadawanie prac do domu stało się ekstremalnie kłopotliwe. Nie we wszystkich szkołach nauczyciele zdecydowali, co z tym zrobić. Uczeń i nauczyciel nie powinni bowiem dotykać razem zeszytu (podręczniki szkolne, zanim wręczono je uczniom, też przechodziły kwarantannę, przez co część dzieci odbierze je dopiero w drugim tygodniu nauki). Tylko częściowym rozwiązaniem może być wprowadzenie oddzielnych zeszytów do prac domowych. Zanim nauczyciel będzie mógł je otworzyć i sprawdzić, powinien minąć odpowiednio długi czas. Taki sam upłynie, zanim pedagog odda ocenione prace. Widać więc dobrze, że nawet, jeśli prace nadal będą zadawane, to będzie ich w tym roku zdecydowanie mniej. I dobrze!

Od dość dawna wiemy, że polscy uczniowie należą do najbardziej obciążonych pracami domowymi. Jak wynikało z ankiet rodziców (badania TIMMS 2015 i PIRLS 2016), aż 85 proc. polskich dzieci odrabia zadania domowe codziennie, a kolejnych 13 proc. musi zajmować się tym niewiele rzadziej, bo trzy–cztery razy w tygodniu. W Niemczech codziennie prace domowe robi 61 proc. uczniów, w Finlandii – 59 proc., w Czechach – 43 proc., a w Szwecji – 9 proc. Czy jest gdzieś gorzej niż w Polsce? Tak, w Rosji, gdzie codziennie zadania do domu przynosi 93 proc. dzieci (a kolejne 4 proc. przynosi je trzy–cztery razy w tygodniu).

Podsumowując, polscy uczniowie podstawówek tylko nad zadaniami z matematyki i języka polskiego ślęczą w domach cztery–pięć godzin tygodniowo. To tyle, ile poświęcają tygodniowo w domu na odrabianie zadań ze wszystkich przedmiotów szkolnych 15-latkowie z krajów OECD.

Polscy matematycy ze szkół podstawowych (byli badani) deklarują zadawanie prac domowych praktycznie po każdej lekcji. I choć w matematyce przekonująco można mówić o konieczności utrwalania i ćwiczenia mechanizmów, to na świecie nie wszędzie tak to wygląda. Gdy u nas w kraju 94 proc. nauczycieli matematyki zadaje do domu codziennie lub trzy–cztery razy w tygodniu, w Czechach robi to 36 proc. matematyków w podstawówkach. W Anglii 83 proc. matematyków zadaje prace domowe

eprasa.pl dfe5ca67de

jeden raz, dwa razy w tygodniu. W Szwecji jeden raz lub dwa razy w tygodniu samodzielną pracę po lekcjach uczniom zleca 48 proc.

Polscy nauczyciele są przekonani – według badania SUEK prowadzonego w Instytucie Badań Edukacyjnych – że zadając prace domowe, nie tylko m.in. utrwalają materiał (99,6 proc. badanych), wyrabiają nawyk systematycznej pracy (99 proc.), pozwalają uczniom (sic!) przygotować się do sprawdzianów (98,1 proc.), lecz także są przekonani, iż w ten sposób rozwijają zainteresowanie uczniów przedmiotem (91,5 proc.) i ich motywację do nauki (96,1 proc.).

Bardzo się mylą. W Polsce przyjrzano się bowiem efektywności częstego zadawania prac domowych. Zrobili to naukowcy IBE w badaniu z 2015 r. „Szkolne pytania. Wyniki badań nad efektywnością nauczania w klasach IV–VI". W kraju badano tych samych uczniów na początku IV klasy szkoły podstawowej i pod koniec klasy VI (gdy nauka w SP kończyła się na tym etapie). Okazało się, że więcej czasu poświęcanego na prace domowe oznaczało gorsze wyniki edukacyjne.

„Wyniki analiz pokazują, że – uwzględniając zróżnicowanie uczniów ze względu na płeć, wiek, wcześniejsze osiągnięcia, status społeczno-ekonomiczny rodziny etc. – im więcej czasu poświęcają oni na odrabianie zadań domowych, tym gorsze ich efekty edukacyjne (mniejszy przyrost wiedzy)" – piszą badacze IBE. Przy czym z matematyki pogarszały się efekty zwłaszcza tych uczniów, którzy po III klasie SP mieli najlepsze wyniki matematyczne. W nauczaniu języka polskiego gorsze wyniki mieli wszyscy, nie tylko najlepsi.

Badacze zastrzegają jednak, że ta tendencja zauważana także w Europie nie jest do końca poznana – nie wiemy, dlaczego dzieci poświęcają dużo czasu na pracę w domu. Może to być wynik wielu różnych czynników. Wiadomo jednak na pewno, m.in. z badań niemieckich, że pomoc rodziców nie zawsze jest korzystna. Gdy dziecko jej w domu oczekuje, pomoc rodziców procentuje w osiągnięciach. Gdy jednak uczeń jej nie chce i odbiera ją jako nadmierną kontrolę, wpływ rodziców przy odrabianiu prac domowych działa negatywnie. Tymczasem polscy nauczyciele za jeden z celów prac domowych uważają angażowanie rodziców w naukę dziecka (tak deklaruje ok. 40 proc.).

uczniów?

FOT. ADOBE STOCK

Wiadomo też inną rzecz, którą powinni wziąć pod uwagę matematycy pracujący w polskich podstawówkach. W ich przypadku „ani częstość zadawania prac domowych, ani szacowany czas konieczny do ich odrobienia nie są związane ze wzrostem wiedzy uczniów. Co istotne, to, jak często uczniowie otrzymują zadania domowe oraz jak dużo czasu – w opinii nauczyciela – muszą nad nimi spędzić w domu, nie ma istotnego znaczenia ani dla uczniów »lepszych«, ani dla uczniów »słabszych«" – dowiedli pięć lat temu badacze IBE.

Poloniści jeszcze bardziej powinni się zastanowić nad celowością częstego zadawania prac domowych. Jeśli bowiem chcą kształcić pracami domowymi czytanie i świadomość językową, to powinni wiedzieć, że „[...] im częściej nauczyciele zadają prace domowe z języka polskiego, tym mniejszy jest przyrost wiedzy uczniów między III a VI klasą" – czytamy w badaniu IBE.

NA ŚWIEŻYM POWIETRZU

Jest jeszcze inny paradoks pandemiczny, który dotyczyć może dzieci w młodszych klasach podstawówki i w przedszkolach. W Polsce dzieci najczęściej „więzione" były przez wiele godzin w klasach (nie bez wpływu jest tu postawa rodziców, którzy sami każą im często siedzieć w domach, a na powietrze wysyłają je opatulone za ciepło itd.). A to nie jest dla nich najlepsze. To się z czasem zmieniało i dzieci w zerówkach czy przedszkolach wychodzą już na spacery.

Tymczasem Skandynawowie od lat pokazują, że dzieci mogą spędzać prawie cały dzień na zewnątrz i to niezależnie od pogody. Maluchom pozwala się także w wilgotne dni hasać np. po lesie. Potem czekają w drewnianej budce na to, by ubrania trochę przeschły przy ognisku. Dzieci spędzają też więcej czasu na zewnątrz podczas zimy. Śnieg i mróz nie są przeszkodą. Owszem, bardzo trudno zrobić „norweskie leśne przedszkole" w centrum dużego miasta w Polsce, ale spędzić czas edukacyjnie można też w parku. A poza dużymi miastami okazji do spotkania z naturą nie brakuje.

I znów – dopiero pandemia może sprawić, że i nauczyciele, i rodzice chętniej będą myśleć o zabieraniu dzieci z zatłoczonych klas i korytarzy na zewnątrz. To maluchom może wyjść tylko na zdrowie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dfe5ca67de

Agnieszka Niewińska

Koronosceptycy ze świecznika

Pandemia to zamach na ludzkość, maseczki są niezdrowe i niezgodne z konstytucją, a za wszystkim stoi Bill Gates – to tylko niektóre tezy stawiane przez rodzimych celebrytów

Aktor Tomasz Karolak nie chce przestrzegać obowiązku noszenia maseczek FOT. VIPHOTO/EAST NEWS

Doświadczyłem wyproszenia ze sklepu Ikea dlatego, że nie zasłaniałem maseczką ust i nosa, mimo że mam badania z krwi, że wszystko jest w porządku, bo egzystuję na planach filmowych – pożalił się w zamieszczonym na Instagramie nagraniu aktor Tomasz Karolak. Stwierdził, że to on powinien wezwać do sklepu policję, bo bezpodstawnie go z niego usunięto. – Idiotyzm tej całej sytuacji polega na tym, że bezczelny ochroniarz przyczepia się do mnie i wyprasza mnie z kierowniczką ze sklepu, bo nie zakrywam ust i nosa mimo badań z krwi, natomiast wszyscy w restauracji Ikea kupują, jedzą bez maseczek – argumentował Karolak w filmiku, który obiegł media i doczekał się tysięcy komentarzy.

Satyryk Szymon Majewski zakpił z Karolaka, prezentując w sieci maseczkę dla celebrytów. „To powszechny problem, że niektórzy znani nie chcą nosić maseczek. Powód? To oczywiste, w maseczkach znani przestają być znani. Dlatego, żeby im pomóc, wymyśliłem maseczkę bikini, model Celebrity Pro Twarz. Z nią każdy znany jest wciąż znany" – tłumaczył Majewski na swoim facebookowym profilu, zamieszczając swoje zdjęcie w nader skąpej maseczce własnego projektu.

IKEA ODPOWIADA

Historia Karolaka wyrzuconego ze sklepu zrobiła się tak głośna, że Ikea postanowiła zabrać głos w tej sprawie. „Zdrowie naszych pracowników oraz klientów traktujemy priorytetowo, dlatego na terenie sklepów IKEA egzekwujemy obowiązek zasłaniana ust i nosa. Nie obsługujemy klientów, którzy nie zakrywają ust i nosa przy pomocy odzieży lub jej części, maseczek lub przyłbic ochronnych, aby zapewnić bezpieczeństwo naszym pracownikom oraz osobom odwiedzającym nasze sklepy" – oświadczył przedstawiciel szwedzkiej sieci. Sklep na swoich stronach internetowych powołuje się na rozporządzenie Rady Ministrów z dnia 7 sierpnia 2020 r,. które nakazuje korzystać z maseczek w takich miejscach jak sklepy. „IKEA działa zawsze zgodnie z obowiązującym w Polsce prawem" – czytamy na stronie firmy.

Karolak wskazuje jednak, że nakaz noszenia maseczek jest bezprawny. Orzekł już w tej sprawie Sąd Rejonowy w Kościanie (woj. wielkopolskie). Uznał, że nakaz noszenia maseczek został wprowadzony z naruszeniem konstytucji, bo rząd wydał w tej sprawie rozporządzenie, a powinien to zrobić w drodze ustawy. Z kolei Sąd Rejonowy w Suwałkach nałożył na ekspedientkę 100 zł kary za to, że odmówiła sprzedaży towaru klientce bez maseczki.

Na problem nakazu chodzenia w maseczkach już w maju zwracał uwagę

eprasa.pl dfe5ca67de

rzecznik praw obywatelskich. – Nakaz zakrywania ust i nosa w miejscach ogólnodostępnych wydano z naruszeniem zasad tworzenia prawa – uznał Adam Bodnar. – Jeżeli Rada Ministrów uznaje wprowadzenie powszechnego obowiązku zakrywania ust i nosa za niezbędne w związku z trwającą epidemią, to niezbędne jest pilne skierowanie do Sejmu projektu ustawy pozwalającego na takie ograniczenie – podsumował RPO.

Ministerstwo Zdrowia twierdzi jednak, że maseczkowy obowiązek ma ustawowe umocowanie. Biuro Prasowe Ministerstwa Zdrowia w przesłanej „Do Rzeczy" informacji stwierdza, że jest związany bezpośrednio z przepisami ustawy z 2008 r. o zapobieganiu oraz zwalczaniu zakażeń i chorób zakaźnych u ludzi.

Czy to przekona Tomasza Karolaka? Wątpliwe, zwłaszcza że już na początku obowiązywania obostrzeń w związku z pandemią dał się poznać jako celebryta koronosceptyczny. W kwietniu mówił, że wątpi we wszystkie nakazy i zakazy. – Czym się różni nasza rzeczywistość teraz od tej rzeczywistości trzy tygodnie temu, kiedy nie trzeba było nosić maseczek? Niczym. Oczywiście rozumiem ochronę starszych, ale to jest prawdziwe pomieszanie z poplątaniem. Ja sam mam zdrowe podejście do tej pandemii i nie popadam w paranoję. Jednak rozmawiając ze znajomymi, nieraz mamy wrażenie, że jesteśmy odgórnie sterowani – opowiadał o swoich odczuciach magazynowi „Gala".

GÓRNIAK: „WDYCHAMY WŁASNE SPALINY"

Prym wśród wątpiących w pandemię celebrytów wiedzie partnerka Karolaka – aktorka i modelka Viola Kołakowska. W mediach zasłynęła odezwami do byłego już ministra zdrowia Łukasza Szumowskiego. „Panie ministrze, pan przestanie pić. Pan zadba o zdrowie psychiczne i się od nas odczepi" – napisała. „My doskonale wiemy o tym, że nie ma żadnej pandemii! Pokazują nam to prawdziwe liczby, nie wasze zmanipulowane. Nie chcemy tego, nie chcemy Was, chcemy, żebyście oddali nam nasze życie! Ono należy do nas, nie do was! Zajmijcie się swoim zdrowiem psychicznym i odwalcie się od nas. Pan sobie może szczyty zachorowań kreować, ale w swoim ogródku, a nie w naszym życiu i naszym państwie" – perorowała Kołakowska. W jednym z filmików stwierdziła, że za „koronawirusowym spiskiem" stoi prezes Microsoftu Bill Gates.

Ostrych słów Kołakowska nie szczędziła nawet krytycznym wobec jej wywodów kolegom z show-biznesu. Hanna Lis postulowała, by odłączyć jej Internet. „Hanka ma w głowie dużo makaronu" – odgryzła się Kołakowska.

Wiele do powiedzenia na temat pandemii ma też Edyta Górniak. I trudno się dziwić, bo branża muzyczna jest jedną z tych, które najbardziej straciły na wprowadzonych obostrzeniach. – To jest bardzo, bardzo gruby scenariusz. Uważam, że to jest zamach na ludzkość, to, co się wydarzyło – mówiła kilka dni temu o pandemii reporterowi Pudelka.

Wcześniej ogłosiła, że maseczki są „potwornie niezdrowe". – Można się udusić, można spowodować, że będzie większa wilgoć w oskrzelach – to wywoła kaszel. Nie ma prawidłowej cyrkulacji powietrza – opowiadała w sieci niczym ekspert. Dodawała, że nosząc maseczkę, „wdychamy własne spaliny". – Może pani Edyta Górniak ma maseczkę z torebki foliowej? – dziwił się dr Paweł Grzesiowski, prezes Fundacji Instytut Profilaktyki Zakażeń, w rozmowie z serwisem noizz.pl. – Proponuję zmienić maseczkę foliową na normalną maseczkę. Maska nie zatrzymuje powietrza, ale je filtruje, nie wdychamy więc tego powietrza, które wydychamy – mówił, odnosząc się do teorii Górniak.

Piosenkarka doradzała nawet konsumpcję mydła: „Tak się zastanawiam, co to za wirus, że zabija go mydło, ale żaden lek go nie zwalczy. Może, zamiast czekać na szczepionkę, warto zjeść kawałek mydła?" – napisała w mediach społecznościowych.

Zapowiedziała już, że na koronawirusa się nie zaszczepi. – Dopóki żyję, nie dam się zaszczepić. Jeśli to będzie przymusowe, to przysięgam, jak tutaj jestem, że wolę odejść z tego świata, niż dać komukolwiek wstrzyknąć w mój organizm cokolwiek, czego ja nie znam i nie posiadam wiedzy i możliwości, żeby pójść do laboratorium i analitycznie sprawdzić, co zostaje wprowadzone do mojej krwi – mówiła w programie kontrowersyjnego youtubera Marcina Roli.

Od koronosceptycznych uwag nie stroni koleżanka Górniak z branży muzycznej – Doda. Udostępnia np. materiały o szkodliwości maseczek, a niedawno na temat pandemii wypowiedziała się w facebookowym wpisie opatrzonym zdjęciem z zagranicznych wakacji. „Nie wiem jak na waszych urlopach, ale tu kompletnie zapomina się o tym wirusowym szaleństwie. Całkiem inny, normalny świat. Czasami jak włączę Facebooka, to mam: dżizaaaas ta cała »pandemia« jeszcze się nie znudziła? Dlatego wyłączam go szybko i wracam do tych widoków".

POPULARNOŚĆ JEST NIEZBĘDNA

Psycholog społeczny dr Ireneusz Siudem zwraca uwagę, że niektórym celebrytom czy gwiazdom YouTube'a zdarza się szerzenie niesprawdzonych informacji i dzielenie się teoriami spiskowymi, by zaistnieć. – Głoszone przez nich kontrowersyjne opinie nagłaśniane są w mediach społecznościowych, opisywane na portalach. Dzięki temu osoby te zyskują popularność, która jest im niezbędna – mówi dr Siudem. – Teorie spiskowe szerzą się wtedy, kiedy brakuje nam wiedzy, danych, fachowego wytłumaczenia sytuacji, a także wówczas, kiedy pojawia się w nas lęk. Tak jest właśnie w przypadku pandemii. Okazało się, że nie jesteśmy w stanie zapanować nad wirusem, więc szukamy wytłumaczeń dla tej sytuacji. Jedni twierdzą, że to spisek najpotężniejszych państw, inni, że to forma wprowadzenia kontroli nad społeczeństwem, a jeszcze inni widzą w tym aktywność kosmitów. Zaczyna działać nasza wyobraźnia podsycona obrazami z filmów science fiction, historiami z literatury fantastycznej. Opowiadanie zasłyszanych teorii spiskowych w towarzystwie dodatkowo dodaje nam atrakcyjności. Nietuzinkowość jest przecież w cenie – mówi psycholog społeczny.

Zwraca uwagę, że celebryci dzielący się swoimi opiniami mogą odgrywać dwojaką rolę. – W Internecie ważniejsza od twardej wiedzy i wyników badań jest wiarygodność. Znane osoby dla wielu, zwłaszcza młodych, ludzi są idolami, z których opiniami się nie dyskutuje. Tę wiarygodność celebryci mogą wykorzystać do kreowania pożądanych społecznie postaw, ale też głosząc nieprawdę, spowodować wiele szkód – przestrzega dr Siudem.

Tomasz Karolak naśladowców już znalazł. W sieci grupy klientów zaczęły skrzykiwać się na wspólne zakupy bez masek w siei Ikea. Aktor do akcji chyba już nie dołączy, bo zapowiedział, że w Ikea więcej nic nie kupi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dfe5ca67de

Z Krzysztofem Węglarzem, scenarzystą
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Na celowniku Armii Krajowej

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Jaka była geneza tytułu serialu. Kim są „ludzie", a kim „bogowie"?

KRZYSZTOF WĘGLARZ: Tytuł jest przewrotny. Każdy może go sobie zinterpretować indywidualnie. Taki był zamiar scenarzystów.

Jednostka konspiracyjna o kryptonimie Pazur istniała naprawdę?

Jest ściśle wzorowana na rzeczywistym oddziale kontrwywiadu Armii Krajowej – „Wapienniku". „Pazur" to nasza licentia poetica. Główni bohaterowie filmu, Leszek Zaremba ps. Onyks oraz Tadeusz Korzeniewski ps. Dager, są fikcyjni.

Z historii czerpaliście jednak obficie.

Jak najbardziej! Wykorzystaliśmy okupacyjne epizody autentycznych bojowników AK, m.in. Leszka Kowalewskiego „Twardego", Tadeusza Towarnickiego „Naprawy", „De Vrana", Izabelli Horodeckiej „Teresy", Danuty Hibner „Niny", Ryszarda Duplickiego „Gila", Lucjana Wiśniewskiego „Sępa", Józefa Fabisiaka „Boksera" oraz czterech braci Bąków.

Wertując scenopis „Ludzi i bogów", miałem skojarzenia z opowiadaniem Jerzego Gierałtowskiego pt. „Wakacje kata" oraz z jego adaptacjami, teatralną i kinową – „Wyrok śmierci". Obcowaliśmy tam z duetem konspiracyjnych cyngli – o pseudonimach Smukły i Nurek – (w interpretacjach – odpowiednio – tandemów aktorskich Daniel Olbrychski – Roman Wilhelmi oraz Wojciech Wysocki – Jerzy Bończak), których psychikę deformują wykonywane przez nich egzekucje. Spektakl Teatru TVP w reż. Zygmunta Hübnera doczekał się nawet zaszczytnego miana „półkownika"...

Nie, nie inspirowaliśmy się tą książką i jej adaptacjami.

Na początek telewidzowie poznają dzieje emblematycznego artysty renegata Igo Syma.

Podporucznik Roman Rozmiłowski „Zawada" i kapral Wiktor Klimaszewski „Mały", likwidatorzy tego popularnego kinowo-teatralnego amanta o polsko-austriackich korzeniach – zwerbowanego przez niemiecki wywiad już w latach 30., a u progu okupacji dyrektora Theater der Stadt Warschau (tak Niemcy przemianowali Teatr Polski,

eprasa.pl dfe5ca67de

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

„Ludzie i bogowie" – serial TVP

Scenariusz: Krzysztof Węglarz i Wenanty Nosul, reżyseria: Bodo Kox, zdjęcia: Arkadiusz Tomiak. Obsada: Jacek Knap, Dawid Dziarkowski, Marianna Zydek, Tomasz Schuchardt, Aleksandra Justa, Bartłomiej Kotschedoff i inni. Premiera pierwszego z 13 odcinków: niedziela, 13 września, godz. 20.15, TVP1

opatrując go szyldem Nur für Deutsche) i współpracownika gestapo – nie przeżyli wojny. Akcję obstawiał Kowalewski – „Twardy". Kamienica przy ul. Mazowieckiej, gdzie mieszkał Sym, już nie istnieje.

Jakie inne akcje polskiego podziemia wykorzystano w scenariuszu?

„Wapiennik" wykonał wiele spektakularnych operacji. Na szklanym ekranie zobaczymy choćby zamach na groźnego agenta gestapo Józefa Staszauera, przeprowadzony w barze Za Kotarą u zbiegu ulic Mazowieckiej i Świętokrzyskiej, likwidacją Nadwywiadu Rządu Londyńskiego, akcją w kawiarni Europejska (róg ulic Wilczej i Marszałkowskiej), wykonanie wyroku śmierci na Erneście Dürrfeldzie, komisarzu warszawskich przedsiębiorstw komunalnych, który wielokrotnie doprowadzał do aresztowań Polaków, a następnie ich wysyłek do obozów koncentracyjnych...

Niektóre wyroki śmierci wykonywane w okupowanej Warszawie (np. sprawy Stefana Witkowskiego czy Stanisława Jastera „Hela") wciąż budzą poważne wątpliwości. Takie historie też obejrzymy?

Ukazanie losów inżyniera Witkowskiego, twórcy konspiracyjnej organizacji wywiadowczej „Muszkieterowie", przewidzieliśmy na drugi sezon serialu, ponieważ ta ciągle niewyjaśniona historia też wiąże się z działalnością „Wapiennika".

Jak powstaje scenariusz na cztery ręce? Firmuje go pan razem z Wenantym Nosulem.

Zaczęło się od lektur. Ponad 100 przeczytanych książek, bezpośrednio lub pośrednio związanych z głównym tematem, oraz multum publikacji opisujących dzień powszedni okupacyjnej Warszawy. Plus oczywiście dużo tekstów osiągalnych jedynie w Internecie. Scenariusz tworzyliśmy wspólnie poprzez Skype'a. Jeśli się ma drabinki poszczególnych odcinków, to rozpisanie w ten sposób scen na dialogi jest proste. Nanosząc poprawki, analizowaliśmy każde słowo i frazę.

Z jakich tytułów korzystaliście, kreując fabułę?

Długo by wymieniać, mogę podać kilka: „Akcje zbrojne podziemnej Warszawy 1939–1944" prof. Tomasza Strzembosza, „Z wyroku Polski podziemnej" Juliusza Kuleszy, „1859 dni Warszawy" Władysława Bartoszewskiego, „Kronika lat wojennych i okupacji" Ludwika Landaua, „Cztery z tysiąca" Cezarego Chlebowskiego, „Okupowanej Warszawy dzień powszedni" prof. Tomasza Szaroty, „Warszawa 1942 r. Zapiski szofera szwajcarskiej misji lekarskiej" Franza Blattlera...

Zdjęcia realizowano w miejscach, gdzie przeprowadzano zamachy?

Niestety nie, ponieważ prawie żadna lokalizacja się nie zachowała – z małymi wyjątkami, jak na przykład ul. Tamka. Powstanie Warszawskie gruntownie zmieniło topografię stolicy, miasto odbudowano w innym kształcie, toteż bardzo duża część zdjęć była kręcona w Łodzi.

Dialogi pisaliście pod poszczególnych aktorów?

Nie, bo wyselekcjonowano ich z castingu już po napisaniu całego sezonu, tj. 13 odcinków.

Tkając narrację, konsultowaliście się z historykami?

Każdy odcinek weryfikował dr Paweł Kosiński, historyk zatrudniony do tego projektu przez TVP.

Telewidzowie będą mieli możliwość porównania serialu z innymi polskimi filmami o podobnej problematyce (m.in. „Akcja pod Arsenałem", „Zamach", „Pigułki dla Aurelii", „Stajnia na Salwatorze", „Kolumbowie", „Polskie drogi"). Oglądaliście je?

Oczywiście, że tak – podobnie jak większość rodaków w tamtych czasach. Seriale współczesne rządzą się jednak zupełnie innymi prawami niż filmy tworzone w ubiegłym stuleciu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Krzysztof Węglarz – scenarzysta (telenowele „Klan" i „Plebania", serial „Ojciec Mateusz", cykl paradokumentalny „Malanowski i Partnerzy", film i serial „Skorumpowani"). 30 sierpnia Krzysztof Węglarz autoryzował powyższy wywiad. Dwa dni później nagle zmarł. Miał dopiero 58 lat.

eprasa.pl dfe5ca67de

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

Kto pisze w głowie Dukaja

Piotr Gociek

„Imperium chmur", wywiedziona z „Lalki" Prusa historia alternatywna, to klucz do filozoficznych rozważań autora „Lodu"

Jacek Dukaj, zwykłem prawić gościom na seminariach dla wydawców i tłumaczy z zagranicy, różni się od Lema tym, że jest wytrawnym opowiadaczem historii. Lem męczył się, wymyślając fabuły i bohaterów, bezpieczniej czuł się w eseju. Dukaj czuje prozę o wiele lepiej, ma szerszy wachlarz konwencji literackich, wystarczy sięgnąć do jego wcześniejszych opowiadań, wziąć do ręki „Lód", powieść potężną, ale przepełnioną wręcz rozmaitymi wydarzeniami, bohaterami i liniami fabularnymi. Jego najnowsza powieść „Imperium chmur" przypomina z kolei i o tym, że takim zwykłym opowiadaczem historii Dukaj nie jest. Robi to bardzo po swojemu i nie bierze jeńców.

„Imperium chmur" to premiera, która jednocześnie premierą nie jest. Tekst ukazał się już wcześniej w obszernej i pięknie ilustrowanej antologii „Inne światy" (SQN, 2018). Teraz wydany został przez Wydawnictwo Literackie jako osobny tom, w szacie graficznej spójnej z kanoniczną edycją dzieł Dukaja.

ŻELAZO DUCHA

Pomysł wywiedziony jest z polskiej klasyki literackiej, z „Lalki" Bolesława Prusa, a dokładnie z jedynego jej fragmentu zahaczającego o fantastykę. Pamiętacie prof. Geista? Spotkał go Stanisław Wokulski podczas podróży do Paryża. Geist stworzył metal lżejszy od powietrza, podziwu godne osiągnięcie, zwłaszcza że Prus wymyślił tę figurę ponad dekadę wcześniej od Herberta George'a Wellsa, który w powieści „Pierwsi ludzie na Księżycu" kazał podróżować swoim bohaterom na powierzchnię ziemskiego satelity statkiem napędzanym właśnie metalem

eprasa.pl dfe5ca67de

JACEK DUKAJ „IMPERIUM CHMUR" WYDAWNICTWO LITERACKIE 2020

lżejszym od powietrza – kaworytem.

„A gdyby tak…" – zastanawia się Dukaj, gdyż jego „Imperium chmur" jest historią alternatywną – „gdyby tak Polacy znaleźli militarne zastosowanie dla metalu Geista?". Polski naonczas nie ma i nawet wyposażonej w rewolucyjną technologię trudno by jej było wygrać z trzema zaborcami naraz. Potrzebny jest zatem sojusznik. Okazuje się nim wkraczająca właśnie na ścieżkę modernizacji Japonia. To tam Wokulski, przepraszam, Wo Ku Kyi, jak zwą go mieszkańcy Nihonu, oraz inni polscy wygnańcy uczą poddanych cesarza trudnej sztuki wytopu metalu lżejszego od powietrza, nazywanego Żelazem Ducha. A także tego, jak produkować „dalekolotniki nadchmurne", „transportowce modułowe" i „ciężkie niszczyciele podchmurne" oraz „szybkich szermierzy taktycznego niskiego lotu".

Plan jest śmiały – wyposażona w podniebną flotę wojenną Japonia wyda wojnę Rosji, absorbując i osłabiając cara na tyle, żeby powstanie w Polsce miało szansę powodzenia. Niepisane porozumienie ma przynieść lepszą przyszłość obu jego stronom. Musi być niepisane. Bo jakże podpisać pakt z Krajem Którego Nie Ma? Dzieje ambitnego przedsięwzięcia obserwujemy oczami dziewczęcia imieniem Kiyoko, które stanie się na Hokkaido kronikarzem wydarzeń tego, co dzieje się w Trzech Dolinach i nie tylko.

„Imperium chmur" nie jest jednak standardową historią alternatywną, czyli napisaną przystępnym językiem opowiastką, w której jedyną metodą zaskakiwania czytelnika jest odmienne niż w naszej wersji dziejów rozstawianie znanych figur. Niejeden pisarz (śmiem twierdzić – niemal każdy inny pisarz) zająłby się mozolnym opisem alternatywnego świata przedstawionego, wyliczając dokonania poszczególnych armii, polityków i naukowców mniej więcej tak jak w zwykłej powieści historycznej, tyle że z przestawioną zwrotnicą. Dukaj pomysł z latającą flotą rzuca, owszem, sojusz polsko-japoński tworzy oraz, owszem, przygląda się konsekwencjom działań zdesperowanych oraz nadambitnych bohaterów (zgadnijcie, którzy występują po której stronie). Tak naprawdę interesuje go jednak coś zupełnie innego. Nawet kilka „cosiów".

Po pierwsze, traktuje swe obowiązki fantasty bardzo poważnie, to znaczy tworząc inny świat, nie zamierza stosować wobec siebie taryfy ulgowej. Przywykliśmy do tego, że rozrywkowe książki czy seriale historyczne, a także fantastyczne traktują swą historyczność i fantastyczność mocno umownie. Żeby zaznaczyć „historyczność" opowieści o starożytnym Rzymie, każe się od czasu do czasu bohaterom zakrzyknąć: „Ave!", a aby podkreślić „obcość" napotkanej przez telewizyjnych kosmicznych podróżników rasy, wrzuca się na początek kilka scen, w których wydają dziewaczne chrapliwe odgłosy. Potem zaś dialogi i narracja idą współczesnym językiem.

Dukaj, wybierając punkt widzenia, wybrał także rodzaj opowieści, którą musi napisać, a skoro punkt widzenia jest japoński, to musiał napisać (imitować?) opowieść japońską. Zanurzył się więc w język, kaligrafię, literaturę i dalejże montować swą alternatywkę w sposób, który wywołać może u niejednego czytelnika poczucie głębokiej obcości. Nie mam bowiem wątpliwości, że znajdą się zarówno ci, którzy dla samego piękna metafor i siły kreacji z przyjemnością w ów świat Dukaja się zanurzą, jak i ci, którzy odpadną błyskawicznie, gdyż chcieliby raczej przeczytać „markiza wyszła z domu o piątej" niż „gaj bogini nad doliną obłoków rośnie w śmiechu małej Kiyoko".

Piękny to przykład metafikcji. Dukaj wymyśla Kiyoko, która wymyśla (bo zapisuje, a przecież znaki na papierze nie są rzeczywistością, lecz jej cieniem na papierze) czyny i słowa bohatera, którego wymyślił Bolesław Prus. W naszej głowie działa naraz kilka filtrów: filtrujemy swoją wrażliwością to, co czytamy w „Imperium chmur", które jest Japonią przefiltrowaną przez wrażliwość i narrację Dukaja, przez którą to Japonię filtrowana jest Polska, której w dodatku nie ma, i bohater, którego nie ma, bo powstał w głowie Prusa filtrującego rzeczywistość podczas pisania „Lalki" (rzeczywistość, w której przecież Polski rzeczywiście nie było).

TRAKTAT O JĘZYKU I O POZNANIU

Najciekawiej byłoby przeczytać opinię japońskiego czytelnika i krytyka na ten temat – doceniłby Dukaja, obśmiał czy tylko kiwał głową z uprzejmości? Ale przecież gdyby przełożyć „Imperium chmur" na japoński, to dołożylibyśmy jeszcze jeden filtr percepcji, po raz kolejny ją utrudniając.

Miała być zatem po prostu historia alternatywna, a dostajemy filozoficzny traktat o języku i o poznaniu. „Co robi Kiyoko, kiedy Kiyoko myśli?" – pyta Dukaj w książce. „Kiyoko czyta kształty znaczeń, jakie wykwitają w jej głowie. Kto je tam zasiał? Kto pisze w głowie Kiyoko? Nie Kiyoko. Myśli Kiyoko nie są autorstwa Kiyoko. Kiyoko je tylko myśli, Kiyoko ich nie powołuje. Czy inni ludzie znają początek swych myśli? Czy pamiętają, jak się pisali? Czy również jedynie się myślą?". To jeden z kluczowych fragmentów tej opowieści.

Osobne wydanie „Imperium chmur" wykorzystał Dukaj, by opatrzyć powieść (mikropowieść?) posłowiem, w którym objaśnia swą metodę twórczą i przybliża dręczące go pytania. Jest to dla mnie lektura jeszcze ważniejsza od samej książki, bo przynosi klucz interpretacyjny także do poprzednich utworów autora „Lodu", zwłaszcza do „Innych pieśni". Ale i w odległym o niemal ćwierćwiecze „Xavrasie Wyżrynie" przeczuwał już przecież Dukaj, jak ważne jest Wittgensteinowskie: „Granice mojego języka wyznaczają granice mojego świata".

Wybaczcie jeszcze jeden cytat, ale na cóż mi streszczanie i przybliżanie (czyli nakładanie następnego filtra), skoro rzecz tłumaczy sam Dukaj. „Wzrok pada na tysiąc elementów ujętych w jednej przestrzeni. Co się dzieje w twojej głowie? Czy zdołasz nanizać te wszystkie elementy na nić linearnej narracji językowej? Skłamać każdy akt rzeczywistości materialnej, skroić go pod gramatykę Logosu? Z czego jednak rodzą się narzędzia i bronie dające przewagę w konkurencji między niewolnikami rzeczywistości? Z czego narodziła się nauka i technolgia? Z tej gramatyki, z tej logiki" – rzecze Dukaj. Zbliżając się oczywiście do tego, o czym szeroko pisał w eseistycznym tomie „Po piśmie", w którym zastanawiał się nad fenomenem cywilizacji znaków (czyli pisma), jej unikatowością i jej nadchodzącym zmierzchem.

Wybaczcie też lenistwo, drodzy czytelnicy, wybacz lenistwo Jacku; mam przeczucie, że oddałbym sprawiedliwość tej książce, gdybym spróbował może wcielić się w alternatywnego Bolesława Prusa recenzującego w jednej z fikcyjnych „Kronik Tygodniowych" zapiski Kiyoko. Chciałem jednak, byście usłyszeli o „Imperium chmur" już teraz, a nie za pięć lat.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dfe5ca67de

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Piksel story

★★★★☆☆
REŻ. FRANCE COSTREL
„HIGH SCORE"
USA 2020, DOKUMENTALNY, DYSTR. NETFLIX

High Score" dostarczy odmiennym grupom widzów odmiennych przyjemności. Ci, którzy o świecie gier wideo wiedzą niewiele lub zgoła nic, dowiedzą się, jak powstawały pierwsze prościuteńkie gry w latach 70., jak przyszedł boom na automaty w salonach gier, kto wymyślił konsolę, kto napisał pierwszą komputerową grę role-playing, kto wpadł na pomysł, żeby za pomocą tabeli „high score" dopingować graczy do dalszych wysiłków. I tak dalej.

Ci, którzy są graczami wytrawnymi, dla których wszystko to wiedza oczywista, mogą z kolei na ekranie zobaczyć ludzi, od których to wszystko się zaczęło, ludzi stojących za sukcesem legendarnych tytułów, od „Space Invaders" i „Pac-Mana", przez „Donkey Konga" i serię „Super Mario" oraz „Sonic the Hedgehoga" do gier „Wolfenstein" i „Doom". Realizatorzy serialu nie szczędzili wysiłku i pieniędzy, podróżowali po Japonii i Stanach, ciężko pracowali nad elegancją kadrów, przypomnieli bardzo ciekawe materiały archiwalne (część z nich, pochodzących sprzed cyfrowych czasów, to już rozjeżdżające się obrazki z taśm VHS), w tym z organizowanych przez walczących ze sobą gigantów Nintendo i Sega „mistrzostw świata".

Narrację spinają zabawne „pikselowane" animacje stylizowane na kadry z dawnych gier komputerowych, a narratorem jest Charles Martinet, aktor podkładający od lat głos postaci Mario. Powstało w ostatnich latach trochę ciekawych filmów o historii gier komputerowych (choćby „Easy to Learn, Hard to Master: The Fate of Atari" o historii Atari dostępny w Amazon Prime), ale serial Netflixa jest z nich najefektowniejszy. Coś za coś – pozostaje uczucie niedosytu, bo w sześciu epizodach spróbowano jednocześnie przybliżyć nam ojców założycieli, przedstawić kluczowe gry, przypomnieć przełomy.

Efekt jest taki, że o każdym z poruszonych tematów chciałoby się usłyszeć więcej, a przy różnych okazjach przypominamy sobie o rozmaitych tytułach czy zjawiskach, których nie poruszono w ogóle. A jako że serial jest dzieckiem epoki wzmożenia politycznej poprawności, to niespodziewanie sporo miejsca zajmują kwestie mało istotne: pierwsza gejowska gra RPG „Gay Blade" czy nieustanne przypominanie o tym, jak to gry pozwalały gejom, czarnym i trans oderwać się od wrogiego świata.

Czyżby pozostali użytkownicy grali po to, by sobie ten świat przybliżyć? ©℗

NOWE SERIALE: „AWAY"

Powtórka z rozrywki, czyli o rodzinnych kosztach wyprawy w kosmos. Było o tym w „Pierwszym człowieku", w serialu „The First", a ostatnio i w „Proximie". Tym razem poza Ziemię wybiera się Hilary Swank jako dowódca misji marsjańskiej – na Ziemi zostawia męża i nastoletnią córkę. Akcja rozgrywa się na pokładzie statku sunącego ku Czerwonej Planecie, ale obfituje w liczne retrospekcje. Ładnie nakręcone, ale mało odkrywcze. Historiami ludzi, którzy wyruszali w nieznane, nie wiedząc, czy wrócą, napisana jest cała historia ludzkości. ©℗ ***Piotr Gociek***

• ***Sezon 1 „Rozłąka" („Away"), USA 2020, wyst. Hillary Swank, Talitha Eliana Bateman, dystr. Netflix***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *reż. Chris Butler* ***„Praziomek" („Missing Link"),*** *USA 2019, animowany, HBO* HBO GO
- *reż. Xiaoshuai Wang* ***„Żegnaj, mój synu" („Di Jiu Tian Chang"),*** *Chiny 2019, obyczajowy, Cinemax* CINEMAX
- *reż. Quentin Dupieux* ***„Deerskin" („Le Daim"),*** *Francja 2019, thriller, Canal+* CANAL+

eprasa.pl dfe5ca67de

Pożegnanie z pasiakiem

vod.pl

TikTok ma kłopoty, lecz się nie poddaje. Amerykańskie dzieciaki w ramach akcji #HolocaustChallenge występują tam ucharakteryzowane na więźniów Auschwitz. Być może zainspirował je amatorski spektakl z Lubelszczyzny, w którym uczniowie podstawówki, udający esesmanów, „gazowali" rówieśników przebranych w pasiaki. Filmowcy też trzymają rękę na pulsie. W „Jojo Rabbit" oglądaliśmy wojnę oczami poczciwego chłopca z Hitlerjugend. Zbiorowym bohaterem „Wilkołaka" Adriana Panka jest grupa nieletnich więźniów obozu koncentracyjnego Gross-Rosen, która jakimś cudem doczekała klęski III Rzeszy. Wydawałoby się, że Władek, Mała i spółka najgorsze mają już za sobą.

Umieszczeni w nie do końca jeszcze rozszabrowanym pałacu w środku lasu będą jednak zmuszeni stoczyć kolejny bój o przetrwanie. Z przeciwnikiem groźniejszym od niemieckich maruderów i gwałcicieli z Armii Czerwonej. Dzieciaki są trochę zdziczałe, ale „Wilkołak" jest ustawiony w kontrze do „Władcy much". To film o przezwyciężaniu obozowej traumy, bardziej moralitet niż horror, sprytnie wykorzystujący bajdy o tajemniczych bunkrach, porośniętych bluszczem rezydencjach i psach upodobniających się do właścicieli. Chociaż to ostatnie jest podobno szczerą prawdą. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆

REŻ. ADRIAN PANEK
„WILKOŁAK"
HOLANDIA/ NIEMCY/POLSKA 2019, KINO ŚWIAT

wyst. Kamil Polnisiak, Sonia Mietielica, Nicolas Przygoda

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

OGÓRKOWY KRÓL

HBO GO

Rok 1920. Europa Wschodnia tonie w błocie i nędzy. W lasach grasują wilki, w sztetlach pijani, nienawidzący Żydów Kozacy. Zniechęcony Herschel Greenbaum emigruje do Nowego Jorku, gdzie wpada do beczki ogórków. Wyjdzie z niej – świetnie zakonserwowany – dopiero po stu latach. W nowym życiu poradzi sobie lepiej niż w starym, choć niektóre XXI-wieczne dziwactwa, takie jak elektryczne hulajnogi, równouprawnienie kobiet i zakaz obrażania sodomitów, nie przestaną go zdumiewać. Najbardziej martwi Herschela jego prawnuk, który nie ma żony, dzieci, przyjaciół i szerokim łukiem omija synagogę. „Jesteś głupszy niż Polak, a oni są najgłupsi" – strofuje Bena. Wytwórnia zaniechała kinowej dystrybucji „Amerykanina w marynacie" nie z powodu pandemii, lecz z braku wiary w jego komercyjny potencjał. Dopóki Rogen (który gra obie główne role) błaznuje, dopóty da się jeszcze wytrzymać. Niestety, próbuje również wzruszać.

★★☆☆☆☆

REŻ. BRANDON TROST
„AMERYKANIN W MARYNACIE" („AN AMERICAN PICKLE")
USA 2020

wyst. Seth Rogen, Sarah Snook, Molly Evensen

MALINOWY DETEKTYW

N

Parodiować trzeba umieć. Etan Cohen (nie mylić z Ethanem Coenem) miał do dyspozycji solidny budżet i niezłą obsadę, lecz zgubił go pociąg do hazardu. Trudno bowiem inaczej wytłumaczyć to, że zdecydował się stanąć za kamerą, choć zamiast scenariusza wypocił wiązankę skeczy, luźno związanych z twórczością Arthura Conan Doyle'a. Co gorsza, poziom tych skeczy, z kilkoma wyjątkami, jest zawstydzający. Duet Ferrell/ Reilly, który sprawdził się w „Braciach przyrodnich", tutaj zawiódł na całej linii. Bez dwóch zdań Złote Maliny trafiły we właściwe ręce. Z Holmesa robiono już geniusza, narkomana i patentowanego bęcwała. Umieszczano go w średniowiecznym klasztorze („Imię róży") i amerykańskim szpitalu („Dr House"). Po tak intensywnej eksploatacji przydałaby się dłuższa przerwa. Film Cohena najlepiej oglądać w pozycji horyzontalnej, żeby wyłapać nisko latające dowcipy. ©℗

recenzuje Wiesław Chełminiak

★☆☆☆☆☆

REŻ. ETAN COHEN
„HOLMES I WATSON" („HOLMES & WATSON")
USA/KANADA 2018

wyst. Will Ferrell, John C. Reilly, Rebecca Hall

GRA TYGODNIA: „NEW SUPER LUCKY'S TALE"

★★★★☆☆

Każdy, kto chociaż raz posiadał konsolę, musiał się zetknąć z niegdyś najpopularniejszym gatunkiem gier: platformówkami. Od „Mario" z Nintendo do „Crasha" z Sony PlayStation – poruszanie się bohaterem do przodu mimo kłód rzucanych pod nogi i czyhających nań hord przeciwników zdefiniowało cyfrową rozrywkę. Czasem miło wrócić do tych klimatów i właśnie taką pozycją są przygody sympatycznego lisa z „New Super Lucky's Tale". To platformówka 3D, z okazjonalnymi poziomami w rzucie izometrycznym, w którym na wzór „Mario Odyssey", przemierzamy kolorowe plansze w pozornie otwartym świecie. Solidny średniak. Pozycja ciekawa dla młodszych graczy. ©℗

Marcin Makowski

- ***Gatunek:*** *Platformowa*
- ***Platforma:*** *PC/PS4/XONE/Switch*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Playful Studios*
- ***PEGI:*** *3+*

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl dfe5ca67de

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Noblowski geniusz i smak

Literacka Nagroda Nobla została przyznana, od momentu jej ustanowienia, 116 osobom: 111 mężczyznom i 15 kobietom. Proporcja jest fatalna dla piszących pań. Lepiej wygląda w czasach nam bliższych: w ciągu ostatnich 30 lat literacki Nobel przypadł dziewięciu kobietom.

O wszystkich laureatkach Literackiej Nagrody Nobla, od Selmy Lagerlöf do Olgi Tokarczuk, opowiada w swojej ciekawej, wyważonej i, przede wszystkim, jakże potrzebnej książce Wanda Michalak – pisarka i muzeolożka, przez ponad 10 lat kierująca Domem Kuncewiczów w Kazimierzu Dolnym, gdzie wydawała pismo „Klematis". Uwzględniła w swojej pracy najróżniejsze aspekty nagrody, w której dziejach werdykty trafne i sprawiedliwe przeplatają się z całkiem chybionymi, jak gdyby Akademia Szwedzka zapominała o mającej jej przyświecać dewizie „Geniusz i Smak". Bo właśnie tego smaku zabrakło jurorom zarówno przy podejmowaniu przez nich sądów, jak i w zachowaniu, które – choćby pośrednio – doprowadziło w 2017 r. do skandalu finansowo-obyczajowego, który tak mocno wstrząsnął posadami Akademii, że w roku następnym literackiego Nobla nie przyznano w ogóle i dopiero po przeprowadzonych zmianach, personalnych i statutowych, nadrobiono zaległości, w zeszłym roku nagradzając dwoje pisarzy: Olgę Tokarczuk i Petera Handkego.

Gdyby ktoś jednak sądził, że odtąd wszystko wróciło do normy i Akademia pławić się będzie w blasku swej mądrości i prawie że nieomylności, głęboko się myli. Wanda Michalak zdążyła umieścić w swojej książce informację z końca zeszłego roku. Oto z nowej grupy eksperckiej współpracującej z wyłaniającym laureatów Norweskim Komitetem Noblowskim wycofały się dwie spośród pięciu tworzących

FOT. MARTIN MEISSNER/AP/EAST NEWS

ją osób: pisarka Gun-Britt Sundström – niepodzielająca stanowiska zadeklarowanego przez akademików, jakoby poglądy polityczne autorów miały nie być brane pod uwagę (co umożliwiło nagrodzenie Handkego) oraz niejaki Kristoffer Leandoer, poeta, krytyk i tłumacz, wyraźnie zniecierpliwiony zbyt wolno, jego zdaniem, dokonującymi się w Akademii zmianami. Ten ostatni – cytuję – jest ojcem rapera o pseudonimie Yung Lean, który spędził część dzieciństwa w Mińsku na Białorusi. Tam, między innymi, pracowała jego matka, Elsa Håstad – międzynarodowa działaczka społeczna i aktywistka ruchu LGBT. Ktoś powie – no i co z tego? Ano to, że bomby z opóźnionym zapłonem mają to do siebie, że nierzadko wybuchają. I zapewne ma rację autorka „Literackich noblistek", zauważając, że to „nie ostatnia sensacyjna wiadomość ze Sztokholmu".

Nie o sensacje chodzi jednak w przywoływanej tu książce, a o literaturę. Noblowskie werdykty często są kwestionowane, nikt rozsądny nie zaneguje jednak faktu, że tak dla pisarstwa, jak dla czytelnictwa wartość Nagrody Nobla jest bezcenna. A wieczne wypominanie, że nie doczekali się jej Tołstoj, Rilke, Joyce czy Gombrowicz, jest bezproduktywne, bo w końcu otrzymali ją Eliot, Camus, Faulkner i tak wielu innych świetnych pisarzy. Dzisiaj, niestety, zapominanych, jak np. ulubiona noblistka Wandy Michalak – Sigrid Undset, laureatka z roku 1928, wspaniale opowiadająca o skandynawskim średniowieczu („Krystyna, córka Lavransa").

Czas weryfikuje oceny, także te noblowskie, i w ogniu sporów o wartość twórczości współczesnej, nagle wyniesionej na wyżyny Parnasu, nie od rzeczy jest przypomnieć sobie to, co było wcześniej. Ogromne znaczenie mają opinie w rodzaju tej, którą swego czasu wypowiedział Czesław Miłosz, przypominając swe młodzieńcze zauroczenie „Cudowną podróżą" Selmy Lagerlof, innej bohaterki „Literackich noblistek", laureatki Nagrody Nobla z roku 1909. Najciekawsze w książce Wandy Michalak są te jej fragmenty, które odnoszą się do całkiem niedawnych decyzji Szwedzkiej Akademii. Chwała autorce, że nie pomija może niewygodnych, a na pewno niepoprawnych politycznie faktów z życia swoich bohaterek, tak jak też uczciwie analizuje ich wypowiedzi, przy czym stawia pytania, a nie rozstrzyga o tym, co dobre, a co złe. Czytelnik ma swój rozum, o dziwo – czytelnik polski także, i może czytając np. kolejny pean o Swiatłanie Aleksijewicz, noblistce z 2015 r., nie zapomni o tym, co mówiła ona w Nowym Jorku o współudziale Polaków w niemieckim ludobójstwie w czasie drugiej wojny światowej. Albo o tym, jak Olga Tokarczuk doradzała rodakom, by od Niemców uczyli się „prostować" swoją historię.

Na koniec coś weselszego. Nieoceniona Oriana Fallaci stwierdziła kiedyś: „Do diabła z Nagrodą Nobla i chwała tym, którzy jej nie przyjmują". Czyli co, chwała Sartre'owi? Wolne żarty. Także Peter Handke popisał się, w 2014 r., jednoznaczną oceną: „Nobel dla pisarzy to farsa". Pięć lat później zmienił zdanie. Zasadniczo. ©℗

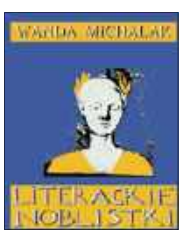

★★★★★★
WANDA MICHALAK „LITERACKIE NOBLISTKI"
VIS-À-VIS ETIUDA, KRAKÓW 2020

eprasa.pl dfe5ca67de

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Słowo z Islandii

Literacka poczta przyniosła tego lata z Islandii nie kryminały, lecz dwie powieści mainstreamowe. Jedna przyzwoita, druga bardzo dobra, obydwie są dziełem pań. „Blizna" pióra Auður Avy Ólafsdóttir to historia zaskakująca protagonistą, Islandka próbuje bowiem wejść do głowy mężczyzny po pięćdziesiątce i z jego punktu widzenia opowiadać świat.

Książka mogłaby nosić tytuł „Jonas postanawia umrzeć", bo niemal połowę zajmują w niej rozważania, w jaki sposób główny bohater mógłby pożegnać się z życiem. Jonas uważa, że jego życie jest puste i pozbawione sensu, a żeby nie robić rodzinie i znajomym przykrości, swój samobójczy zamiar postanawia zrealizować z dala od domu. Leci więc do pewnego fikcyjnego odległego kraju (z Islandii chyba wszystkie wydają się odległe), gdzie zamiast zimnego grobu znajduje katharsis. „Blizna" to książka ogólnie słuszna, przypominająca o tym, że warto żyć dla innych, że jedyny sposób na budowanie lepszego świata to zakasanie rękawów i zabranie się do roboty (dosłownie). Wypada przytaknąć, ale literacko nie porywa.

„Święte słowo" to powieść lepsza o klasę nie tylko od „Blizny", lecz także od poprzedniej książki Sigríður Hagalín Björnsdóttir („Wyspa"), wysilonej i wtórnej paraantyutopii. Opowieść niby-rodzinna, ale z szalonym haczykiem, czym przypomina najlepsze książki Johna Irvinga chociażby (ktoś pamięta „Hotel New Hampshire"?) czy E.L. Doctorowa. Para głównych bohaterów to przyrodnie rodzeństwo. Einar to introwertyk, choć ma umysł nie lada, to zbyt często swe przemyślenia zostawia tylko dla siebie. Kluczowa postać powieści to jego siostra Edda, dotknięta niezwykłą cechą: pamięta wszystko, co przeczytała, ba, więcej, to, co przeczytała, jest w jej umyśle równie prawdziwe jak rzeczy, które dzieją się wokół. Czy to dar, czy przekleństwo? Dorosła Edda skłania się ku temu drugiemu przekonaniu.

„Święte słowo" przynosi wiele postaci i warstw, ma rwaną chronologię, liczne zmiany tempa i nastroju, ale najlepsze jest tam, gdzie zamienia się w rozważania nad relacją literatura-rzeczywistość. Nad tym, że to, co napisane (i przeczytane), już się nie odstanie. Nie bez przyczyny na początku było słowo. Słowo ma moc sprawczą, podobnie jak myśl. Björnsdóttir pisze coraz lepiej. „Świętym słowem" wysoko postawiła sobie poprzeczkę. ©℗

★★★★★☆

SIGRÍÐUR HAGALÍN BJÖRNSDÓTTIR „ŚWIĘTE SŁOWO" WYDAWNICTWO LITERACKIE 2020

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Cztery siostry zakonne zginęły już w pierwszej godzinie walk, niosąc pomoc rannym. Niezwykła opowieść o zapomnianych bohaterkach powstania. Wiele z nich należało do AK, wiele trafiło do obozów. Lektura obowiązkowa.

AGATA PUŚCIKOWSKA „SIOSTRY Z POWSTANIA" ZNAK

Ceniony poeta i eseista proponuje podróż po najwspanialszych osiągnięciach polskiej kultury. Co ważne, „wspólna pamięć narodu" (podtytuł tomu) okazuje się wspólną pamięcią Europy. Doskonała odtrutka na pedagogikę wstydu.

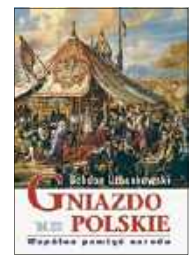

BOHDAN URBANKOWSKI „GNIAZDO POLSKIE" BIAŁY KRUK

Życie i dzieło jednego z twórców Stanów Zjednoczonych, człowieka, który odcisnął swój ślad na piaskach historii na wiele sposobów: jako polityk, myśliciel, naukowiec. Opowiada o nim autor biografii m.in. Einsteina i Jobsa.

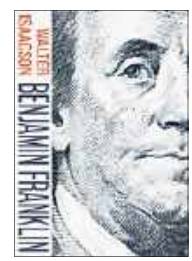

WALTER ISAACSON „BENJAMIN FRANKLIN" ZYSK I S-KA

Zbiór sześciu opowiadań grozy inspirowanych twórczością Lovecrafta, którego dorobku był Derleth niestrudzonym propagatorem i wydawcą. Jeden z tekstów powstał na podstawie notatek twórcy „Widma nad Innsmouth". ©℗ ***poleca Piotr Gociek***

AUGUST DERLETH „MASKA CTHULHU" WYDAWNICTWO IX

KOMIKS TYGODNIA: „SIN CITY. TEN ŻÓŁTY DRAŃ"

Wznowienie szóstego tomu klasyki współczesnego komiksu neo-noir i arcydzieła Franka Millera, jednego z amerykańskich mistrzów gatunku. Mroczne historie kryminalne, które snuje Miller w tym cyklu, nie są jednak ułożone chronologicznie, przeplatają się wątki, zmieniają się plany czasowe. Miasto Basin City (tytułowe Sin City) to Ameryka w pigułce widziana okiem pesymisty: przemocy, gwałtu i korupcji nie równoważą pojedyncze akty szlachetności. Szeroka publika zna cykl z dwóch ekranizacji (jednej świetnej, jednej takiej sobie), ale nic nie zastąpi unikatowego klimatu drukowanego oryginału. ©℗ ***poleca Piotr Gociek***

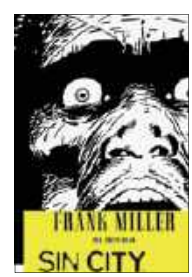

FRANK MILLER „SIN CITY. TEN ŻÓŁTY DRAŃ" EGMONT 2020

eprasa.pl dfe5ca67de

Druga cydyjka

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Zaczęło się od parodii. Trzy wokalistki – Marcelina Bednarska, Magdalena Janoszka i Marta Skiba – nagrały przeróbkę „Hello" Adele, z tekstem w gwarze śląskiej. Miała być zabawa dla znajomych, ale film z tym wykonaniem poszedł w świat i stał się w lutym 2017 r. internetowym viralem, szybko przekraczając 2 mln odsłon. To zachęciło wokalistki do nowych nagrań. Tak narodziło się trio Frele, a do sieci trafiały kolejne parodie popularnych utworów, m.in. „Dejta Cicho" (Luis Fonsi – „Despacito"), „Królowa Zup" (Sia – „Chandelier"), „Klajd" (Ellie Goulding – „Love Me Like You Do"), „Maras" (Miley Cyrus – „Wrecking Ball"), „Kaj to ciepiesz" (Bajm – „Biała Armia"). Z tej zabawy powstała nawet płyta (wydana przez Universal Music Polska, zawierająca 11 utworów „Na cydyjce").

Niedługo po pierwszej cydyjce Marcelina, Magdalena i Marta zapowiedziały kolejną, tym razem z własnymi nagraniami. Oddały ją w ręce słuchaczy w tym roku. „Hehe" powstała we współpracy z Michałem Kushem, producentem m.in. nagrodzonego Fryderykiem w 2018 r. albumu Darii Zawiałow „A kysz!". Na nową płytę tria Frele osadzoną w muzycznej tradycji Śląska (pojawia się nawet orkiestra górnicza), ale utrzymaną w popowej stylistyce (z nawiązaniami do lat 80.) składa się 12 utworów. Tekst dwóch z nich napisany jest w gwarze.

Nowa cydyjka Frele parodią nie jest, ale odnajdziemy na niej poczucie humoru, z którego śląskie wokalistki dały się poznać. W „Dzisiej" śpiewają: „To bydzie naszo noc / jo wezna cie kaj muza gro / do rana dugi czos / Patrik słejzi jest przi tobie lejzi [...] wiym, że kajś w ciebie drzymie lyw / dej wylyźć mu z tyj klotki dzisiej". Radzą też: „Wszyskie klepoki weź bydziesz szastoł nimi". Jak tu się nie uśmiechnąć? ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Zardzewiała odlewnia stali

Od zarania heavy metal cierpiał na kompleks mocy wielkiej orkiestry symfonicznej. Drugie podejście Metalliki do współpracy z klasykami jeszcze raz potwierdza absurd koncepcji łączenia tych światów.

Koncert „S&M2" zainaugurował działalność The Chase Center, nowej areny w San Francisco. Zjawiło się 40 tys. fanów z całego świata. Wybór utworów w dużym stopniu powtarza materiał z „jedynki", co potwierdza, że przez ostatnie dwie dekady grupa odcinała kupony.

Dzisiaj nie liczy się surowa energia Metalliki, lecz zawiłości kompozycji rozpisane na osładzająca utwory smyczki. Orkiestra pozornie walczy z zespołem, który jest wyraźnie ożywiony grą na tak wielką skalę. Aby nadać koncertowi nieco oryginalności, w programie znalazła się „Suita scytyjska" Prokofiewa oraz finałowa część baletu „Odlewnia stali" radzieckiego futurysty Aleksandra Mosołowa. Ten drugi utwór Metallica wzięła na własne bary. Ciężar okazał się za duży. To, co sprawia, że „S&M2" jest tak zabawne, to sposób, w jaki wszyscy zaangażowani muzycy rozumieją zarówno absurdalność, jak i powagę swojego przedsięwzięcia, tworząc pompatyczny hałas, imponujący ambicją i ciężarem dźwięków.

Wydawnictwo jest dostępne w rozmaitych formatach, w tym 4LP, 2CD, DVD i Blu-ray oraz limitowanym boksie kolorowych 4LP + 2CD + Blu-ray z nutami, kostkami do gitary oraz plakatem (między innymi!). ©℗

★★★☆☆☆

METALLICA/ SAN FRANCISCO SYMPHONY „S&M2" BLACKENED RECORDINGS

★★☆☆☆☆

KATY PERRY „SMILE" CAPITOL

„Radosny neonowy pop" – tak opisał album „The Los Angeles Times". Nagrania Kasi osiągnęły 40 mld odtworzeń w sieci, sprzedaż albumów przekroczyła 45 mln, a za 10 lat... mało kto będzie o niej pamiętał. Muzyczna guma do żucia o pospolitym smaku. Ciekawsze są plotki o jej perypetiach z Orlando Bloomem.

★★★★★☆

JYOTI „MAMA, YOU CAN BET!" SOMEOTHASHIP

Raperka Georgia Anne Muldrow jako Jyoti tworzy w ramach avant-jazzu i elektroniki. Zdeformowane utwory Charlesa Mingusa mieszają się z rozważaniami o Afryce, wokalnymi „rozmowami mentalnymi", improwizacjami i akustycznymi ozdobnikami. Wielce inspirujące. ©℗

eprasa.pl dfe5ca67de

Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

SZCZEGÓŁY NA **WWW.GINTROWSKI.PL**
LUB **FUNDACJA@GINTROWSKI.PL**

MECENAS KONCERTU:

PGNiG

ORLEN

PARTNERZY

PPL Porty Lotnicze

centrum historii zajezdnia

PARTNER WSPIERAJĄCY:

WARS

eprasa.pl dfe5ca67de

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

W teatrze Studio na karuzeli

Grzegorz Kondrasiuk

Bertolt Brecht, guru teatru politycznego, lubił wyzłośliwiać się nad teatrem robionym dla burżujów. Publiczność mieszczańską porównywał do dzieci jeżdżących w kółko na karuzeli w ogłupiałym zachwycie. Późnym wnukom Brechta zbyt często zdarza się właśnie takie traktowanie widza. Ostatnio – w „Powrocie Tamary" w reżyserii Cezarego Tomaszewskiego i z dramaturgią Michała Buszewicza

Pomysł na spektakl wydawał się niegłupi. We wrześniu 1990 r. teatr Studio wystawił kasową sztukę „Tamara", sprowadzoną z USA. Był to pomysł ówczesnego dyrektora, Waldemara Dąbrowskiego, który chciał pokazać nowe, olśniewające, komercyjne perspektywy polskiemu teatrowi zrzucającemu właśnie płaszcz Konrada. Superprodukcję reżyserował Maciej Wojtyszko, rzecz rozgrywała się w przestrzeniach Pałacu Kultury i Nauki, zamienionych w luksusową rezydencję, a o sponsorów zadbali Pewex i niejaki Marian Zacharski. Do legendy przeszły głównie horrendalna cena biletu i zamykająca spektakl kolacja, serwowana przez restaurację hotelu Holiday Inn. Sam temat oraz akcja sztuki – opowiadającej o spotkaniu malarki Tamary Łempickiej i pisarza Gabriela D'Annunzia – schodziły wobec kwestii menu na dalszy plan, zwłaszcza że symultaniczność działań uniemożliwiała uchwycenie sensu za pierwszym razem. I oto minęło 30 lat, i w szczątkach dawnych dekoracji, a także pośród szczątków idei tamtej epoki, następuje „Powrót Tamary".

Osią akcji jest historyjka opowiadana przez 30-latka o imieniu Mariusz (Mateusz Smoliński), który niczym szpak Marceli z kreskówki błąka się wśród dekoracji i dziwi się światu. Dowiadujemy się, że jego tatuś nie mógł być z mamusią przy porodzie (jakim cudem miałby być w ówczesnym szpitalu?), ponieważ stał w kolejce po bilety na „Tamarę". To stanie w kolejce i marzenie o znalezieniu się w post-PRL-owskiej atrapie luksusowej włoskiej willi miałyby ujawniać społeczne oczekiwanie na rewolucję. Ów Mariusz (rodzaj modelu idealnego odbiorcy teatru Studio?) zdaje się mediumicznie wyrażać przekonania reżysera i dramaturga. Dlaczego rodzice mi nie opowiedzieli, że marzyli o „Tamarze" nie dla kolacji i pewexowskiego seksapilu, ale dlatego, że czekali na rewolucję? – pyta Mariusz. I nie otrzymuje odpowiedzi. Dlaczego miałby ją otrzymać, skoro w 1989 r. społeczeństwo nie chciało rewolucji, ale mitycznych 100 mln?

Rażąca naiwność tego rodzaju kwestii ujawnia problem spektaklu: nieumiejętności stworzenia teatru z równorzędnych racji po to, by widz sam mógł dokonać rozpoznania świata. Większość postaci i ról to pretekst, bo przecież chodzi tylko o tło dla scen nieudanego uwiedzenia Tamary (znakomita Sonia Roszczuk) przez D'Annunzia (Jan Peszek), jakże atrakcyjnego, a poza tym wielce pouczającego. Peszek ma zbyt proste zadanie – skompromitować artystę-faszystę, erotomana, który pojął, że jego idee przejął i wykorzystał Mussolini – i wykonuje je skutecznie. W tym dwubiegunowym świecie rację ma oczywiście Tamara, jako rzeczniczka artystycznego kosmopolityzmu i aideologicznej wolności artystycznej. Jest jeszcze szlachetna postać komunistycznego agenta Maria, dybiącego na życie D'Annunzia, symbolizująca tamto, wyimaginowane rewolucyjne wrzenie Polski w roku 1990… Są i „wskrzeszeni" widzowie, pojawiający się na scenie, ale to tylko puste figury, na których twórcy wyświetlają własne projekcje. Scenki z karykaturalnymi zombie, rzucającymi się na plastikowe frykasy nie sklejają się w próbę syntezy, bo nie oferują żadnej bezinteresownie opowiadanej mikrohistorii. O tym, że jest to możliwe, świadczy np. teatr Łotysza Alvisa Hermanisa, który o postkomunistycznym balaście w głowach opowiada mistrzowsko, z empatią i bez dydaktyzmu. Po co się jednak trudzić, skoro wystarczy rzucić od niechcenia słówko „faszyzm" i już wszyscy mogą wpaść w stupor, już wsiadamy razem, widzowie i artyści, na naszą karuzelę, jedziemy i krzyczymy: „Wio, koniku!". Wystarczy, żeby na scenie dużo się działo, można pośpiewać, pożartować, spastiszować operę, uzupełnić sporymi dawkami seksu i dekadencji, przeplatając to moralizatorskimi wstawkami i akcentami współczesnymi. Żeby się widz nie pogubił, dodajmy narratora, który na koniec wytłumaczy, by nie zaprzątać sobie głowy tym, że w historii spektaklu „Tamara" jak w soczewce przegląda się Polska czasów reformy Balcerowicza. Ani tym, że kwestii związków sztuki i ideologii nie wyjaśniają historyczne pseudoanalogie i że nie tylko nacjonalizm, lecz także liberalizm hoduje swoich nadwornych artystów. A najważniejsze: niczego nie trzeba uzasadniać. Przecież jesteśmy w teatrze, a poza tym wszyscy wiemy, o co chodzi, że Mussolini, że Kaczyński, że dyktatura. Nie ma innej drogi, mój Mariuszu! ©℗

eprasa.pl dfe5ca67de

REPUBLIKA

Ryszard Gromadzki rozmawia
z **Antonim Macierewiczem**

ŚRODA
21:00

Oglądaj również na www.telewizjarepublika.pl

eprasa.pl dfe5ca67de

FOT. ADOBE STOCK

Uniwersytet równej płci

Łukasz Warzecha

Uniwersytet Warszawski tkwi w światowych rankingach daleko z tyłu. Za to będzie organizował „Tygodnie równości" oraz walczył z „homofobią i transfobią"

Uniwersytet Warszawski zajmuje 801. miejsce w rankingu uniwersytetów w Światowym Rankingu Szkół Wyższych na rok 2021. Ranking obejmuje ponad 1,5 tys. uniwersytetów z 93 państw. W rankingu szanghajskim UW pozycjonuje się pod sam koniec trzeciej setki. Zatem wielkich sukcesów naukowych nie ma, co zresztą nie jest żadną nowością. Za to będą teraz sukcesy w walce o równość płci. Oto bowiem tuż przed zakończeniem swojej kadencji były już rektor UW dr Marcin Pałys podpisał zarządzenie numer 194 „w sprawie »Planu równości płci dla Uniwersytetu Warszawskiego oraz planu działań równościowych na lata 2020–2023«".

Na stronie uniwersytetu informacja o tym pojawiła się wraz z tweetem dr Julii Kubisy z Wydziału Socjologii UW: „@UniWarszawski jako pierwsza uczelnia w PL przyjął #PlanRównościPłci #GenderEqualityPlan na bazie badań potrzeb społeczności UW, konsultacji eksperckich i rozwiązań międzynarodowych. Z Rzeczniczką Akademicką dr Anną Cybulko stworzyłyśmy GEP – duma!". To znamienne. Doktor Kubisa przedstawia się jako feministka, była autorką tekstów na portalu „Krytyki Politycznej", należy do Porozumienia Kobiet 8 Marca – skrajnie lewicowego stowarzyszenia, firmującego m.in. demonstracje „czarnych parasolek". Plan równości płci, podpisany przez odchodzącego rektora, jest zatem wytworem lewicowej aktywistki.

LEWICOWE LAMENTY

Plan składa się z diagnozy oraz pięciu celów, które ma osiągnąć. Posługuje się oczywiście specyficzną politycznie poprawną nowomową, operując przy każdej okazji męskimi i żeńskimi formami (nie ma więc na przykład mowy po prostu o adiunktach, ale o „adiunktach i adiunktkach"). W rozdziale diagnozującym sytuację czytamy: „[…] proporcja płci w przypadku pracowników naukowych jest wyrównana. Widać jednakże znaczące dysproporcje na poszczególnych stanowiskach. Mężczyźni zdecydowanie przeważają wśród osób z tytułem profesorów i profesorek zwyczajnych, nadzwyczajnych i nadzwyczajnych Uniwersytetu Warszawskiego. W przypadku adiunktek i adiunktów proporcja płci jest wyrównana, natomiast w przypadku asystentów i asystentek przeważają kobiety. Oznaczać to może, że droga awansu i naukowej kariery nie przebiega tak samo w przypadku kobiet i mężczyzn oraz że Uniwersytet Warszawski traci utalentowane pracownice zajmujące się badaniami i dydaktyką".

Dowiadujemy się także, jaki jest skład kolegiów dziekańskich poszczególnych wydziałów. „Są dwa wydziały, gdzie wszystkie funkcje w kolegium dziekańskim pełnili mężczyźni (Filozofia i Socjologia, Fizyka), oraz trzy wydziały, na których w kolegium dziekańskim były wyłącznie kobiety (Geologia, Neofilologia, Peda-

eprasa.pl dfe5ca67de

gogika). W przypadku, gdy w kolegium dziekańskim zasiadają więcej niż trzy osoby, mężczyźni przeważali na czterech wydziałach (Chemia; Dziennikarstwo, Informacja i Bibliologia; Nauki Polityczne i Studia Międzynarodowe; Polonistyka), natomiast kobiety przeważały na jednym wydziale (Lingwistyka Stosowana). Poniższe zestawienie może stanowić punkt odniesienia dla kadencji 2020–2024".

Mamy też zestaw tradycyjnych lewicowych lamentów. Dowiadujemy się zatem, że angażującą pracę uniwersytecką trudno połączyć kobietom z tradycyjną rolą matki i opieką nad domem, a także, iż „w społeczności uniwersyteckiej cały czas funkcjonują stereotypy i niewypowiedziane uprzedzenia dotyczące płci". Uprzedzenia są „niewypowiedziane", więc trudno powiedzieć, na jakiej podstawie autorki diagnozy stwierdziły ich istnienie, ale nie bądźmy drobiazgowi.

Okazuje się też, że na UW dzieją się rzeczy straszne. Oto bowiem aż 42 proc. osób miało „doświadczać komentarzy lub żartów odwołujących się do stereotypowych przekonań na temat płci", a 31 proc. – o podtekście seksualnym. Ten element diagnozy ma być podstawą do zaprowadzenia paraliżującego normalne międzyludzkie relacje reżimu poprawnościowego, w którym koleżance z pracy nie można powiedzieć, że ładnie wygląda, bo można się narazić na zarzut molestowania.

PIĘĆ CELÓW

Jakie zatem są cele planu? Po pierwsze, „zwiększanie świadomości wagi zagadnień równościowych oraz wzmocnienie pozytywnych postaw wobec różnorodności". Po drugie, wspomaganie rozwoju karier naukowych kobiet. Po trzecie, zwiększenie równowagi płci w rekrutacji pracownic i pracowników oraz w szkołach doktorskich. Po czwarte, ułatwienie łączenia pracy z życiem rodzinnym. Po piąte, zwiększenie zrównoważonej reprezentacji płci w: przewodniczeniu w komisjach wydziałowych, uczelnianych, w kadrze zarządczej, w zespołach eksperckich i recenzenckich oraz przewodniczeniu wydarzeniom naukowym i popularyzatorskim.

Plan opisuje, jak mają być osiągane zakładane cele. Na przykład spełnieniu pierwszego z nich ma służyć stworzenie specjalnego Obserwatorium Równości (stanowiska i granty gwarantowane). Miałyby również być organizowane „Tygodnie podnoszenia świadomości", podczas których miano by zajmować się nie tylko równością płci, lecz także – a jakże! – przeciwdziałaniem „homofobii i transfobii" („Tęczowy tydzień").

Jeszcze lepiej rzecz się ma w przypadku budowania „równości płci" w praktyce. Mielibyśmy do czynienia z nową wersją PRL-owskich punktów za pochodzenie, bo „w sytuacji kandydujących osób o identycznych kwalifikacjach" wybierana miałaby być osoba z „niedoreprezentowanej płci/grupy". Tutaj szczególnie zastanawia to drugie słowo – czy chodzi o grupy typu „osoby niebinarne", czy może jakieś jeszcze inne?

Mają też powstać specjalne biura nie tylko zajmujące się domniemaną dyskryminacją ze względu na płeć, lecz także dbające o pion – by użyć dawnej PRL-owskiej nomenklatury, która wydaje się tutaj bardzo na miejscu – polityczno-wychowawczy pracowników UW.

RODZINA TO PROBLEM

Można by uznać, że punkty planu dotyczące ułatwienia łączenia pracy naukowej z obowiązkami domowymi są neutralne, gdyby nie to, że w diagnozie wskazano, iż prawdziwym źródłem problemów jest tradycyjnie pojmowana rola kobiety. Poza tym plan jest całkiem otwarcie prezentowaną lewicową agendą ideologiczną dla najważniejszej warszawskiej uczelni. Tak jak każda feministyczna akcja afirmatywna (to określenie jest w nim wprost użyte), tak i on przyjmuje na początku założenie, że zróżnicowanie płci w poszczególnych dziedzinach nauki (czy życia w ogóle) nie jest skutkiem naturalnych dla kobiet i mężczyzn zdolności czy zainteresowań, ale jakiegoś mizoginicznego, męskiego spisku, któremu trzeba przeciwdziałać za pomocą regulacji i przepisów. Z lewicowego, feministycznego punktu widzenia to zresztą całkowicie logiczne: skoro zaprzecza się istnieniu naturalnych i tradycyjnych ról kobiet oraz mężczyzn, to zaprzecza się także, że istnieją typowe dla danej płci zdolności, zainteresowania czy życiowe priorytety, a więc więcej kobiet lub więcej mężczyzn we władzach tego czy innego wydziału uniwersyteckiego musi wynikać z jakiejś praktyki dyskryminacyjnej. Na tej samej zasadzie kraje takie jak choćby Norwegia wprowadziły obowiązkowe kwoty płciowe w zarządach spółek. Nie wiadomo tylko, jak poradzić sobie z „osobami niebinarnymi".

Jak wskazał na Twitterze dr Tymoteusz Zych z Ordo Iuris, skoro z diagnozy zawartej w dokumencie wynika, że na kilku wydziałach we władzach zasiadały wyłącznie kobiety, musiałoby to oznaczać, że w kolejnych wyborach to kobiety będą tam pokrzywdzone – bo przecież, zgodnie z zasadami, jakie przedstawia plan, w pierwszej kolejności powinni być wybierani mężczyźni. Prawnik zauważa również, że zalecenie to ewidentnie łamie art. 33 konstytucji, który zakazuje dyskryminacji ze względu na płeć. Tutaj mielibyśmy do czynienia z dyskryminacją płciową realną, bo opartą na konkretnych przepisach, a nie wyimaginowaną, jak to jest z wnioskami z diagnozy.

Czy to oznacza, że w świecie uniwersyteckim nie ma przypadków bezzasadnej dyskryminacji kobiet? Oczywiście są, tak jak są w każdej innej dziedzinie. I gdyby plan ograniczał się do przeciwdziałania jedynie takim, dobrze udokumentowanym przypadkom, nie byłoby problemu. On jednak idzie dużo, dużo dalej. Po pierwsze, można założyć, że – tak jak to się stało na wielu uczelniach na Zachodzie – będzie to furtka dla marnych merytorycznie pracowników, żeby uzyskiwać korzyści kosztem tych naprawdę dobrych. Wystarczyć będzie powołanie się na swoją płeć (lub przynależność do enigmatycznie wspominanej w planie „grupy"), żeby wykosić ze stanowiska kogoś lepszego. Po drugie, istotna część planu to po prostu strategia ideologicznej indoktrynacji według klasycznych założeń lewicowej przebudowy rzeczywistości.

Tutaj można postawić pytanie, co z pracownikami naukowymi i ze studentami, którzy nie będą chcieli uczestniczyć w kursach polityczno-wychowawczych z wystrzegania się „homofobii i transfobii". Czy czekają ich w związku z tym jakieś sankcje? Czy mogą się obawiać o swoje naukowe kariery? Czy może warunkiem ich kontynuowania będzie poddanie się lewackiemu dyskursowi? Jeśli na i tak niezdrowe zasady polskiego życia akademickiego zacznie się nakładać warstwę lewackich fobii, to wkrótce UW będzie nie na 801., lecz na 1500. miejscu rankingu.

Nowym rektorem Uniwersytetu Warszawskiego został prof. Alojzy Nowak, specjalista od międzynarodowej ekonomii. Zapowiada, że będzie mieć do uczelni podejście menedżerskie. Poprzednik podrzucił mu kukułcze jajo w postaci planu równościowego. Profesor Nowak powinien to jajo czym prędzej wyrzucić do kosza, nim zacznie mocniej śmierdzieć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dfe5ca67de

ks. Andrzej Kobyliński

Trzeba czuwać, aby odrzucić pokusę skierowania fałszywych roszczeń pamięci przeciwko rzeczywistej wiedzy historycznej

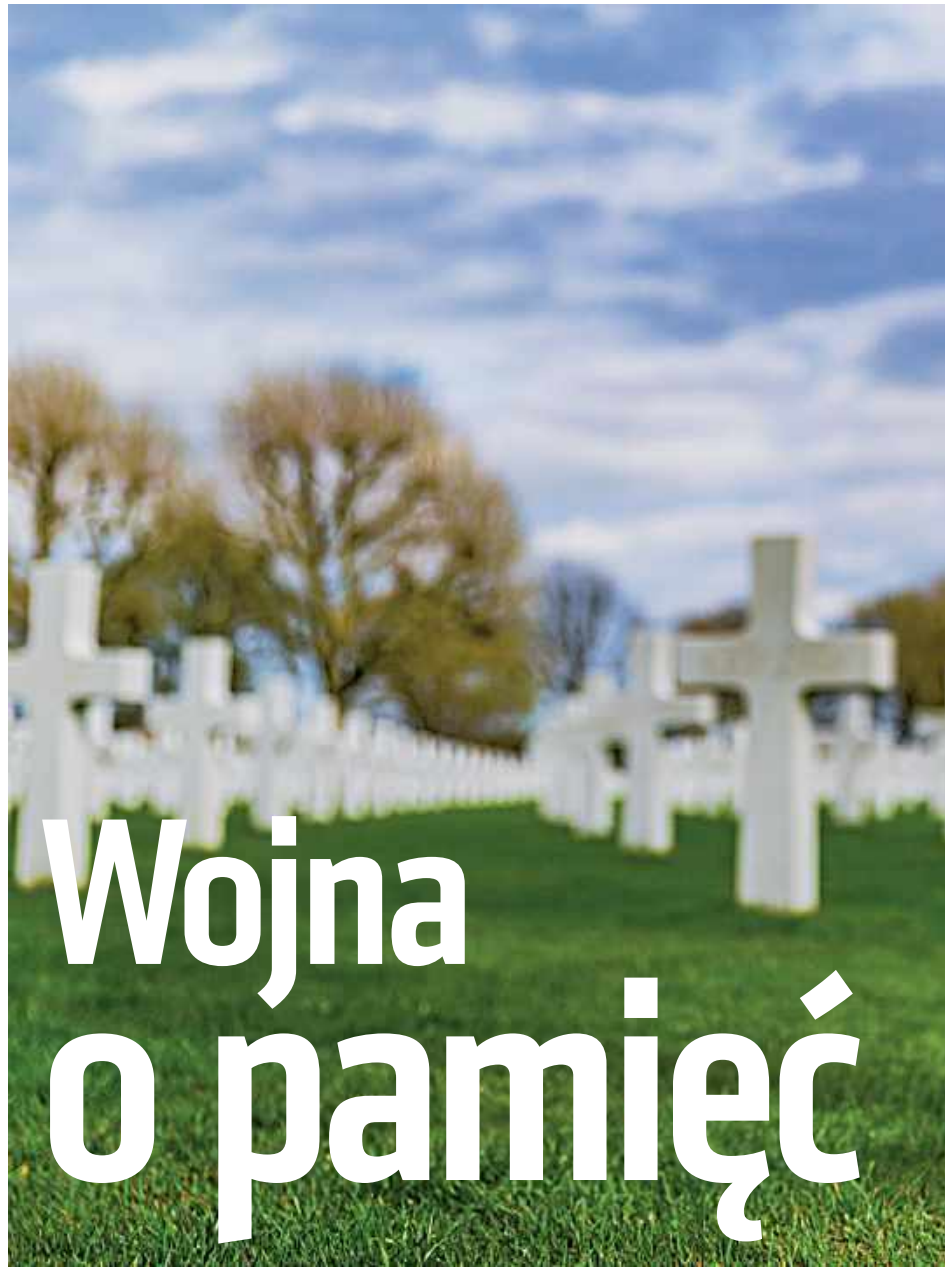

Wojna o pamięć

Świat, w którym żyjemy, nie jest sprawiedliwy. Według amerykańskiego filozofa Thomasa Nagela taka opinia jest jednym z najmniej kontrowersyjnych stwierdzeń, jakie można spotkać w różnych koncepcjach etycznych i politycznych, wypracowanych na przestrzeni dziejów. O ile panuje powszechna zgoda co do tego, że świat nie jest sprawiedliwy, o tyle trudno dojść do porozumienia, gdy pytamy, czym jest sprawiedliwość w odniesieniu do obowiązku pamięci o wszystkich ofiarach wojen i reżimów totalitarnych. Czym powinna być sprawiedliwa pamięć w niesprawiedliwym świecie?

Z jednej strony, we wszystkich kulturach istnieje obowiązek pamięci o własnych bohaterach, poległych żołnierzach i zabitych cywilach, z drugiej – ludzka pamięć o takich ofiarach jest bardzo często wybiórcza, stronnicza, niesprawiedliwa. Jedne ofiary są wspominane, o innych nikt nie chce pamiętać. W 1977 r. amerykański filozof Michael Walzer opublikował szeroko komentowaną książkę pt. „Wojny sprawiedliwie i niesprawiedliwe". Nawiązując do tego tytułu można stwierdzić, że nie tylko wojny mogą być sprawiedliwe lub niesprawiedliwe, ale także nasza pamięć o ich ofiarach może być sprawiedliwa bądź niesprawiedliwa. Dlatego mają rację ci, którzy twierdzą, że w pewnym stopniu wszystkie wojny prowadzone są dwukrotnie: pierwszy raz na polu bitwy, drugi raz w zbiorowej pamięci ludzkości.

Problem sprawiedliwej i niesprawiedliwej pamięci o ofiarach dotyczy w sposób szczególny barbarzyństwa ubiegłego stulecia. Wiek XX był niezwykle dramatycznym okresem przede wszystkim w dziejach Azji i kontynentu europejskiego. Niewyobrażalne barbarzyństwo komunizmu i niemieckiego narodowego socjalizmu dotknęło szczególnie okrutnie narodów Europy Środkowo-Wschodniej. Walka o sprawiedliwą pamięć o ofiarach zbrodni ubiegłego wieku, dokonanych w tej części Europy, stanowi jedno z najważniejszych wyzwań stojących przed naszymi narodami w obecnym stuleciu. Nasza walka jest częścią wielkiej brutalnej wojny o pamięć, która toczy się obecnie w wymiarze globalnym.

PLATON I PAUL RICŒUR

Od zarania dziejów pojawia się pytanie o istotę ludzkiej pamięci. W starożytności przypisywano jej ogromne znaczenie. Według Greków pamięć jako Mnemosyne (matka dziewięciu muz) była źródłem kultury. Gdy Platon określał najważniejsze cechy filozofów, którym można powierzyć władzę w państwie, wskazał także na konieczność dobrej pamięci.

Francuski filozof Paul Ricœur należy do grona najważniejszych myślicieli nowożytnych, którzy poddali wnikliwym analizom fenomen ludzkiej pamięci. Zdaniem tego autora, struktury, w których sytuuje się pamięć, należy rozciągnąć poza umysł i poza świadomość, uwzględniając aspekt kulturowy, somatyczny i nieświadomy. Przypominanie sobie zawiera swój transcendentalny charakter jako warunek możliwości całokształtu świadomości, warunek możliwości powstania ludzkiego „ja". Problematyka pamięci łączy się ściśle z problematyką naszej tożsamości indywidualnej i zbio-

eprasa.pl dfe5ca67de

FOT. ADOBE STOCK

rowej. Ludzka pamięć wypowiada się na wiele sposobów, ponieważ jej rozumienie zależy od posiadanej perspektywy aksjologicznej, religijnej i światopoglądowej.

Ricœur zauważa, że Grecy dysponowali dwoma słowami: „mneme" i „anamnesis", na oznaczenie, z jednej strony, przypomnienia jako pojawiającego się całkowicie biernie, do tego stopnia, że można było charakteryzować jego wystąpienie w umyśle jako doznanie, z drugiej – przypomnienia jako przedmiotu poszukiwania, zwyczajowo zwanego przywołaniem, powtórnym skupieniem się na czymś. Przypominać sobie znaczy albo mieć jakieś wspomnienie, albo podejmować poszukiwanie danego wspomnienia. W tym sensie pytanie „jak?", stawiane przez „anamnesis", zmierza do oddzielenia się od pytania „co?", stawianego w sposób właściwszy przez „mneme". Pytania formułowane przez „anamnesis" i „mneme" dotyczą poziomu wierności pamięci wobec przeszłości i historii.

MANIPULACJA PAMIĘCIĄ

Bardzo ważną kategorią, analizowaną w pismach filozoficznych Ricœura, która odnosi się w sposób szczególny do sprawiedliwego wspominania wszystkich ofiar wojen i reżimów totalitarnych, jest pojęcie pamięci zmanipulowanej. Manipulacje dokonywane na pamięci zbiorowej mają wiele przyczyn. Jedna z najważniejszych dotyczy korzeni naszego życia społecznego i narodowego, które najczęściej rodzi się na gruncie różnych wydarzeń o charakterze wojennym i militarnym. Bardzo często pod hasłem wydarzenia założycielskiego czcimy akty przemocy, które dla jednych oznaczają chwałę, dla drugich poniżenie. Tak oto w archiwach pamięci zbiorowej gromadzą się rzeczywiste i symboliczne rany. Manipulacja pamięcią służy bardzo często legitymizowaniu różnego rodzaju systemów władzy. Panowanie nie ogranicza się do przymusu fizycznego. Nawet tyran potrzebuje retora sofisty, ażeby za pomocą słów uwodzić i zastraszać. Manipulacja pamięcią stanowi jeden z kluczowych elementów systemów totalitarnych.

Ricœur twierdzi, że ze złym wykorzystaniem pamięci zbiorowej mamy także do czynienia w społeczeństwach demokratycznych. Nie istnieje bezwarunkowa pochwała pamięci. Wiele grup społecznych i etnicznych dąży do utwierdzenia się w pozie ofiary. To, że było się ofiarą, daje prawo do skarg, protestów, roszczeń. Ta poza rodzi niebywały przywilej, który resztę świata sytuuje w pozycji dłużników. Nie wolno nadużywać pamięci. Nie ma kultu pamięci dla samej pamięci. Pamięć indywidualna i zbiorowa muszą uwzględniać rzetelną wiedzę historyczną. Pamięć stanowi matrycę historii w tej mierze, w jakiej pozostaje ona strażniczką problematyki przedstawieniowego stosunku teraźniejszości do przeszłości. Trzeba czuwać, aby odrzucić pokusę skierowania fałszywych roszczeń pamięci przeciwko rzeczywistej wiedzy historycznej. Pamięć powinna pozostawać w harmonii z historią.

HISTORIA CIERPIENIA

Możliwość sprawiedliwej pamięci o zbrodniach przeszłości zakłada adekwatną koncepcję historii. Niestety, wśród wielu różnych opisów minionych dziejów można wskazać takie modele interpretacyjne, w których nie ma miejsca dla słabych, skrzywdzonych i zamordowanych. W tym kontekście niemiecki myśliciel Johann Baptist Metz zwraca uwagę na specyfikę judaistycznej i chrześcijańskiej wizji historii, wrażliwej na krzywdy i cierpienie, która kwestionuje podejście do przeszłości obecne w wielu nurtach filozofii nowożytnej. Troska o pokrzywdzonych,

eprasa.pl dfe5ca67de

zmarłych i wszystkie ofiary historii była wiodącym tematem twórczości m.in. amerykańskiego filozofa Waltera Benjamina.

Chrześcijanie i wyznawcy judaizmu nie żyją obok czy też ponad historią, nie uciekają przed bolesnymi przemianami i dramatami świata, lecz włączają się w tworzenie jego bardziej Boskiego i ludzkiego oblicza. Gdy chodzi o rozumienie dziejów, chrześcijaństwo odrzuciło tradycję helleńską i zaakceptowało koncepcję judaistyczną. Dla Greków świat był stałym i zamkniętym kosmosem. Stany przyszłe były tylko wariacjami stanów minionych, które aktualizują się i uobecniają przez anamnezę. Historia w myśli greckiej stanowi dziejowy cykl – to wieczny powrót tego samego w ramach kosmosu. Natomiast religia Żydów jest religią obietnicy. I ten jakże istotny rys dziedziczy chrześcijaństwo. W świetle tak rozumianej religii, skoncentrowanej na Bożej obietnicy, świat staje się historią zorientowaną ku przyszłości. Człowiek Biblii jest zakorzeniony nie tylko w przestrzeni, lecz także w czasie – czyli w historii. Twórczemu byciu w świecie sprzyja rozumienie go właśnie jako historii. W ten sposób zostaje zaakcentowana, z jednej strony, dynamika świata, z drugiej – jego historyczna struktura.

Jakie koncepcje filozoficzne odrzucają taką interpretację dziejów, która uwzględnia zło, niesprawiedliwość, krzywdę i cierpienie? W jakich paradygmatach myślowych nie ma miejsca dla ofiar wojen, czystek etnicznych i krwawych rewolucji? Jakie prądy filozoficzne marginalizują fenomen ludzkiego cierpienia? Metz twierdzi, że problem dotyczy zasadniczo czterech rodzajów koncepcji historii: ewolucjonistycznych, emancypacyjnych, marksistowskich i modernistycznych. Wspólną cechę tych modeli interpretacji historii jest podobny sposób podejścia do problemu cierpienia. Nurty ewolucjonistyczne, emancypacyjne, marksistowskie i modernistyczne ujmują historię jako historię zwycięzców, jako historię tych, którym się udało. W konsekwencji ginie prawda o zwyciężonych i pokrzywdzonych. Dlatego Metz postuluje interpretację historii jako historii cierpienia. Taka wizja historii ujmuje całość człowieczego losu, wraz z jego bólem i nieszczęściem. Nie zapomina o skrzywdzonych i uciśnionych. Pamięta o cierpieniu, a także obejmuje historię winy i ludzkie dążenie do śmierci.

OFIARY ZAPOMNIANE

W jaki sposób opowiadać historię cierpienia narodów Europy Środkowo-Wschodniej? Dlaczego ten region Starego Kontynentu wymaga szczególnej formy pamięci zbiorowej wolnej od manipulacji? Niestety, takie kraje jak Polska, Litwa, Białoruś czy Ukraina są w dużym stopniu ziemią nieznaną (łac. terra incognita) dla obywateli Europy Zachodniej i mieszkańców innych kontynentów. Szczególnie nieznane są dzieje tego regionu w XX w., w którym ta ziemia spłynęła wielkim morzem krwi.

W tej części Europy w minionym stuleciu wybuchły dwie wojny światowe, rozpadły się w proch dawne imperia, powstały i upadły barbarzyńskie systemy totalitarne, w niemieckich obozach koncentracyjnych i rosyjskich gułagach zostało brutalnie zamordowanych kilkadziesiąt milionów niewinnych ludzi. Badania prowadzone przez wielu współczesnych naukowców wyraźnie pokazują, że reżimy totalitarne doprowadziły świat w XX stuleciu do wielkiej destrukcji moralnej, społecznej i cywilizacyjnej. Komunizm i narodowy socjalizm należy uznać za bardzo podobne do siebie barbarzyńskie systemy zniewolenia i przemocy, które są odpowiedzialne za zbrodnie ludobójstwa na niewyobrażalną skalę. Wśród wielu problemów, związanych z pamięcią o ofiarach tych zbrodni warto zwrócić uwagę na dwa zagadnienia: pierwsze dotyczy zapomnianych ofiar komunizmu, drugie odnosi się do Holokaustu, czyli zagłady Żydów europejskich.

Niestety miliony zapomnianych ofiar komunizmu nie mają miejsca w zbiorowej pamięci ludzkości. Na temat zbrodni dokonanych przez komunistów w Azji i Europie Środkowo-Wschodniej niezwykle rzadko powstają filmy czy opracowania historyczne

ALAIN BESANÇON

Jedną z najciekawszych diagnoz systemów totalitarnych wypracował w ostatnich latach francuski historyk, politolog i sowietolog Alain Besançon. Jego zdaniem, komunizm i narodowy socjalizm należy uznać za dyktatury w równym stopniu zbrodnicze – bestialskie mordy na masową skalę stanowią podstawę ich funkcjonowania i należą do ich natury. Nowa moralność, okrucieństwo oraz zbrodniczość stanowią elementy wspólne tych dwóch systemów totalitarnych. Jednym z najważniejszych elementów diagnozy komunizmu i narodowego socjalizmu w wydaniu francuskiego sowietologa jest zwrócenie uwagi na nierówność pamięci o zbrodniach dokonanych przez dwa systemy totalitarne. Podczas gdy zło nazizmu zostało dobrze udokumentowane i potępione, zbrodnie komunizmu są wciąż w dużym stopniu okryte zasłoną milczenia. Niestety, międzynarodowa pamięć historyczna traktuje niejednakowo zbrodnie komunistyczne i nazistowskie.

Besançon twierdzi, że niemiecki nazizm jest lepiej znany od komunizmu, ponieważ szafa z trupami nazizmu została szeroko otwarta przez zwycięskich aliantów, a niektóre narody zachodnioeuropejskie doświadczyły częściowo tych zbrodni na własnej skórze. Zbrodnia nazistowska była przeważnie fizyczna. Zasadniczo nie zarażała moralnie swoich ofiar i świadków. Rzadko domagała się, by wstępowali oni w szeregi zwolenników ideologii nazistowskiej. Zbrodnie niemieckie były jawne, dlatego można ustalić miejsca ich dokonania i liczbę ofiar. Komory gazowe stworzone, by zlikwidować, w sposób przemysłowy, konkretnie określoną część ludzkości, to wymierny fakt. Znamy ofiary niemieckiej III Rzeszy i możemy o nich pamiętać. Natomiast rosyjskie gułagi czy chińskie laogai pozostają dalekie, jakby we mgle.

WIELKI GŁÓD

W konsekwencji prawie nikt nie wspomina dzisiaj ponad 70 mln ofiar zamordowanych przez komunistów w Chinach w drugiej połowie XX w. To są ofiary zapomniane, wyrzucone ze zbiorowej pamięci ludzkości. Podobne zapomnienie dotyczy ofiar wielkiego głodu w Europie Środkowo-Wschodniej.

eprasa.pl dfe5ca67de

W latach 1932–1933, na terenach należących dzisiaj do Ukrainy oraz do Federacji Rosyjskiej, bolszewicy dokonali jednego z największych ludobójstw w dziejach świata. W celu eksterminacji wrogów rewolucji wywołano klęskę głodu, która doprowadziła w ciągu kilku miesięcy do uśmiercenia od 6 do 10 mln ludzi.

Niestety miliony zapomnianych ofiar komunizmu nie mają miejsca w zbiorowej pamięci ludzkości. Na temat okrutnych zbrodni dokonanych przez komunistów w Azji i Europie Środkowo-Wschodniej niezwykle rzadko powstają filmy czy opracowania historyczne. Najczęściej bezimienne ofiary gułagów i laogai nie mają swoich muzeów, pomników czy innych miejsc pamięci. Warto w tym miejscu stanowczo podkreślić, że przy ocenie zbrodni z przeszłości powinniśmy zawsze stosować takie same kryteria wobec wszystkich. Rozliczenie i potępienie komunizmu powinno być równie ważne jak rozliczenie i potępienie narodowego socjalizmu, a nawet bardziej, ponieważ nazizm w przeciwieństwie do komunizmu nie był zjawiskiem światowym. Nierówność pamięci o zbrodniach dokonanych przez narodowy socjalizm i komunizm sprawia, że ofiary tego drugiego systemu totalitarnego wciąż nie znajdują należnego miejsca w zbiorowej świadomości ludzkości.

RELIGIA HOLOKAUSTU

Inne zagadnienie związane z pamięcią o ofiarach, szczególnie ważne w Polsce, dotyczy eksterminacji Żydów europejskich. W jaki sposób Żydzi i Polacy powinni dzisiaj razem przypominać światu o swoim cierpieniu i przelanej krwi? W 2016 r. Paweł Lisicki opublikował niezwykle ważną książkę pt. „Krew na naszych rękach? Religia Holokaustu i tożsamość Europy". Publikacja podejmuje ważny i trudny temat relacji polsko-żydowskich, dialogu między chrześcijanami a wyznawcami judaizmu, zbrodni komunizmu i narodowego socjalizmu, antysemityzmu, pamięci o niezwykłym barbarzyństwie XX w. Lisicki twierdzi, że w ostatnich dziesięcioleciach dokonał się w świecie nowy podział ról. Od połowy ubiegłego wieku w powszechnej świadomości ludzkości główną ofiarą drugiej wojny światowej stali się Żydzi europejscy. Wielu mieszkańców Stanów Zjednoczonych, Indii, Brazylii czy Włoch jest przekonanych, że barbarzyństwo ubiegłego stulecia należy ograniczyć de facto do Holokaustu. W tej nowej świadomości globalnej istnieje żywa pamięć o ofiarach Zagłady, natomiast nie ma miejsca m.in. dla 3 mln polskich ofiar nazizmu i komunizmu.

Zdaniem Lisickiego główną przyczyną tych radykalnych i bardzo niekorzystnych dla Polski zmian jest powstanie tzw. religii Holokaustu, która w drugiej połowie XX w. najpierw zdominowała opinię publiczną krajów zachodnich, a następnie rozlała się bardzo szybko po całym świecie dzięki kulturze masowej i mediom elektronicznym. Ta nowa świecka „religia" opiera się na czterech dogmatach. Po pierwsze, Holokaust był zbrodnią nieporównywalną z żadną inną w historii ludzkości, zbrodnią najokrutniejszą i najstraszniejszą. Po drugie, uczestniczyła w tej zbrodni cała ludzkość: jeśli nawet bezpośrednimi sprawcami mordów byli Niemcy, to realizowali oni ukryte pragnienia milionów zwykłych ludzi w wielu krajach, aby pozbyć się ludności narodowości żydowskiej. Po trzecie, głównym źródłem tego krwiożerczego pragnienia było chrześcijaństwo, które od swych narodzin cechowało się wrogością do wyznawców judaizmu. Po czwarte, wszyscy ludzie, także ci, którzy żyli w krajach okupowanych przez Niemców, także Polacy, mają krew na rękach. Ci są podwójnie napiętnowani: raz jako katolicy, dwa – bo na ich ziemi doszło do mordu. Niestety, przyjęcie założeń tej nowej „religii" Holokaustu wyklucza możliwość sprawiedliwej pamięci o polskich ofiarach drugiej wojny światowej.

Lisicki ukazuje na kartach swojej książki rzeczywisty kształt relacji chrześcijańsko-żydowskich na przestrzeni wieków oraz neguje rozpowszechnioną dzisiaj tezę, że nazistowski antysemityzm oraz zbrodnia Holokaustu mają swoje najgłębsze korzenie w poglądach pierwszych chrześcijan. Hitler nie był ani ukoronowaniem dziejów Zachodu, ani koniecznym owocem kultury chrześcijańskiej. Nazizm był paroksyzmem, skrajną reakcją na chorobę komunizmu i na zwycięski pochód bolszewizmu, który rozpoczął się wraz ze zwycięstwem Lenina w 1917 r. w Rosji.

WYZWANIA PRZYSZŁOŚCI

Niezwykle ważnym elementem wojen nowej generacji będzie walka o pamięć historyczną. Ten, kto zdobędzie władzę nad przeszłością, będzie także panować nad przyszłością. Nowa epoka konfliktów hybrydowych czyni z pamięci o ofiarach wojen i reżimów totalitarnych niezwykle ważną kartę przetargową. W najbliższych dziesięcioleciach będą prowadzone wielkie wojny informacyjne dotyczące tego, kto naprawdę w przeszłości był katem, a kto ofiarą.

Obecna walka o pamięć historyczną staje się wielkim wyzwaniem dla historii idei, antropologii, etyki. W ramach tych dyscyplin filozoficznych należy szukać odpowiedzi na pytania dotyczące najgłębszych przyczyn zła, wojen i zbrodni ludobójstwa. Pogłębione analizy filozoficzne powinny także budzić odpowiednią wrażliwość moralną, dzięki której w zbiorowej pamięci ludzkości znajdzie się miejsce na sprawiedliwe wspominanie wszystkich ofiar wojen i reżimów totalitarnych. Należy dzisiaj wypracować etykę pamięci, która zagwarantuje wszystkim ofiarom właściwe miejsce w uniwersalnej pamięci ludzkości. Adekwatną etykę pamięci można stworzyć wyłącznie na gruncie odpowiedniej wizji historii, postrzeganej przede wszystkim jako historia cierpienia, która stawia w centrum biednych, skrzywdzonych i zapomnianych.

Ciągle wielkim problemem do rozwiązania pozostaje nierówność pamięci o zbrodniach dokonanych przez narodowy socjalizm i komunizm. Naszym obowiązkiem narodowym jest nie tylko troska o sprawiedliwą pamięć o morzu krwi przelanej przez naszych rodaków, lecz także walka o właściwe miejsce w zbiorowej pamięci ludzkości dla milionów zapomnianych ofiar makabrycznych zbrodni popełnionych w XX stuleciu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Artykuł „Wojna o pamięć" stanowi skróconą wersję obszernego artykułu naukowego pt. „Just and Unjust Memory? The Moral Obligation to Remember All Victims of Wars and Totalitarian Regimes", który ukazał się w lipcu 2020 r. na łamach prestiżowego czasopisma międzynarodowego „Journal of Military Ethics". Główne tezy zawarte w tym artykule zostały zaprezentowane w marcu 2018 r., podczas międzynarodowej konferencji naukowej pt. „Historyczne, prawne, polityczne i etyczne aspekty współczesnych konfliktów militarnych i niemilitarnych". Sympozjum zostało zorganizowane przez Instytut Filozofii UKSW w Warszawie, Departament Języka Angielskiego i Filozofii Akademii Wojskowej Stanów Zjednoczonych w West Point oraz Międzynarodowe Centrum Dialogu Międzykulturowego i Międzyreligijnego UKSW w Warszawie. Głównym organizatorem konferencji był dr Adam Cebula.

eprasa.pl dfe5ca67de

Piotr Włoczyk

Rosjanie opublikowali nieznane wcześniej ujęcia pokazujące test najpotężniejszej bomby wodorowej na świecie, która była marzeniem Chruszczowa. Tak zwana car-bomba miała tak niszczycielską siłę, że sami Sowieci przestraszyli się skutków testowania takiej broni

Potwór z Nowej Ziemi

Na filmie żołnierze w bazie Oleniegorsk na Półwyspie Kolskim malują specjalną białą farbą poszycie bombowca Tu-95. Tą samą farbą malują też śmigła. Lektor tłumaczy, że ma to zabezpieczyć samolot przed promieniowaniem cieplnym. Mimo tej zapobiegliwości szanse załogi na przeżycie misji nie wyglądały najlepiej. Naukowcy szacowali je na ok. 50 proc.

Bomba była tak olbrzymia, że nie było szans, by zmieścić ją w ładowni tego, i tak największego, strategicznego bombowca sił powietrznych ZSRS. Ważąca 27 ton, mająca 8 metrów długości i 2 metry średnicy car-bomba (jak później ją ochrzczono) musiała zostać podpięta pod kadłub samolotu, w którym wycięto otwór, by bomba jak najgłębiej w niego weszła (chodziło o bezpieczeństwo i aerodynamikę).

Trzydziestominutowy dokument, opublikowany na YouTube pod koniec sierpnia przez agencję Rosatom, pokazuje też m.in. instalowanie aparatury pomiarowej bezpośrednio pod planowanym miejscem detonacji na poligonie na Nowej Ziemi (grupa wysp na Oceanie Arktycznym). Na filmie widać dokładnie samą bombę. Nie tylko z zewnątrz, lecz także od wewnątrz – kamera towarzyszyła bowiem naukowcom, którzy zdemontowali osłonę, by po raz ostatni przed testem sprawdzić, czy podczas transportu na Półwysep Kolski nic złego się w środku nie wydarzyło. Nietrudno wyobrazić sobie, jak na widok tych ujęć muszą reagować emerytowani pracownicy CIA, którzy 60 lat temu odtwarzali ten przerażający test ze strzępków informacji.

BOMBA ZE SPADOCHRONEM

Bombowiec wystartował z bazy Oleniegorsk rankiem 30 października 1961 r. Bomba RDS-220 (oficjalna nazwa) była wyposażona w ważący blisko tonę spadochron, który miał dać załodze szansę na ucieczkę. Car-bombę zrzucono nad poligonem, gdy samolot znajdował się na wysokości 10,5 km. Obok Tu-95 leciały samoloty wyposażone w aparaturę badawczą oraz kamery i aparaty fotograficzne. Dzięki temu na filmie możemy oglądać zarówno moment zrzucenia bomby, jak i samą eksplozję.

Wybuch nastąpił cztery kilometry nad powierzchnią ziemi. Sowieccy naukowcy uznali, że detonacja na takiej wysokości

eprasa.pl dfe5ca67de

Wybuch nastąpił 30 października 1961 r. 4 km nad powierzchnią ziemi

FOT. ROSATOM

daje gwarancję wyrządzenia największych strat na ziemi. W tym momencie samolot był już ok. 50 km dalej.

Wybuch odpowiadał eksplozji 50 mln ton trotylu, czyli był trzy tysiące razy większy od detonacji bomby „Little Boy" zrzuconej nad Hiroszimą (15 kiloton). Kilkakrotnie przewyższało to siłę eksplozji wszystkich bomb użytych w czasie drugiej wojny światowej. Według kapitana Tu-95 jego maszyna straciła nagle tysiąc metrów. Udało mu się jednak odzyskać panowanie nad samolotem i bezpiecznie wrócił do bazy.

Błysk eksplozji widać było aż w Norwegii, ponad tysiąc kilometrów dalej. W domach znajdujących się setki kilometrów dalej wyleciały szyby. Grzyb osiągnął wysokość ponad 60 km, sięgając aż do mezosfery.

„Nasz samolot wyleciał spomiędzy dwóch warstw chmur i zobaczyliśmy w tym prześwicie wielką pomarańczową kulę ognia. Powoli i cicho pełzła w górę. Przebijając się przez grubą warstwę chmur, nie przestawała rosnąć. Jakby wsysała w siebie całą ziemię. Ten spektakl był nierzeczywisty, ponadnaturalny" – wspominał po latach sowiecki lotnik, który brał udział w teście.

Sowieci nie przygotowali na ziemi żadnych obiektów, które miały zostać zniszczone, by unaocznić potęgę car-bomby. Wystarczyć im miały instrumenty badawcze, pokazujące po prostu siłę eksplozji. Nie obyło się jednak bez strat. Opuszczone siedlisko, leżące 55 km (!) od punktu zero, składające się z kilkunastu drewnianych domków, zostało kompletnie zdmuchnięte z powierzchni ziemi.

SZCZĘŚCIE CHRUSZCZOWA

Nikita Chruszczow był przeszczęśliwy, słysząc o totalnym zniszczeniu w promieniu ponad 35 km. Gdyby car-bomba została zdetonowana nad wieżą Eiffla, cały Paryż wraz z przedmieściami w ciągu kilku sekund by wyparował. Jedna bomba mogła zabić kilkanaście milionów ludzi. RDS-220 była oczkiem w głowie ówczesnego przywódcy Związku Sowieckiego. Chruszczow był megalomanem, który marzył o kolejnych sowieckich „naj". Po największych na świecie fabrykach, elektrowniach i gospodarstwach rolnych przyszedł czas na bombę, która przerazi Zachód. Próby odprężenia w relacjach USA-ZSRS były już przeszłością, Chruszczow właśnie budował mur berliński i potrzebował politycznego wsparcia.

„To był wyścig na megatony – kto zbuduje większą bombę. Sowieci wygrali ten wyścig" – mówi Robert S. Norris, amerykański historyk zajmujący się bronią jądrową.

„Technologicznie byliśmy daleko przed nimi, więc Sowieci starali się zrobić coś, co pokaże całemu światu, że należy się z nimi liczyć. Car-bomba została przede wszystkim stworzona po to, by świat wstrzymał na chwilę oddech i uznał, że Sowieci są równi z Amerykanami" – powiedział Philip Coyle, ekspert ds. broni jądrowej, przez wiele lat pracujący dla Pentagonu.

Amerykanie nawet się nie zbliżyli do car-bomby ze swoimi bombami wodorowymi. Siedem lat wcześniej zdetonowali na atolu Bikini ładunek, który miał moc zaledwie 15 megaton TNT (test nazwany został „Castle Bravo").

Kreml nie musiał ogłaszać efektu eksplozji nad Nową Ziemią. Sowieci doskonale wiedzieli, że Amerykanie dokładnie przyglądają się ZSRS, szukając wszelkich śladów testów nuklearnych. Co ciekawe, w momencie wybuchu car-bomby amerykański samolot zwiadowczy znajdował się kilkadziesiąt kilometrów dalej i tylko cudem przetrwał falę uderzeniową.

Amerykanie byli bardzo sceptyczni wobec budowania tak wielkich bomb. „To wszystko stoi pod tak wielkim znakiem zapytania, że nie warto tego rozwijać" – powiedział kilka dni przed detonacją car-bomby Roswell Gilpatric, amerykański zastępca sekretarza obrony. Dlaczego? Potężna moc to jedno, ale dostarczenie bomby nad cel to zupełnie inna rzecz. RDS-220 kompletnie nie nadawała się do wsadzenia na rakietę. Można ją było przenosić jedynie na pokładzie samolotu, co wobec rakietowych środków obronnych znacznie obniżało skuteczność takiej metody dostarczania bomby. „Ciężko znaleźć dla czegoś takiego zastosowanie poza niszczeniem bardzo dużych miast. Takie bomby są po prostu zbyt wielkie, by je stosować w praktyce na polu walki" – podkreśla Philip Coyle.

STRACH SACHAROWA

Inna rzecz to skażenie radioaktywne. Początkowo RDS-220 miała mieć moc dwukrotnie większą (niewyobrażalne 100 megaton TNT), ale sowieccy naukowcy obawiali się, że taki test może się skończyć katastrofą zarówno dla środowiska naturalnego, jak i dla ludzi mieszkających tysiące kilometrów dalej. Po wybuchu car-bomby kraje skandynawskie zanotowały tak wysokie skażenie, że interweniowały w Moskwie.

Zamówienie na tak potężną bombę Chruszczow złożył u Andrieja Sacharowa, który po śmierci Igora Kurczatowa został szefem sowieckiego programu atomowego. I to głównie on starał się przekonać swoich przełożonych na Kremlu, że 100 megaton to bardzo zły pomysł.

„Był bardzo zaniepokojony ilością opadu radioaktywnego, który byłby spowodowany taką eksplozją. A także efektami genetycznymi, które dotknęłyby przyszłe pokolenia. To był początek jego drogi od architekta bomb do dysydenta" – mówi Frank N. von Hippel, fizyk z Uniwersytetu w Princeton. W 1975 r. Sacharow otrzymał Nagrodę Nobla za działalność na rzecz praw człowieka.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dfe5ca67de

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Z kamerą wśród bolszewików

Julien Bryan. Każdy w Polsce zna zdjęcia zrobione przez tego amerykańskiego fotografa we wrześniu 1939 r. w naszym kraju. Na czele ze wstrząsającą fotografią przedstawiającą dziewczynkę rozpaczającą nad zakrwawionym ciałem zabitej siostry.

Mało kto jednak wie, że Julien Bryan podróżował również do Związku Sowieckiego, gdzie zrobił tysiące zdjęć. Instytut Pamięci Narodowej zawarł porozumienie z synem fotografa – Samem Bryanem – i kopie tych materiałów znalazły się w archiwum Instytutu.

Każdy w Polsce zna zdjęcia tego fotografa

Teraz mogą je obejrzeć wszyscy dzięki wydanemu przez IPN albumowi – „Najbardziej tajemniczy kraj świata". Jest to wydawnictwo nowatorskie. Sowieckie zdjęcia Bryana – jak podkreśla w ciekawym i fachowym wstępie Tomasz Stempowski – są bowiem niemal całkowicie nieznane.

„Żaden inny zachodni fotograf nie odwiedzał sowieckiej Rosji tak często – pisze Stempowski – i nie dotarł do tak wielu miejsc. W latach 1930–1937 był w niej co roku, potem pojechał tam na przełomie lat 1946 i 1947 oraz w latach 1956–1959. Z taką samą uwagą obserwował tłoczących się na ulicach mieszkańców Moskwy i Leningradu, jak Buriatów i Tunguzów hodujących na Syberii renifery".

Oczywiście bolszewicy nie wpuszczali Bryana po to, aby pokazał światu prawdę o ich państwie. Zrobili to po to, aby wykorzystać go do swojej kampanii propagandowej pokazującej Związek Sowiecki – najbardziej totalitarny, zabiedzony i opresyjny kraj świata – jako miejsce powszechnej wolności, postępu i bogactwa. Stąd starali się ściśle kontrolować podróże Amerykanina, pokazywać mu tylko to, co chcieli pokazać. Ukrywali zaś przed nim prawdziwy koszmar i grozę sowieckiej rzeczywistości.

Jak Bryan sobie z tym poradził? Czy udało mu się wyrwać z pajęczyny kłamstw, dostrzec i sfotografować prawdziwy Związek Sowiecki? Czy dał się wykorzystać jako narzędzie bolszewików? Odpowiedzi na te pytania znajdą państwo w książce. Zdradzę tylko tyle, że nie będą one specjalnie miłe. Wielu czytelników zapewne przeżyje spore rozczarowanie.

Najważniejsze są jednak oczywiście zdjęcia. Nie trzeba specjalnie interesować się historią Związku Sowieckiego, żeby uznać je za fascynujące. ©℗

★★★★★★

TOMASZ STEMPOWSKI (RED.)
„NAJBARDZIEJ TAJEMNICZY KRAJ ŚWIATA"
IPN

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Ogromny sukces „Trylogii"

Z perspektywy czasu trudno wyobrazić sobie powodzenie, z którym spotykał się druk kolejnych odcinków „Trylogii" Henryka Sienkiewicza. Publikowane w „Słowie" i „Czasie" uzyskały ogromną rzeszę czytelników, chociaż nie zabrakło także krytycznych ocen. Ich autorami byli jednak głównie koledzy Sienkiewicza po piórze, trudno zatem nie oprzeć się wrażeniu, że były to przejawy zawodowej zawiści. Szczególne rozbawienie wzbudza po latach opinia Józefa Ignacego Kraszewskiego, który uznał, że „Ogniem i mieczem" było „nudne i rozwlekłe". Natomiast Bolesław Prus wytknął Sienkiewiczowi, że powołał do życia całkiem pokaźne grono „papierowych postaci", a Skrzetuski to „Jezus Chrystus obsadzony w roli oficera jazdy". Była to zresztą całkiem słuszna uwaga, gdyż nawet zajadłych wielbicieli Sienkiewicza irytowała czasami doskonałość głównego bohatera powieści.

Negatywne opinie utonęły jednak w morzu pochwał, a jeden z krytyków przyznał, że osoba wypowiadająca się źle o powieści była natychmiast poddawana ostracyzmowi towarzyskiemu. Wszyscy mówili językiem „Ogniem i mieczem", emocjonowali się losami jego bohaterów, a ci, którzy przeoczyli kolejny odcinek, dopytywali się o wydarzenia u przyjaciół. Listy czytelników, którzy wyjechali na prowincję i nie mogli dostać egzemplarza „Słowa" czy „Czasu", były przepełnione błaganiami o wycinki z gazet lub streszczania. Doszło nawet do tego, że grono warszawskich czytelniczek wystosowało list do autora z prośbą, by nie uśmiercał Skrzetuskiego i pozwolił mu poślubić Helenę!

Szaleństwo sięgnęło zenitu, gdy pojawiły się pierwsze odcinki „Potopu". Powieść była najważniejszym tematem rozmów, nie tylko w salonach, lecz także wśród osób, których nikt by nie posądzał o zamiłowanie do literatury. Nawet ludzie niepotrafiący czytać emocjonowali się losami bohaterów książki.

Wszyscy mówili językiem „Ogniem i mieczem"

Józef opowiadał mi rzecz następującą – wspominał Stefan Żeromski. – Był raz w zimie tego roku w Staszowie, miał interes na poczcie, czekał tam więc. Razem z nim czekało na przyjście poczty ze dwudziestu szewców, czeladników, sklepikarzy – czekali na »Słowo«. Gdy poczta przyszła, urzędniczek pocztowy zaczął czytać »Potop« na głos. Ci ludzie czekali tam parę godzin, oderwawszy się od pracy, aby usłyszeć dalszy ciąg powieści".

Gdy zatem 2 września 1886 r. w stołecznym „Słowie" pojawił się ostatni odcinek „Potopu", wszyscy wiedzieli, że powieść będzie miała kontynuację. ©℗

eprasa.pl dfe5ca67de

DODATEK SPECJALNY – część 3

Ideologia LGBT a edukacja dzieci

• Kurator oświaty Barbara Nowak o ideologach wchodzących do szkół • Co się kryje za standardami edukacji seksualnej WHO? • ks. dr hab. Piotr Roszak o agresji wobec chrześcijan • Sprawa arcybiskupa Viganò • Totalitaryzm ideologii LGBT

PARTNERZY:

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

TYGODNIK UNIKATOWY DO RZECZY

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

eprasa.pl dfe5ca67de

W RZECZY SAMEJ

Słaby opór rodziców

PAWEŁ LISICKI

Dlaczego aktywistom LGBT tak bardzo zależy na wprowadzeniu do szkół lekcji edukacji seksualnej? Dlaczego kolejne państwa zachodnie ulegają presji i praktycznie pozbawiają rodziców prawa do wychowania ich własnych dzieci, przekazując tę najważniejszą sferę życia człowieka w ręce ludzi motywowanych ideologią genderową? Dlaczego opór rodziców przeciw powszechnej seksualizacji jest tak słaby? Dlaczego tak bardzo zależy na niej seksedukatorom wszelkiej maści? To wszystko pytania kluczowe. I, jak to często bywa, żeby znaleźć na nie odpowiedź, należy sięgnąć do fundamentów.

Jeśli chodzi o presję, to wynika ona wprost z przekonania, że szczęście człowieka jest tożsame z jego emancypacją. Tylko człowiek wyzwolony ze wszystkich ograniczeń w pełni jest sobą, zatem może być szczęśliwy. Tyle że owo „wyzwolenie" rozumiane jest przez współczesnych ideologów jako proste spełnianie zachcianek, zaspokajanie pożądań, impulsów, pragnień, żądz.

W ich oczach człowiek jawi się jako niedoskonałe zwierzę. Zamiast kierować się instynktem i czerpać rozkosz z zaspokojenia pożądania, ciągle prześladują go rozum, kultura, cywilizacja. Dodatkowo, od lat 50. XX w., kiedy to zaczęła się formować ideologia gender, wśród rzekomo pętających ludzką wolność ograniczeń i barier pojawiły się też biologiczna płeć i natura. Człowiek to kłębek pożądań i instynktów. Wyzwolić się to się zaspokoić. Jeśli coś w tym przeszkadza – płeć, naturalny instynkt rozrodczy, odziedziczone normy społeczne – to należy się tego pozbyć. Problemem nie jest wewnętrzna słabość człowieka, ale obiektywna reguła. Wszystko, co zewnętrzne, co od jednostki niezależne, co odziedziczone, przekazane, musi zostać usunięte. To człowiek musi zdecydować, czy chce być mężczyzną czy kobietą, czy chce zaspokajać się z mężczyznami czy z kobietami. W skrajnej wersji, ale przecież obecnej, to dążenie do samookreślenia prowadzi do wyboru już nie tylko płci, lecz także… własnego gatunku!

Łatwo zauważyć, że taka wizja człowieka – jako poszukującego nasycenia, wewnętrznie niezróżnicowanego podmiotu pożądań, z których żadne nie jest wyższe lub niższe – stanowi zaprzeczenie nie tylko wizji chrześcijańskiej, lecz także całej mądrości klasycznej, przekazanej przez Arystotelesa czy Platona. Nie rozum ma panować nad namiętnościami, ale one nad nim; nie duch nad ciałem, ale ono nad nim. Wszelkie opisywanie pożądań w kategoriach moralności ma zostać zniesione. Dlatego orientacja seksualna – a więc to, czy pożąda się pana czy pani, czy ich obojga, czy pożąda się jednej osoby czy wielu itd., itp. – ma być czymś całkowicie neutralnym. Liczą się wyłącznie nasycenie i zaspokojenie. A na straży tej neutralności ma stanąć państwo. To ono ma teraz zapewnić, by każdy obywatel mógł korzystać z wolności do pożądania w taki sposób, by nikt – czy to Kościół, czy rodzina – nie śmiał go negatywnie ocenić. Negatywa ocena wytwarza stres, a stres jest właśnie tym, czego należy unikać. Jeśli zatem w społeczeństwie wciąż się uważa, że niektóre typy zachowania seksualnego są niewłaściwe, to może to wynikać jedynie z nieprzezwyciężonego dziedzictwa religijnego, zacofania kulturowego. Libido, a więc żądza rozkoszy, jest jedynym realnym „ja" człowieka. Stres – jedynym złem. W tym sensie wszyscy współcześni genderyści są po prostu wiernymi uczniami markiza de Sade'a. Idealny człowiek nie może mieć wyrzutów sumienia, nie wolno mu przypominać o grzechu. Walcząc o wprowadzenie nowego systemu edukacji seksualnej, z którego wyklucza się moralność, wstrzemięźliwość, panowanie nad sobą, ideologowie LGBT chcą skonstruować człowieka od nowa. Wierzą, że służą dobru ludzkości.

Po drugiej stronie stają rodzice dzieci. W wielu krajach Zachodu dawno już zatracili rozumienie tego, czym jest władza i autorytet rodzicielski. Nie wiedzą, czym jest macierzyństwo lub ojcostwo. Czwarte przykazanie Dekalogu wydaje się im przeżytkiem epoki barbarzyństwa. Widzą w sobie co najwyżej przypadkowych przekaźników materiału genetycznego. Życie, które od nich pochodzi, nie ma w sobie nic świętego, nic danego z góry i dlatego nie wolno go formować ani kształcić zgodnie ze starymi, przezwyciężonymi rzekomo modelami kulturowymi.

Prawdziwymi nauczycielami współczesnych rodziców są media, w których szukają porad i informacji. Są przekonani, że na każde pytanie, również te o sferę intymną, właściwą odpowiedź znają eksperci. Nic dziwnego zatem, że w większości krajów zachodnich rodzice praktycznie nie sprzeciwiają się odebraniu sobie podstawowych praw do wychowania. W powszechnej, wspierającej postulaty LGBT edukacji seksualnej widzą zdobycz cywilizacji. Nie opierają się jej, bo nie mają żadnego wzorca człowieczeństwa innego niż ten, który im został wpojony. Dlatego przykłady oporu pojawiają się jedynie wśród tradycyjnych chrześcijan albo, na coraz większą skalę, wśród muzułmanów. Im bardziej słabną społeczna funkcja i autorytet religii, tym szybciej znika władza rodzicielska i tym szybciej system edukacji zostaje poddany presji ideologii gender. Tym szybciej człowiek zostaje sprowadzony do części swej zwierzęcej natury. ©℗

eprasa.pl dfe5ca67de

Z Barbarą Nowak, małopolską kurator oświaty
rozmawia Piotr Włoczyk

Lekcje biologii na celowniku ideologów

PIOTR WŁOCZYK: To MEN tworzy obowiązującą na terenie całego kraju podstawę programową, a od pięciu lat Polską rządzą konserwatywni politycy. Czy to nie powinno dawać rodzicom gwarancji, że ich dzieci nie będą się stykać w oficjalnym szkolnym przekazie z tęczową ideologią?

BARBARA NOWAK: To najważniejsze pytanie w całej tej dyskusji. Można by podejrzewać, że skoro władzę sprawuje konserwatywny rząd i mamy w Polsce dobre prawo oświatowe z wyraźnie wymienionymi w preambule tradycyjnymi wartościami, to nie ma tu większych zagrożeń. Wiemy jednak od dosyć dawna, że jest inaczej – ten system nie działa tak dobrze. Odpowiedzialność za to spada na rząd. Myślę jednak, że problemem nie jest tu lekceważenie tego zjawiska, tylko zwyczajny brak wiedzy o zagrożeniach ze strony ideologii gender/LGBT. I to zarówno w rządzie, w MEN, jak i w Ministerstwie Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej. Jeszcze gorzej wygląda świadomość tych zagrożeń w naszym społeczeństwie.

W czym konkretnie widzi pani problem?

Przekaz, który teraz funkcjonuje w Polsce ze strony grup LGBT, jest skrajnie fałszywy. Mówi się o tolerancji, powszechnej miłości, a w rzeczywistości stoi za tym przewrót cywilizacyjny – swobodny dobór płci, „płynność" orientacji seksualnej, skupienie uwagi młodego człowieka na seksualności i równoczesne spychanie na bok całego bogactwa człowieczeństwa. Cała nowoczesna edukacja seksualna i tzw. zajęcia równościowe to tylko pretekst, żeby mącić dzieciom w głowach, opowiadać im, że np. mogą dowolnie zmieniać płeć, jak najwcześniej rozpoczynać eksperymenty seksualne z dowolną płcią itp.

Na razie na lekcjach biologii dzieci słyszą to, co słyszeli ich rodzice i dziadkowie – są tylko dwie płcie i nie można między nimi swobodnie wybierać.

Oczywiście, na biologii realizowana jest – a przynajmniej powinna być realizowana – podstawa programowa, która zgodnie z ustaleniami wielu pokoleń naukowców uczy, że istnieją tylko dwie płcie, między którymi istnieje nieprzekraczalna bariera. Z informacji, które do mnie docierają, wynika jednak, że w niektórych szkołach zdarzają się nauczyciele, którzy „wzbogacają" podstawę programową o zdobycze tęczowej rewolucji społecznej – tzn. opowiadają dzieciom, że biologia biologią, ale psychologia inaczej patrzy na kwestię płci. Proszę nie zapominać, że również w Polsce realizowane są specjalne kursy genderowe dla nauczycieli. Na koniec dostają oni wytyczne, jak włączać poznane treści do lekcji każdego przedmiotu, w tym także biologii.

Jest wiele tęczowych organizacji zdeterminowanych, by wejść z tą ideologią do szkół. Przykładowo we Wrocławiu nauczyciele realizujący programy ze środków unijnych dla uczniów szkół średnich otrzymywali do podpisania deklarację, że nie będą stosowali „stereotypów" w kwestii tożsamości płciowej. Wymaga się od nich wprost, że nie będą twierdzili, iż płeć to coś stałego.

Czyli chce pani uczulić rządzących, by nie wierzyć ślepo w to, że skoro podstawa programowa nie zawiera rewolucyjnych elementów, to możemy być spokojni o edukację naszych dzieci?

Tak, to wszystko zależy przecież od ludzi. Ideolodzy gender/LGBT na celownik biorą głównie lekcje biologii. Nikt nie wie, ilu nauczycieli poddaje się tym antynaukowym poglądom, ale z moich obserwacji wynika, że nie jest to już problem kompletnie marginalny. Apeluję do dyrektorów małopolskich szkół, by czuwali nad przekazem kierowanym do dzieci w ich szkołach. Bardzo wiele zależy tu od ich podejścia. Niestety nie ma już formacji etycznej nauczycieli. To kompletnie zaniedbana kwestia. W ten sposób dbano kiedyś o to, by nauczyciel przekazywał tylko to, co jest sprawdzoną wiedzą.

Jakie konkretnie niepokojące sygnały docierają do kierowanego przez panią krakowskiego kuratorium oświaty?

To wciąż przypadki raczej jednostkowe, ale problem ewidentnie narasta. Przychodzą do nas zaniepokojeni rodzice, którzy mówią, że ich dziecko wróciło ze szkoły mocno zdziwione, bo usłyszało od nauczycielki czy innej osoby z zewnątrz prowadzącej zajęcia, że dobrze wpłynie na ich samopoczucie częste masturbowanie się, podejmowanie eksperymentów seksualnych. A także to, że podejmowanie współżycia

eprasa.pl dfe5ca67de

seksualnego po ukończeniu 15. roku życia jest czymś normalnym, że jest możliwa zmiana płci – niekoniecznie trzeba być mężczyzną czy kobietą przez całe życie.

Dochodzą do nas jednak dużo bardziej niepokojące sygnały o dzieciach, które już są zagubione z powodu takiego przekazu. Szczególnie narażone są dzieci wychowywane w trudnych, porozbijanych rodzinach. Mama czy ojciec, których funkcjonowanie w rodzinie budzi sprzeciw dziecka, często powodują, że odrzuca ono osoby płci, którą reprezentuje krzywdzący. Wniosek jest jeden: wiedza, którą ideolodzy gender promują, dociera do naszych dzieci różnymi kanałami. Również szkolnymi – i to jest przerażające. Obecnie

Wiedza, którą ideolodzy gender promują, dociera do naszych dzieci różnymi kanałami. Również szkolnymi – i to jest przerażające

największy alarm powinna wzbudzać sytuacja w Warszawie. Niestety, dzieje się to niemal „pod nosem" MEN, które, co mówię z ubolewaniem, właściwie na to nie reaguje.

Nawet portal OKO.press stwierdził, że wobec sprzeciwu prawicy zapisy Deklaracji LGBT są w zasadzie martwe, a program „antydyskryminacyjny" dla szkół jest realizowany na pół gwizdka.

To nieprawda. Te zajęcia dodatkowe są organizowane w warszawskich szkołach pod inną nazwą: „Szkoła przyjazna prawom człowieka". Przed nagłośnieniem całej sprawy w szkołach miał pracować „latarnik". Po skandalu zmieniono „latarnika" w „oficera równości". Ten program realizuje Warszawskie Centrum Innowacji Edukacyjno-Społecznych i Szkoleń. Nie miejmy złudzeń – tzw. karta LGBT+ jest realizowana w ponad 200 warszawskich szkołach. Stolica wyłożyła na ten cel z własnej kasy 5 mln zł.

Dlaczego obecność „latarnika" czy „oficera równości" to pani zdaniem zły pomysł?

W życiu każdego człowieka istnieje tzw. faza homofilna. To jest taki okres, kiedy dziecko, mając kilkanaście lat, woli przebywać z ludźmi własnej płci i odrzuca osoby płci przeciwnej. Potem to się oczywiście zmienia. Przejawem tego jest choćby widok dziewczyn chodzących ze sobą za rękę. Faza homofilna to jedynie kwestia sympatii niemająca nic wspólnego z seksualnością.

Widzę tu olbrzymie zagrożenie. Ludzie odpowiedzialni w szkołach za wdrażanie w życie ideologii LGBT, czyli właśnie „latarnicy" bądź „oficerowie równości", mają wyszukiwać rzekomo „homoseksualne" dzieci i brać je pod swoje skrzydła. Zwracanie dzieciom w fazie homofilnej uwagi, że to może być homoseksualizm, grozi bardzo daleko idącymi konsekwencjami. Łatwo zasiać w młodym umyśle niepewność. Kiedy jeszcze dodamy do tego standardy WHO, w których zachęca się dzieci do „eksperymentów" z własną seksualnością, otrzymujemy przepis na tragedię. To zbrodnia na nieukształtowanych dzieciach, które w oczywisty sposób są bardzo podatne na takie treści. Badania zrealizowane w USA, po ośmiu latach edukacji seksualnej typu B, pokazały, że efekty takiej polityki są dramatyczne. 25 proc. 18-latków z Nowego Jorku nie jest pewna swojej orientacji. Pokazują to m.in. raporty amerykańskich centrów kontroli i prewencji chorób z lat 2016 i 2018.

Według NHS (brytyjskiego odpowiednika NFZ) w 2016 r. w całej Wielkiej Brytanii do procedury przygotowującej do „zmiany" płci zgłoszonych zostało 1408 osób poniżej 18. roku życia, ale już w 2019 r. takich osób było ponad 2700. Chociaż trudno w to uwierzyć, to niemal 200 z nich stanowiły dzieci poniżej 10. roku życia...

Brytyjskie społeczeństwo znajduje się na czele listy ofiar ideologii gender/LGBT. W Wielkiej Brytanii jest jeszcze jeden problem – olbrzymi wzrost liczby niechcianych ciąż wśród nastolatek. Większość nie kończy się porodem... Przykład tego kraju pokazuje, że im więcej lewackiej seksedukacji, tym gorzej to wygląda. Polscy seksedukatorzy w rodzaju Pontona przekonują, że musimy wdrożyć nauczanie seksualne typu B, pokazując m.in. rzekomo świetną sytuację w Wielkiej Brytanii. To jedno wielkie kłamstwo. Odsetek ciąż wśród nastolatków w przedziale wiekowym 15–19 lat do ogólnej liczby urodzeń prezentuje się następująco:

Polska – 2,5 proc., Niemcy – 2,9 proc., Szwecja – 6,3 proc., Wielka Brytania –

FOT. MARCIN KAPROŃ

eprasa.pl dfe5ca67de

6,4 proc. To dane Eurostatu. Przy czym dla Niemiec, Szwecji i Wielkiej Brytanii do liczby ciąż doliczono też aborcje. Polska ma także dużo niższy wskaźnik zachorowań na choroby weneryczne i to co najmniej dwukrotnie.

Na pewno słyszała pani o „Zdrovve Love" – programie lekcji dodatkowych w szkołach finansowanym przez Gdańsk. Opis charakteru tych zajęć przedstawiany rodzicom nie brzmi jakoś wyjątkowo niepokojąco: „Każdy człowiek ma prawo do najlepszego możliwego do osiągnięcia stanu zdrowia i dobrostanu w zakresie seksualności, w tym do możliwości przeżywania przyjemnych, satysfakcjonujących i bezpiecznych doświadczeń seksualnych".

To bardzo sprytna strategia i trzeba przyznać, że trudno z tym walczyć. Pod hasłem programów zdrowotnych przemyca się, najpierw w sposób miękki, potem twardszy, wyjątkowo niebezpieczne informacje. Oczywiście znam treść tego programu. Mówi się tam o wszelkich możliwych stosunkach seksualnych, a heteroseksualność jest gdzieś w tle – pokazuje się ją tylko jako jedną z wielu opcji. Z kolei homoseksualizm pokazywany jest jako coś bardzo pożądanego. W innym programie zajęć dodatkowych dla polskich szkół czytałam, że jednym z plusów homoseksualnych związków jest to, iż nie powodują one dla dziewczynek niepożądanych następstw, takich jak np. ciąża. Czy to jest neutralna wiedza, którą powinny nabywać polskie dzieci?

Po co są wprowadzane te wszystkie zmiany?

To jest plan ideologiczny bardzo ściśle powiązany z celami finansowymi korporacji, które świetnie na tym zarobią. Mam tu na myśli m.in. przemysł antykoncepcyjny, aborcyjny i pornograficzny. Oczywiście nie można pominąć też celów politycznych. Według rzetelnych badań w każdym społeczeństwie jest ok. 3 proc. osób, które nie czują się heteroseksualne. Po badaniu z Nowego Jorku widać, że można tak młodzieży zamieszać w głowach, iż odsetek ten rośnie do 25 proc. To budowanie nowej cywilizacji tzw. neobarbarzyńskiej. Politycznie wykorzystują to środowiska lewicowe i liberalne. Człowiekiem ukształtowanym według tej ideologii łatwiej sterować.

Nawiasem mówiąc, ja się wcale nie dziwię, jeżeli ktoś nie chce wierzyć w to, co znajduje się w standardach

eprasa.pl dfe5ca67de

WHO. To są tak przerażające treści, że trudno w nie uwierzyć. I to jest paradoks całej tej sytuacji – rewolucja tak przyspiesza, że zwykli ludzie nie są w stanie połapać się w tym wszystkim. Weźmy choćby stosowane na Zachodzie tzw. blokery dojrzewania. Zatrzymuje się w ten sposób dojrzewanie do momentu, aż dziecko zdecyduje, kim chce być w przyszłości – kobietą czy mężczyzną. A może jeszcze kimś innym? Blokery dojrzewania to pierwszy krok do zmiany płci. Kiedy ludzie w Polsce o tym słyszą, nie mogą uwierzyć, że to jest możliwe. Kiedyś sama miałam z tym problem. Jednak widziałam zbyt wiele dowodów. Teraz jest dużo łatwiej, bo wiedza o szkodliwej ideologii gender/LGBT jest coraz bardziej powszechna, również dzięki temu, że zaczyna pękać cenzura na tzw. Zachodzie i coraz więcej jej kłamstw oraz manipulacji wychodzi na jaw.

Blokery dojrzewania faktycznie brzmią jak element scenariusza kiepskiego filmu science fiction.

Tymczasem na Zachodzie dzieją się rzeczy naprawdę niepojęte, czego symbolem są drag queens wprowadzane do przedszkoli i szkół. W Internecie można znaleźć porażające nagranie pokazujące ośmioletniego chłopca uważającego się za drag queen. Ten chłopiec zwraca się do innych dzieci: „Jeżeli nie akceptują was wasi rodzice, to trzeba zmienić rodziców. Jeżeli przyjaciele was nie wspierają, to zmieńcie przyjaciół”...

Trzeba jednak wyraźnie powiedzieć, że niecałe środowisko określające się jako LGBT akceptuje doktryny ideologiczne dotyczące dzieci. Niesamowicie brzmią słowa drag queen używającego pseudonimu Kitty Demure, który apelował kilka miesięcy temu w swoim nagraniu do matek, które cieszą się, że ich pociechy są odwiedzane w przedszkolach przez drag queens: „Co wy robicie, że wpuszczacie drag queens do przedszkoli? Czy chcielibyście, żeby striptizerka albo gwiazda porno miały wpływ na wasze dziecko?”.

Nic mi do tego, jak ktoś prywatnie urządza sobie życie, ale promocja niebezpiecznych idei to zupełnie inna sprawa – naszym obowiązkiem jest kontrować ten przekaz. Ja zaś uczę prawdziwego szacunku i tolerancji. Dla każdego bez względu na wiek, orientację seksualną, poglądy polityczne, wyznawaną wiarę. Stawiam zawsze tylko jedną granicę – krzywdę drugiego człowieka. Niestety, miałam już okazję widzieć dzieci skrzywdzone przez ideologów gender/LGBT.

Trzeba pokazać cele tego niebezpiecznego lobby. Musimy też prześwietlić tzw. studia gender. To nie jest nauka, tylko wyssane z palca fantazje. Jeden z ideologów Christopher Dummit napisał, że sobie te płcie najzwyczajniej w świecie wymyślił!

Jakich konkretnie działań oczekiwałaby pani od polskiego rządu?

„Gazeta Wyborcza” obliczyła skrupulatnie, że 20 dyrektorów w Małopolsce zostało usuniętych za prowadzenie edukacji seksualizującej, która zagraża dzieciom. Ja po prostu staram się dbać o to, by w szkołach był realizowany sprawdzony program. Żeby nie dochodziło do eksperymentowania na młodzieży. Niestety, twarda postawa oznacza problemy nie tylko ze strony środowisk LGBT, które domagają się usunięcia mnie. Na prawicy nie brakuje ludzi, którzy moje alarmy odczytują jako „robienie problemów”. Czekam, aż MEN będzie weryfikowało, czy program nauczania, a także podręczniki zawierają tylko merytorycznie właściwe treści, czy nikt ich nie „wzbogaca” o ideologiczny przekaz. Brakuje nam sygnału z samej góry, że władze wymagają od kuratorów, dyrektorów i nauczycieli poważnego podejścia do tej sprawy, że ich wspierają.

Pewną nadzieję daje postawa prezydenta Andrzeja Dudy, który w kampanii wyborczej bardzo jasno powiedział, że ta ideologia jest niezwykle szkodliwa. Niestety, w odpowiedzi druga strona zrobiła z prezydenta „obrońcę pedofila”... To absolutnie skandaliczna manipulacja. Myślę, że skoro już ludzie to usłyszeli z ust głowy państwa, to nasze władze muszą przeprowadzić ofensywę informacyjną pokazującą, jak wygląda wiedza naukowa. Trzeba pokazać cele tego niebezpiecznego lobby. Musimy też poważnie prześwietlić tzw. studia gender. To nie jest nauka, tylko wyssane z palca fantazje. Poinformował o tym jeden z ideologów Christopher Dummitt, pisząc, że sobie te rozliczne płcie najzwyczajniej w świecie wymyślił! O innym twórcy gender – Alfredzie Kinseyu – wielu ludzi już usłyszało. Był to przestępca seksualny, który do eksperymentów na dzieciach zatrudniał pedofilów. Kto poważny uwierzy w istnienie 56 płci? A to przecież fundament „studiów gender”.

Czy to nie jest jednak tak, że ideologia LGBT wygrywa to starcie o serca i umysły młodych ludzi i na razie nic nie wskazuje na to, żeby to się miało zmienić w najbliższej przyszłości?

Tak to wygląda. Ich przekaz jest bardzo atrakcyjny. Czytałam materiały do zajęć dodatkowych, które zostały dopuszczone przez władze Słupska. W tym mieście realizowany jest bardzo agresywny program LGBT. W celach jasno zapisano, że trzeba wybrać grupę liderów młodzieżowych, którzy będą porywać za sobą kolejnych młodych ludzi. To jest niezwykle efektywne i dlatego musimy szukać skutecznych metod docierania do młodzieży z odpowiednim, prawdziwym przekazem. Państwo ma do dyspozycji potężne środki, by szerzyć w społeczeństwie dobre wzorce. Jednym z nich jest choćby TVP, a w przypadku młodych ludzi Internet. Musimy więcej uwagi poświęcić potrzebom młodzieży, więcej z nią rozmawiać, pokazywać prawdę, nauczyć się ją rozumieć, ale również wymagać zrozumienia. Można też sięgnąć po blokowanie złych treści. Pierwszym krokiem mogłoby być zmuszenie operatorów sieci komórkowych do odcięcia wszystkich poniżej 18. roku życia od treści pornograficznych. Pamiętajmy, że ideolodzy LGBT/gender wiążą z pornografią olbrzymie nadzieje na przeciągnięcie młodzieży na swoją stronę...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

***Barbara Nowak** – jest małopolską kurator oświaty (od 2016 r.). Ukończyła historię na UJ, przez wiele lat pracowała jako nauczycielka historii i dyrektorka szkoły podstawowej. W latach 2010–2016 była krakowską radną z ramienia PiS.*

eprasa.pl dfe5ca67de

Kalendarium LGBT

FOT. TSYMUR KHASANAU/ADOBE STOCK

Tomasz Rowiński

2001: POCZĄTKI PARAD RÓWNOŚCI W POLSCE

Coroczna akcja afirmacyjna politycznego ruchu homoseksualnego zaczęła się w Polsce 1 maja 2001 r. Wówczas odbyła się pierwsza Parada Równości. Inicjatorem tego wydarzenia był Szymon Niemiec, ówczesny prezes Międzynarodowego Stowarzyszenia Gejów i Lesbijek na rzecz Kultury w Polsce (ILGCN-Polska), znany dziś głównie z bluźnierczego odprawienia mszy świętej razem z przedstawicielem Kościoła Latającego Potwora Spaghetti podczas Parady Równości w roku 2019.

Przez pierwsze trzy lata, do roku 2003, parady odbywały się 1 maja, a zatem były swego rodzaju pochodami pierwszomajowymi, tylko nie pod czerwoną, ale tęczową flagą. W latach 2004–2005 parad zakazywał prezydent Warszawy Lech Kaczyński, powołując się na przepisy o ruchu drogowym. W 2005 r. zakaz ten został zlekceważony i parada zyskała poparcie wielu polityków lewicy oraz lewicowych przedstawicieli świata kultury. W sprawy polskie wówczas wtrącili się także niektórzy niemieccy europosłowie. Przeciwko prezydentowi Warszawy wypowiedział się Trybunał Konstytucyjny pod przewodnictwem Ewy Łętowskiej. Dzisiaj wskazuje się, że zamiast zakazów prewencyjnych powinno się wobec parad po prostu stosować prawo, czyli rozwiązywać zgromadzenia w przypadku naruszania zasad konstytucyjnych, takich jak np. ochrona moralności publicznej czy ochrona uczuć religijnych.

Przeciwko Polsce w 2007 r. wypowiedział się także Europejski Trybunał Praw Człowieka, który orzekł, że władze Warszawy, zakazując przeprowadzenia Parady Równości w 2005 r., naruszyły Europejską konwencję praw człowieka. Niestety, od roku 2005 parady politycznego ruchu homoseksualnego odbywają się nieprzerwanie w Warszawie, a także w kolejnych miastach. Przez kolejne lata działo się to często przy obojętności władz na zachowania obsceniczne i demoralizujące, czego przykładem były zeszłoroczne bluźniercze zachowania, a więc parodia procesji Bożego Ciała w Gdańsku. Liberalne władze miasta dopiero pod naciskiem opinii publicznej zareagowały na incydent.

1978: POWSTANIE FLAGI Z USZKODZONĄ TĘCZĄ

Rosnący w siłę polityczny ruch homoseksualny, który uzurpuje sobie prawo do reprezentowania rozmaitych tożsamości społecznych budowanych na zaburzeniach płci lub innych skłonnościach nienormatywnych, w ostatnich czasach prezentuje nam się w coraz to nowych barwach. Mamy już flagę biseksualistów, która składa się z szerokiego pasma magenty na górze, szerokiego paska w kolorze niebieskim na dole i węższego pasma w kolorze lawendy zajmującego środkową jedną piątą. Mamy flagę transseksualistów, która składa się z pięciu poziomych pasów: dwóch jasnoniebieskich, dwóch różowych oraz białego paska pośrodku. Tych barw jest coraz więcej, są flagi lesbijskie, a nawet flaga osób aseksualnych. To oczywiście nie dziwi, w ten sposób buduje się polityczno-społeczną koalicję, prawdziwą wspólnotę wyobrażoną osób, których nic nie łączy. Czy bowiem osoby aseksualne rzeczywiście mogą tworzyć wspólną ideologię z aktywistami politycznego ruchu homoseksualnego, którzy są grupą szczególnie odpowiedzialną za panerotyzację przestrzeni publicznej?

Wciąż jednak flagą, która jest w ostatnim czasie obecna praktycznie wszędzie i nieustannie, jest symbol zepsutej tęczy znany nam jako główny znak politycznego ruchu homoseksualnego i jego sojuszników. Tęczowa flaga została zaprojektowana przez Gilberta Bakera w roku 1978 pierwotnie jako flaga ośmiobarwna. W kolejnym roku liczbę kolorów zredukowano – najpierw z powodu braków różowej tkaniny, a potem z powodów praktycznych, by flagę dało się symetrycznie podzielić wzdłuż linii i rozwiesić w taki sposób na latarniach San Francisco. Oczywiście flaga – niczym konstytucja Związku Sowieckiego – wyraża „samo dobro": różowy to seksualność, czerwony to światło, pomarańczowy to ukojenie bólu i cierpień, żółty to słońce, zielony to więź z naturą, niebieski turkusowy oznacza sztukę, niebieski indygo – spokój i harmonię, a fioletowy – duchowość. Przynajmniej tak sobie to wyobrażał projektant flagi, który dzięki niej jest dziś ważną postacią homoseksualnej i artystycznej socjety w Stanach Zjednoczonych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dfe5ca67de

„Standardy WHO" jako instrument

FOT. ADOBE STOCK

Nikodem Bernaciak

Co zawierają osławione „standardy WHO" dotyczące edukacji seksualnej? Jakie są ich korzenie ideologiczne? I dlaczego rodzice protestują przeciwko zastępowaniu nimi polskiego modelu wychowania do życia w rodzinie?

Standardy edukacji seksualnej w Europie. Podstawowe zalecenia dla decydentów oraz specjalistów zajmujących się edukacją i zdrowiem", wydane w 2010 r. przez niemieckie Federalne Biuro ds. Edukacji Zdrowotnej w Kolonii (BZgA) pod patronatem WHO, liczą 68 stron i są dostępne w różnych wersjach językowych na stronie BZgA. Wbrew „europejskiej" nazwie dokument charakteryzuje się znacznym „protekcjonalizmem", używając określenia Krzysztofa Mazura, który w marcu 2019 r. poddał standardy zdecydowanej krytyce jako ówczesny prezes Klubu Jagiellońskiego. Już we wstępie państwa Europy Zachodniej, w których na przestrzeni minionych kilkudziesięciu lat wdrożono permisywny model „edukacji seksualnej", przeciwstawione są bowiem państwom Europy Środkowej i Europy Wschodniej, gdzie „podejmowano pewne inicjatywy w tym zakresie, jednak patrząc wstecz, trudno byłoby je nazwać »edukacją seksualną«. W większości były to działania w zakresie »przygotowania do małżeństwa i życia w rodzinie«". Część Europy (w tym Polska) określona jest jako „spowolniona", za co winę ponosi „konserwatyzm pojawiający się w różnych sferach życia publicznego, w tym politycznego, kulturalnego i religijnego". Wiemy już zatem, że to niezbudowanie szczęśliwych małżeństw i rodzin jest celem „Standardów...".

„Standardy..." zostały przetłumaczone na język polski dopiero po dwóch latach. Bodaj jako pierwsza w Polsce alarmowała o ich rzeczywistej treści niemiecka socjolog Gabriele Kuby. W wywiadzie udzielonym „Gościowi Niedzielnemu" w 2012 r. cytowała niedowierzającej dziennikarce napisany w duchu „Standardów..." niemiecki podręcznik dla przedszkolaków: „Tak jak można mieć ochotę na czekoladę, tak samo kobiety i mężczyźni mogą mieć ochotę na seks z samym sobą".

W lutym 2013 r. grupa lewicowych posłów reprezentowana przez Wandę Nowicką złożyła w Sejmie projekt ustawy o edukacji seksualnej. Pod projektem podpisali się Robert Biedroń, ale także Leszek Miller. Projektodawcy zakładali, że edukacja seksualna zawierająca elementy teorii gender oraz propagandy aborcyjnej („prawa reprodukcyjne") byłaby obowiązkowa od podstawówki do szkoły średniej, a uczniowie mieliby ponadto brać udział w Ogólnopolskiej Olimpiadzie Wiedzy o Seksualności Człowieka. W uzasadnieniu wprost powoływano się na „Standardy...". Dwa miesiące później resorty oświaty oraz zdrowia zorganizowały konferencję prasową, podczas której oficjalnie zaprezentowano „Standardy...". Treści zawarte w części II „Standardów..." okazały się na tyle szokujące dla opinii publicznej, że w kolejnym roku projekt lewicy został odrzucony miażdżącą większością 368 głosów. Przez następne pięć lat treści zbieżne z założeniami „Standardów..." były więc „przemycane" niejawnie i pośrednio – w projektach poszczególnych organizacji pozarządowych, w tym również wspieranych finansowo przez samorządy różnego szczebla.

eprasa.pl dfe5ca67de

antyrodzinnej rewolucji seksualnej

ZASPOKOJENIE SEKSUALNE PODSTAWĄ NOWEGO CZŁOWIECZEŃSTWA

W pierwszej części „Standardów..." autorzy odwołują się do kilku źródeł inspiracji – jednym z nich jest Deklaracja praw seksualnych opublikowana w 2008 r. przez aborcyjnego giganta – międzynarodową federację Planned Parenthood (IPPF). Dokument ten zbudowany jest na fundamencie totalnej negacji dotychczasowego stanu wiedzy o naturze człowieczeństwa. W myśl jego kluczowych zasad to „seksualność i przyjemność z niej wynikająca jest centralnym aspektem bycia człowiekiem, bez względu na to, czy dana osoba decyduje się na rozmnażanie" (zasada nr 4), a prawa seksualne danej osoby mogą być ograniczone tylko poprzez prawa innej osoby (zasada nr 6). W tym kontekście autorzy z dumą przyznają, że „nowoczesne metody przyczyniły się do pojawienia się całkowicie nowych możliwości oddzielenia współżycia seksualnego od prokreacji".

Rozerwanie to jest przedstawiane przez autorów „Standardów..." niemalże jako szczytowe osiągnięcie człowieka, które umożliwiło przeprowadzenie rewolucji seksualnej, szeroki dostęp do środków antykoncepcyjnych i wreszcie dopuszczenie przez prawo stanowione możliwości uśmiercania nienarodzonych dzieci w łonach matek.

Skoro „centralnym aspektem" człowieczeństwa jest już nie obiektywna godność, lecz subiektywna przyjemność seksualna, a sensem życia ludzkiego nie jest już pielęgnowanie przyrodzonych cnót, ale uleganie swoim popędom, pobudzanie i urzeczywistnianie swoich zachcianek seksualnych, należy umożliwić każdemu człowiekowi spełnianie tych zachcianek już od najmłodszych lat. Skoro zaspokojenie seksualne staje się wartością nadrzędną, to cały system aksjologiczny państw i narodów musi zostać zbudowany na nowo wokół tej wartości.

Autorzy przywołują zatem definicję „edukacji seksualnej" UNESCO, której celem nie jest wychowanie, lecz dostarczenie dziecku „dokładnych, realistycznych, nieosądzających informacji". „Nieosądzających", a więc ignorujących aspekt moralny i naturalny dla rodzaju ludzkiego celu seksualności, jakim jest prokreacja, i oderwanych od jakichkolwiek istniejących dotychczas wzorców wychowawczych. „Dokładnych" i „realistycznych", a zatem zawierających możliwie szerokie wyliczenie wszystkich możliwych zastosowań seksualności, również tych nienaturalnych i dewiacyjnych. Przedstawiciele tego kierunku wychodzą z założenia, że „edukacja" jest jedynie przekazywaniem wiedzy, i dopiero, gdy dziecko przejdzie przez szczegółowy kurs zapoznawania się z dostępnymi konfiguracjami seksualnymi – w tym najbardziej permisywnymi i wulgarnymi – będzie naprawdę „wyedukowane".

Logiczną konsekwencją tak zaplanowanego przewrotu antropologicznego jest odrzucenie zastanych struktur społecznych, ze szczególnym naznaczeniem rodziny jako instytucji najbardziej „ograniczającej" i restrykcyjnej wobec dowolnego kształtowania seksualności przez skoncentrowaną na swoich doznaniach jednostkę. Takie założenia prowadzą do sformułowania tezy, według której każde prawo ograniczające możliwość doznawania przyjemności seksualnej jest bezprawiem. Stąd pojawiające się postulaty, jakoby dziecko o wystarczającej samoświadomości miało prawo do współżycia z rówieśnikami lub osobami dorosłymi, ponieważ prawna możliwość podejmowania czynności seksualnych powinna być określana indywidualnie. W konsekwencji prowadzi to do podporządkowania rozumu czy duchowości kwestii uznanej za nadrzędną – nowej istocie człowieka, a więc seksualności połączonej z czerpaniem przyjemności. Oczywistym rezultatem jest oddzielenie współżycia od prokreacji.

PEŁNOPRAWNY OBYWATEL?

Kolejne rozdziały opierają się w całości na przedstawionych wyżej założeniach. „Seksualność stanowi kluczową część bycia człowiekiem", a „wszystkie osoby rodzą się jako osoby seksualne i rozwijają swój potencjał w ten czy inny sposób". Autorzy przytaczają art. 8 deklaracji IPPF, w myśl którego to dostęp do „pojmowanej w sposób wszechstronny edukacji seksualnej oraz do informacji niezbędnych i użytecznych" umożliwia „stanie się pełnoprawnym obywatelem". Minione pokolenia, które nie doświadczyły w szkołach dobrodziejstw „edukacji seksualnej", czyli zdecydowana większość mieszkańców Polski, są zatem obywatelami „niepełnoprawnymi". Dopiero narzucenie w polskich szkołach programu zgodnego ze „Standardami..." zapewni kolejnym rocznikom ich absolwentów pożądaną „pełnoprawność".

Autorzy podkreślają, że „rodzice lub rodzina oraz inne nieformalne źródła często nie mają dostatecznej wiedzy" – zamiast jednak postulować edukowanie samych rodziców, którzy najlepiej oceniliby, na ile przekazywana im wiedza jest zgodna z ich oczekiwaniami wychowawczymi wobec własnych dzieci, należy przekazywać ją dzieciom bezpośrednio, najlepiej w ogóle pomijając rodziców z ich przestarzałymi

eprasa.pl dfe5ca67de

systemami wartości, nieuwzględniającymi naczelnego dogmatu o supremacji przyjemności seksualnej.

Oczywiście „Standardy..." nie ukształtowały się w próżni ideologicznej. Pierwsza wersja Deklaracji praw seksualnych została opracowana na potrzeby wewnętrznego forum seksuologów w czerwcu 1997 r. podczas 13. Światowego Kongresu Seksuologii w Walencji. Już ta wersja zawierała rozwiązania nieakceptowalne z punktu widzenia polskiego porządku prawnego i modelu wychowawczego – rozróżnienie pomiędzy płcią uwarunkowaną biologicznie (sex) oraz „płcią społeczno-kulturową" (gender), postulat powszechnego wprowadzenia „kompleksowej edukacji seksualnej" (comprehensive sexuality education, CSE) czy dwuznaczne sformułowania o „prawie do zakładania innych typów związków płciowych" oraz o kamuflującym aborcyjne intencje „prawie do dokonywania wolnych i odpowiedzialnych wyborów w zakresie życia reprodukcyjnego, liczby i rozmieszczenia dzieci oraz dostępu do środków regulacji płodności". Jakkolwiek fragmenty te bez wątpienia pozostają w sprzeczności z polskimi fundamentami aksjologicznymi, warto zauważyć, że całość oryginalnego dokumentu w porównaniu z jego kolejnymi wersjami była zauważalnie mniej nacechowana ideologicznie. Zawierała też jedynie 9 „praw seksualnych", podczas gdy wersja z 1999 r. zawiera ich już 11, a wersja z 2014 r. – 16. Co istotne, w wersji z 1997 r. deklaracja zawierała jeszcze w swym podsumowaniu słowo „rodzina", stanowiąc, że „ludzka płciowość jest źródłem najgłębszej więzi między ludźmi i jest niezbędna dla dobrostanu jednostek, par, rodzin i społeczeństwa". Odniesienia do rodziny nie zawierała już natomiast „poprawiona" wersja deklaracji przyjęta w 1999 r. przez Zgromadzenie Generalne Światowego Towarzystwa Seksuologicznego (WAS) podczas 14. Światowego Kongresu Seksuologii w Hongkongu. Wciąż pozostała ona jednak tylko wewnętrznym dokumentem WAS.

W 2000 r. w Gwatemali odbyły się regionalne konsultacje zorganizowane wspólnie przez WAS oraz Panamerykańską Organizację Zdrowia (PAHO). Był to pierwszy raz, kiedy WAS zostało dopuszczone do konsultacji o charakterze eksperckim. Owocem tych konsultacji była wspólna publikacja WAS i PAHO, w której obie organizacje zaproponowały nową definicję „zdrowia seksualnego", odrzucając tę przyjętą przez WHO w 1975 r. i apelując do WHO i ONZ o uchwalenie deklaracji „praw seksualnych" w skali światowej.

W wyniku tych działań w 2002 r. w Genewie odbyły się wspólne konsultacje WAS i WHO, których podsumowaniem jest raport opatrzony zastrzeżeniem, że prezentowane w nim poglądy należą do międzynarodowej grupy ekspertów i nie odzwierciedlają decyzji ani polityki WHO. Eksperci nie przyjęli Deklaracji praw seksualnych WAS, lecz jedynie definicję roboczą „praw seksualnych" innych niż w deklaracji WAS.

W marcu 2014 r. WAS opublikowało nową wersję swojej deklaracji, która zawiera już 16 „praw seksualnych". Wreszcie 15 października 2019 r. w Mexico City, podczas 24. Kongresu WAS, przyjęto zupełnie nowy dokument, w odróżnieniu od poprzednich już otwarcie ujawniający intencje twórców: Deklarację przyjemności seksualnej. Wytycza ona właściwy horyzont rewolucji seksualnej poprzez postulat umieszczenia przyjemności seksualnej w centrum wszystkich możliwych praw i polityk.

PERMISYWIZM „MATRYC" SEKSEDUKACYJNYCH

Znając przedstawione wyżej fakty i inspiracje twórców „Standardów...", znacznie łatwiej jest zrozumieć, dlaczego dzieci w wieku 0–4 lat mają odczuwać „radość i przyjemność z dotykania własnego ciała" i poznawać tajniki „masturbacji w okresie wczesnego dzieciństwa". To element wtajemniczenia w swoistą gnozę rewolucji seksualnej: „uzyskanie świadomości, tożsamości płciowej". Dzieci w wieku 4–6 lat mają się uczyć o związkach homoseksualnych i rozwijać wyłącznie postawy „nieoceniające" wobec „różnych norm związanych z seksualnością". W wieku 6–9 lat zapoznawać się powinny z „seksem w mediach (włącznie z Internetem)", „zadowoleniem i przyjemnością z dotykania własnego ciała (masturbacja/autostymulacja)" oraz dowiedzieć się, czym jest „akceptowalne współżycie/seks". W wieku 9–12 lat dochodzi do tego już otwarcie temat permisywnie rozumianej „orientacji płciowej". W tym również wieku powinny zapoznać się z omawianymi wcześniej deklaracjami „praw seksualnych" IPPF i WAS.
Nie ma przy tym znaczenia, że nie stanowią one oficjalnych wytycznych państwa polskiego.

Od dzieci przejawiających skłonności homoseksualne (podsycane na poprzednich etapach takiej „edukacji") w wieku 12–15 lat oczekiwany jest „coming out", czyli jednoznaczne określenie swojej tożsamości jako „homoseksualista". Tak „wyedukowany" młody człowiek w wieku powyżej 15 lat zgodnie z matrycą „Standardów..." powinien już przejawiać „krytyczne podejście do norm kulturowych/religijnych w odniesieniu do ciąży, rodzicielstwa itp.", znać się na przerywaniu ciąży oraz wiedzieć o tym, że jest ona możliwa „także w związkach osób tej samej płci". Seks ma być dla tak „wyedukowanej" osoby „powiązany z wymianą dóbr ekonomicznych (prostytucja, seks w zamian za prezenty, posiłki, wspólne wyjścia, niewielkie sumy pieniędzy)".

W roku wydania „Standardów..." WHO ks. Marek Dziewiecki stwierdził, że „obecnie modne jest mylenie wychowania seksualnego z tak zwaną edukacją seksualną czy z »uświadamianiem« seksualnym. Tymczasem głównym problemem nie jest to, że wychowanek zbyt mało wie o »tych sprawach«, lecz że brakuje mu jasnych zasad moralnych oraz dyscypliny, a także zdolności do odpowiedzialnej miłości, która najlepiej chroni człowieka przed krzywdami w sferze seksualnej".

„Standardy..." są właśnie przykładem takiego antywychowawczego „uświadamiania" – szokowania dziecka dewiacyjnymi szczegółami zamiast przekazywania wzorców moralnych. Ich treść na pierwszy rzut oka może wydawać się bulwersująca i chaotyczna, lecz – jak widać – spójnie i konsekwentnie wskazuje drogę do rewolucyjnej destrukcji rodziny i polskiego modelu wychowania integralnego.

Pierwsza – nieudana – próba włączenia „Standardów..." do polskiej podstawy programowej podjęta została już w 2013 r. Obecnie działania takie podejmowane są w sposób rozproszony – poprzez wspierane przez zagraniczne podmioty organizacje pozarządowe oraz samorządy chcące uchodzić za „liberalne" i „postępowe". Jeżeli polscy rodzice chcą, by ich dzieci wciąż uczyły się o pięknie rodziny i małżeństwa zamiast o uleganiu swoim popędom, o komplementarności obu płci zamiast negowania istnienia kobiecości i męskości, to powinni już teraz podejmować niezbędne działania w celu ochrony tych poświadczonych konstytucyjnie wartości przed ideologami rewolucji seksualnej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dfe5ca67de

Z ks. prof. Piotrem Roszakiem, teologiem
rozmawia Tomasz D. Kolanek

Kościół stał się przedmiotem ataków

TOMASZ D. KOLANEK: Jaka jest główna przyczyna współczesnych ruchów i działań antychrześcijańskich? Z czego zrodziła się obserwowana przez nas na wielu płaszczyznach niechęć – żeby nie powiedzieć: nienawiść – do wyznawców Chrystusa i tego, co dla nich święte?

KS. PROF. PIOTR ROSZAK: Nam, chrześcijanom, jest bardzo trudno zrozumieć, że Chrystus, który narażał się dla ludzi odrzucanych przez społeczeństwo i w gruncie rzeczy szedł tam, gdzie nikt nie szedł, nagle staje się wraz ze swoim Kościołem przedmiotem niezliczonej ilości ataków i jednocześnie synonimem wroga. Jest to bez wątpienia przejaw instrumentalnego traktowania Chrystusa i wykorzystywania Go do potrzeb ideologicznych, co było i jest obecne od co najmniej 300 ostatnich lat w kulturze europejskiej. Z jednej strony przedstawiano naszego Zbawiciela jako rewolucjonistę społecznego z karabinem, z drugiej jako bohatera różnych radykalnych zmian, a ostatnio nawet jako promotora i uczestnika tzw. parad równości z tęczową flagą w ręku. Istnieje wiele przeróżnych sposobów, jakimi wrogowie chrześcijaństwa próbują ukraść Chrystusa chrześcijanom i – jakkolwiek to zabrzmi – zdefiniować Go na nowo.

Ogromną rolę w tym procesie odgrywa ofensywa semantyczna, w której próbuje się podstawić pod to, co Kościół reprezentuje i głosi, takie treści, które byłyby do zaakceptowania przede wszystkim, a może nawet jedynie przez środowiska lewicowo-liberalne. To swoista próba „przejęcia" czy wręcz podrobienia nauki Chrystusa, na którą chrześcijanie są jednak wrażliwi i troszczą się o „oryginał" w czasach, gdy niemal wszystko się podrabia.

To właśnie jest moim zdaniem główna przyczyna niechęci, nienawiści i wrogości wobec chrześcijan. To, że Kościół zachował swoją tożsamość i głosi za Chrystusem prawdę o człowieku, która jest nie do przyjęcia w przypadku sekularnego i materialistycznego projektu dla świata i ludzkości, który od czasów oświecenia próbuje zamknąć chrześcijan w jakimś rezerwacie czy skansenie. W ostatnich latach ten proces bardzo mocno przyspieszył, co obserwujemy przede wszystkim na zachodzie Europy. „Jeśli chcecie być skansenem, to prosimy bardzo – nikt nie będzie chrześcijanom tego zabraniał" – możemy usłyszeć. Dopóki Kościół i chrześcijanie nie odzywają się z pozycji Ewangelii w sprawach, które dotyczą problemów trawiących Stary Kontynent, dopóty mogą sobie funkcjonować w swoistym podziemiu. W sytuacji, kiedy chcą odgrywać konkretną rolę społeczną, pokazywać dobro wspólne i do niego prowadzić, odsłaniać prawdę, głosić Ewangelię i wzywać do przestrzegania Dekalogu, obserwujemy rozdzieranie szat, słyszymy wielki krzyk o „neutralności światopoglądowej" oraz „rozdziale państwa i Kościoła", a także obserwujemy realizację strategii obrażania, ubliżania, poniżania. Przypomina to trochę hiszpańską korridę, w której próbuje się na siłę wymusić pewne działania, odpowiadające drugiej stronie.

Gdyby jednak miał ksiądz profesor wskazać jedną, główną, przyczynę determinującą ataki na chrześcijan, to co by nią było?

Zdecydowanie wymieniłbym zupełnie inną wizję antropologiczną Kościoła niż ta, w którą „wierzą" krytycy chrześcijan. To jest podstawa, to jest punkt odniesienia. To dzięki chrześcijańskiej wizji człowieka przez wiele lat w Europie żyło się w stanie, który znaliśmy do niedawna, czyli klasycznie pojmowanej tolerancji, wolności, dobrobytu. Można więc powiedzieć, że była to wizja sprawdzona przez wieki, wobec której formułuje się dzisiaj pewne, zupełnie niepotwierdzone i niepoparte faktami, oszczercze zarzuty, że to coś średniowiecznego z jakiegoś ciemnogrodu, co nie ma racji bytu w nowoczesnym świecie. Warto zwrócić uwagę, że nie istnieje tak naprawdę żadna sensowna i pozytywna kontrpropozycja, która byłaby atrakcyjniejsza niż to, co proponują Chrystus i Kościół, co widzimy, chociażby obserwując walkę z tzw. mową nienawiści i wprowadzaniem kolejnych, nowych form cenzury.

Bardzo często ze strony przeciwników chrześcijaństwa słyszymy hasło: „Chrystus tak, Kościół nie"...

To prawda, ale ci, którzy je głoszą, tak naprawdę nie zdają sobie sprawy, że tych bytów nie da się rozdzielić,

eprasa.pl dfe5ca67de

ponieważ Chrystus od zawsze jest ze swoim Kościołem, co dobitnie widać chociażby na przykładzie św. Pawła, który zanim się nawrócił, nie prześladował Chrystusa, tylko jego wyznawców. Mimo to Syn Człowieczy zapytał go: „Szawle, Szawle, dlaczego Mnie prześladujesz?".

Kościół i Chrystus to jedno mistyczne ciało. To dzięki Kościołowi Chrystus i jego nauka są przekazywane kolejnym pokoleniom, ale nie jako coś z przeszłości, lecz żywe. Chrystus żyje bowiem w swoim Kościele. Tam Go można spotkać.

Wywołane przez pana hasło z całą pewnością wpisuje się w strategię, o której mówimy, że to atakowanie chrześcijan poprzez próbę oddzielenia Syna Bożego od Kościoła i uczynienia z Kościoła jakiejś organizacji na wzór tzw. NGO. To jest przejaw stygmatyzowania Kościoła po to, aby odrzeć go z jego prawdziwej misji i prawdy, którą głosi. Skoro nie da się tego zrobić wprost poprzez argumenty, to chwyta się wszystkich możliwych środków, żeby podważyć rolę Kościoła we współczesnym świecie i go wyeliminować, w efekcie czego obserwujemy kolejne coraz bardziej skandaliczne ataki.

Bez wątpienia mamy do czynienia w Europie ze stanem rzeczy, w którym dyskryminowanie chrześcijan i podważanie ich roli, traktowanie jako obywateli piątej, szóstej kategorii staje się swoistym standardem, z czego wielu z nas w dalszym ciągu nie zdaje sobie sprawy.

Przykro mi to mówić, ale jestem przekonany, że gdyby dzisiaj w Polsce zrobiono sondaż, w którym ankietowani byliby zapytani: „Kto obecnie jest w III RP najbardziej prześladowaną i dyskryminowaną grupą?", większość odpowiedziałaby, że to Kościół prześladuje tzw. osoby LGBT. Skoro fakty są zupełnie inne, skoro to 260 mln chrześcijan na świecie doświadcza codziennie cierpienia tylko dlatego, że wierzy w Chrystusa Króla, to dlaczego większość nie zdaje sobie z tego sprawy i uważa, że jest zupełnie odwrotnie?

To jest właśnie w tym wszystkim najsmutniejsze. W ostatnich latach stale musimy powtarzać, że Kościół katolicki nikim nie gardzi ani nikogo nie prześladuje. Celem Kościoła jest zmienianie świata w oparciu o naukę Chrystusa i wzywanie do nawrócenia (samego siebie i świata), a nie dyskryminowanie grzeszników.

Problem, który pan poruszył, jest dużo szerszy. Gdybyśmy spojrzeli na to wszystko jak na szale na wadze, to moglibyśmy powiedzieć, że liberalna lewica próbuje na wszystkie możliwe, legalne i nielegalne, sposoby poprzestawać na niej odważniki poprzez kłamstwa i manipulacje, żeby został wskazany wynik mówiący, że to Kościół jest głównym prześladowcą m.in. tzw. osób LGBT, co nie ma nic wspólnego z rzeczywistością.

Lansowany przez wrogów Kościoła obraz Owczarni Chrystusa jest całkowicie niezgodny z rzeczywistością, z prawdą, z nauką, tradycją i historią. Wszystkie kłamstwa na temat Kościoła i chrześcijan mają na celu wywołanie odpowiednich, negatywnych emocji, których celem jest zohydzenie Kościoła, i dlatego przypisuje się mu twierdzenia, działania, a nawet zbrodnie, których nigdy nie było.

W pewnym sensie przypomina mi to czas pierwszych wieków chrześcijaństwa, kiedy główny atak sił pogańskich był zupełnie irracjonalny i nie miał nic wspólnego z istotą doktryny. Chrześcijanom zarzucano wszystko, włącznie z kanibalizmem (skoro „spożywają Ciało Chrystusa"), podczas gdy ich standard moralny był zdecydowanie wyższy niż całego antycznego świata. Dzisiaj mamy podobną sytuację. Kościół i chrześcijanie są przedstawiani w krzywym zwierciadle.

FOT. ADOBE STOCK

I to jest właśnie chyba w tym wszystkim najbardziej zadziwiające. Papież Franciszek niejednokrotnie podkreślał, że tzw. osobom LGBT należą się maksymalne wsparcie, pomoc, modlitwa ze strony Kościoła i wiernych, aby pomóc im osiągnąć zbawienie. Te słowa zamiast zostać odebrane z uznaniem i wdzięcznością, zostały zinterpretowane jako kolejny przejaw rzekomej nienawiści Kościoła do tzw. osób LGBT.

Dotknął pan wyjątkowego paradoksu. Każda odpowiedź Kościoła, która odkleja się od tego, co głoszą środowiska, o których rozmawiamy, wzbudza jakieś alergiczne, coraz bardziej nieracjonalne ataki. Naprawdę nie wiem, skąd to zacietrzewienie, skąd ta nienawistna nieufność. Przecież Kościół nie głosi niczego nowego, lecz jedynie od wieków przypomina Ewangelie i naukę Chrystusa: „Kochaj bliźniego swego jak siebie samego", pamiętając przy tym, że należy upomnieć z miłością tego, kto grzeszy, bo chodzi o jego dobro. Tylko tyle i aż tyle.

Jedno jest pewne: stawianie tego typu zarzutów jest druzgocące dla tych wszystkich, którzy je formułują, obnaża ich prawdziwe intencje i pokazuje, że tu nie chodzi o dialog czy przekonanie do swoich racji, tylko o agresywne narzucenie drugiej stronie pewnej logiki myślenia, która jest tak naprawdę narzucaniem nowego spojrzenia na człowieka, jakim jest ideologia LGBT czy szerzej – ideologia gender.

Czyli, księże profesorze, my, chrześcijanie, wyciągamy rękę, chcemy pomóc, a druga strona albo tę rękę odtrąca, albo chce ją pożreć razem z całą resztą ciała?

Wyciągnięta ręka ze strony chrześcijan była, jest i zawsze będzie. To chrze-

eprasa.pl dfe5ca67de

ścijanie jak mało kto wiedzą, że zło trzeba zwyciężać dobrem, czego uczy nas Ewangelia i co głosił bł. ks. Jerzy Popiełuszko.

Trzeba ciągle rozrywać tę spiralę zła, która kręci się wokół człowieka i go zniewala. Taka musi być nasza odpowiedź na zło, ale z zastrzeżeniem, że musimy w tym wszystkim zachować pewną roztropność. Mam tu na myśli patrzenie dalej niż tu, teraz i na czubek własnego nosa. Musimy dostrzegać pewne procesy, które dotykają chrześcijan na całym świecie. Są miejsca, są kraje, gdzie chrześcijanie są zabijani, tak jak w Burkina Faso czy ostatnio w Nikaragui. W zdecydowanej jednak większości świata przyjęto strategię swetra, a konkretnie wyciągania z niego poszczególnych nici i powolnego, ale systematycznego rozpruwania. Chodzi o to, aby nikt nie zdał sobie z tego sprawy.

Dlatego naszym obowiązkiem jest podnoszenie alarmu i wołanie, że to, co się dzieje, nie jest jakimś punktowym, jednorazowym, nic nieznaczącym działaniem wobec chrześcijan czy jednej z prawd naszej wiary. Musimy więc podnosić larum, ponieważ żyjemy w czasie wielkiego testu sprawdzającego jakość naszej cywilizacji.

Papieża Benedykta XVI przedstawiano jako wroga numer jeden wszelkiego „postępu", a zwłaszcza „postępu seksualnego i płciowego", czyli genderyzmu. Z kolei papież Franciszek jest lansowany na największego w świecie przyjaciela tzw. osób LGBT. Czy można w związku z tym powiedzieć, że tzw. środowiska LGBT przygotowały jakąś specjalną rolę dla Ojca Świętego w trwającej wojnie cywilizacji i będą chciały wykorzystać jego autorytet?

To również część większej strategii instrumentalnego, wybiórczego traktowania katolików, w tym przypadku Ojca Świętego, aby pokazać, że niektórzy wyznawcy Chrystusa źle pojmują swoją wiarę. Liberalna lewica myśli bowiem o Kościele w sposób czysto naturalistyczny, mianowicie: nie widzi Kościoła w całej jego pełni, tylko traktuje jak jakąś partię polityczną, która z dnia na dzień może zmienić swój program wyborczy o 180 stopni.

Kościół nie jest jednak żadną partią! Kościół jest wspólnotą, która ma ściśle określony od 2 tys. lat cel, jakim jest głoszenie Chrystusa Ukrzyżowanego, który jest zgorszeniem dla Żydów i głupstwem dla pogan (także tych z XXI w.). Zadaniem Kościoła jest walka o ludzkie dusze, aby te trafiły do nieba i by rosło Królestwo Boże pośród nas, królestwo sprawiedliwości, wolności i prawdy.

Właśnie to tak bardzo boli przeciwników Kościoła, że jest taka sfera, której oni nie są w stanie zdominować. Stąd tak wiele scenariuszy starć ideologicznych, które obserwujemy. Raz papież jest atakowany, raz instrumentalnie wykorzystywany. Nie może nas to zrażać, nie może nas to paraliżować. Musimy być otwarci na wszystkich ludzi określających się jako LGBT, którzy błądzą. To nasze wielkie wyzwanie. Musimy pokazać, że to Kościół jest punktem odniesienia dla kogoś, kto dryfuje na morzu pragnienia szczęścia i często płynie na skróty. Kościół, trwając przy Chrystusie i Ewangelii, odrzuca grzech i pokazuje bezpośredni kierunek na „sensowne życie", które trwa na wieki.

Musimy być mężni! Musimy być pełni wiary, nadziei, miłości i odwagi! Nie możemy być bierni! Nie możemy twierdzić, że problemy same się rozwiążą i że jakoś to będzie.

Jak to jednak przetrwać, kiedy przeżywamy tak potworny kryzys męskości?

Potrzebujemy do tego prawdziwej odwagi. Odważnym nie jest ten – jak się to nam próbuje wmówić – kto biega nagi po ulicach i żąda afirmacji. Odważnym nie jest również ten, kto profanuje, bluźni, pali krzyże czy zakłada na twarz Chrystusa dźwigającego krzyż maskę z anarchistycznymi symbolami. To nie jest odwaga. Wywołany przeze mnie bł. ks. Jerzy Popiełuszko mówił, że przemoc nie jest oznaką siły, lecz słabości.

Prawdziwa odwaga to stawanie po stronie dobra i obrona tego dobra nawet za cenę nieprzyjemności, bólu i cierpienia, jaka się z tym wiąże. To jest właśnie ideał odwagi! O tym musimy mówić, tak musimy postępować! Tak rozumiana odwaga to dziedzictwo chrześcijaństwa, dzięki któremu nasza cywilizacja przez wieki wypracowała opiekę nad najsłabszymi i pogardzanymi, której nie znały inne kultury ekscytujące się siłą zamiast dobrem i miłością.

Musimy wiedzieć, że bronimy naszej wiary w Boga w Trójcy Jedynego i podstaw naszej cywilizacji! W związku z tym nie możemy się bać. Musimy być odważni i stanąć po stronie prawdy! Idźmy za Chrystusem, który mówi do nas: „To wam powiedziałem, abyście pokój we Mnie mieli. Na świecie doznacie ucisku, ale miejcie odwagę: Jam zwyciężył świat".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Tomasz D. Kolanek – dziennikarz i publicysta portalu PCh24.pl.

ks. prof. Piotr Roszak
– polski kapłan, teolog, doktor habilitowany nauk teologicznych, nauczyciel akademicki Uniwersytetu Mikołaja Kopernika (UMK) w Toruniu oraz Uniwersytetu Nawarry w Pampelunie (UNAV).

eprasa.pl dfe5ca67de

FOT. ADOBE STOCK

Krystian Kratiuk

Co się stało z apelem abp. Viganò?

Były nuncjusz apostolski w USA dwa lata temu ujawnił działanie kościelnego homolobby. Co Watykan zrobił z jego doniesieniami?

W uroczystość Najświętszej Maryi Panny Królowej w roku 2018 Kościołem wstrząsnął list otwarty abp. Carlo Marii Viganò. Hierarcha ujawnił w swym świadectwie skalę zaniechań Watykanu względem duchownych dopuszczających się nadużyć seksualnych oraz potwierdził snute od lat domysły o istnieniu homolobby w samej Stolicy Apostolskiej. Od tego czasu w sprawie homoseksualizmu wśród księży nie zrobiono w Watykanie absolutnie nic.

Dlaczego? Otóż czynniki decyzyjne w Watykanie najpewniej stwierdziły, że kryzys moralny w Kościele rzeczywiście trwa, ale jest to wyłącznie kryzys dotyczący wykorzystywania nieletnich. Problem mężczyzn w sutannach obcujących z innymi mężczyznami na razie zwyczajnie się pomija.

„NURT HOMOSEKSUALNY"

Wedle relacji abp. Viganò – długoletniego watykańskiego dyplomaty, a w trakcie pontyfikatu Benedykta XVI jednej z najważniejszych osób w tamtejszej administracji – papież Franciszek i jego otoczenie mieli wiedzieć o homoseksualnych i pedofilskich skłonnościach amerykańskiego kard. Theodore'a McCarricka. To były już duchowny, po śledztwie amerykańskich organów ścigania nazywany przez niektóre media „homoseksualnym predatorem". Jako ordynariusz dwóch diecezji miał on również tuszować wiele spraw dotyczących molestowania seksualnego, jak wykazał raport śledczych z Pensylwanii w mniejszości (ok. 20 przypadków) dotyczących dziewcząt i kobiet, w przeważającej większości zaś mężczyzn i chłopców.

Według abp. Viganò papież otrzymał szeroki raport o przewinieniach McCarricka tuż po rozpoczęciu pontyfikatu, ale nie zrobił z tą wiedzą nic aż do czasu nagłośnienia wyników pracy śledczych. Warto podkreślić, że McCarrick – jak ujawnili dziennikarze – mimo iż był już na emeryturze, miał pełnić nawet pewne mniej i bardziej oficjalne funkcje w polityce międzynarodowej Watykanu Franciszka, w tym uczestniczyć w negocjowaniu niezwykle ważnej umowy Stolicy Apostolskiej z Chinami.

To jednak nie wszystko, co ujawnił były nuncjusz w Stanach Zjednoczonych. Z jego świadectwa (w całości po polsku do przeczytania na PCh24.pl) wynikało bowiem, że w Watykanie działają przedstawiciele – jak sam to określił – „nurtu homoseksualnego" i piastują bardzo wysokie stanowiska.

„Jeśli chodzi o Kurię Rzymską, to w tej chwili poprzestanę na tym, nawet jeśli imiona innych prałatów w Watykanie są dobrze znane, nawet kilku bardzo bliskich papieża Franciszka, takich jak kard.Francesco Coccopalmerio i abp Vincenzo Paglia, którzy należą do nurtu homoseksualnego dążącego do obalenia katolickiej nauki o homoseksualizmie, nurtu już krytykowanego ostro w roku 1986 przez kard. Josepha Ratzingera, wówczas prefekta Kongregacji Nauki Wiary, w Liście do biskupów Kościoła

eprasa.pl dfe5ca67de

katolickiego na temat duszpasterstwa osób homoseksualnych. Kardynałowie Edwin Frederick O'Brien i Renato Raffaele Martino także należą do tego samego nurtu, chociaż wyznają inną ideologię. Inni należący do tego nurtu nawet mieszkają w Domus Sanctae Marthae [miejsce zamieszkiwania również samego papież Franciszka – przyp. red.]" – pisał w swym świadectwie.

Wymienił więc konkretne nazwiska i arcybiskup bezpośrednio wskazał na uczestnictwo duchownych w homolobby, padły również konkretne oskarżenia innych duchownych (rzymskich i amerykańskich), którzy mieli zatajać swą wiedzę o nadużyciach McCarricka. Arcybiskup Viganò zaapelował do wszystkich osób, które wiedziały o skandalicznych zachowaniach McCarricka, o podanie się do dymisji. Z papieżem na czele.

REAKCJE I... MEDIALNY SZANTAŻ

Te rewelacje zostały ogłoszone podczas papieskiej pielgrzymki do Irlandii. Autor listu otwartego dokładnie zaplanował datę publikacji – chciał, by papież spotkał się (jak to ma w zwyczaju) z dziennikarzami podczas lotu powrotnego do Rzymu. Dziennikarze zapytali Ojca Świętego o tę sprawę, Franciszek zaś odmówił komentarza, mówiąc tylko: „Przeczytajcie uważnie i dokonajcie własnego osądu. Nie powiem o tym ani słowa. Wierzę, że dokument mówi sam za siebie. Macie wystarczająco dużo umiejętności dziennikarskich, by wyciągać wnioski".

Na abp. Viganò wylała się w mediach katolickich fala krytyki, mało było jednak polemik ze stanem faktycznym. Ambicje takie mieli m.in. autorzy książki „Dzień sądu" Gianni Valente i Andrea Tornielli, którzy wzięli w obronę papieża Franciszka i odrzucili oskarżenia pod jego adresem, wskazując na pewne nieznaczne niekonsekwencje w świadectwie abp. Viganò, ostro go przy tym atakując. Drugi z wymienionych autorów został kilka tygodni po wydaniu książki dyrektorem wydawniczym Dykasterii ds. Komunikacji Stolicy Apostolskiej. Wcześniej takiego stanowiska w tej młodej instytucji nie było.

Argumenty przeciwników abp. Viganò sprowadzały się do wyciągania kwestii z jego życia prywatnego (np. nierozstrzygniętego sporu o majątek z bratem) oraz do sugerowania, że sam jest równie winien co inni, gdyż jako nuncjusz spotykał się z McCarrickiem i traktował go „serdecznie". Pojawiła się jednak także inna linia obrony papieża. Wielu dziennikarzy zaczęło sugerować, że skoro Franciszek o tej sprawie i wielu innych wiedział, z pewnością wiedział też… Jan Paweł II. W taki oto absurdalny sposób konserwatyści i progresiści zaczęli przerzucać się odpowiedzialnością za skandal – wyglądało to jednak na szantaż, zorganizowany na zasadzie: nie uderzajcie w „naszego" Bergoglia, bo będziemy bić w „waszego" Wojtyłę!

STRACONA SZANSA

Sprawa abp. Viganò dobrze obrazuje sposób, w jaki w pewnych kręgach Kościoła jest dziś traktowana kwestia homoseksualizmu. Otóż on nie istnieje. Nie ma takiego problemu. Problemem jest wyłącznie molestowanie seksualne nieletnich, a to, że wśród ofiar molestowania miażdżącą przewagę stanowią chłopcy, nikomu nie daje do myślenia. Co więcej, samo sugerowanie, że skłonności homoseksualne ludzi dopuszczonych do święceń mogą zwiększać ryzyko dopuszczenia się przez nich nadużyć, jest przez wielu biskupów z Watykanu karcone z gorliwością godną największych siepaczy światowej politpoprawności i tęczowej rewolucji.

Ponad pół roku po opublikowaniu świadectwa abp. Viganò odbyło się w Watykanie szeroko nagłośnione spotkanie przedstawicieli wszystkich krajowych konferencji episkopatów. Zapowiadało się ono początkowo jako spotkanie dotyczące walki z nadużyciami seksualnymi wśród kleru. Potem jednak okazało się, że agenda została napisana tak, aby zająć się wyłącznie nadużyciami wobec nieletnich – z programu szczytu zniknęły punkty mówiące o nadużyciach seksualnych względem „bezbronnych dorosłych".

Nie trzeba oczywiście dodawać, że na upublicznionym przez abp. Viganò wątku „nurtu homoseksualnego" w Watykanie nie skupili się nie tylko biskupi, lecz także media ateistyczne, główne media katolickie. Przekaz, który trafiał więc do opinii publicznej, był jednoznaczny – po opublikowaniu świadectwa abp. Viganò okrzyknięto go kłamcą, schizmatykiem i osobistym wrogiem papieża, a po watykańskim szczycie ds. nadużyć seksualnych w świat poszedł sygnał, że księża molestują dzieci, ale z pewnością nie ma to żadnego związku z homoseksualnymi skłonnościami większości ze sprawców tych odrażających czynów.

Chociaż abp Viganò podszedł do sprawy poważnie, to wydaje się, że zaczął on jakiś czas temu rozmieniać swój dorobek antyhomoseksualnego dysydenta na drobne. Hierarcha wciąż pozostaje w ukryciu (sugerował wszak, że homolobby może nawet pozbawić go życia), jednak co jakiś czas publikuje kolejne listy otwarte. A one sprawiają, że były nuncjusz może stać się w opinii katolickiej kimś na kształt krytyka dla samej krytyki. Tym bardziej że już w pierwszym liście, zamiast poprzestać na temacie drążącego Kościół homolobby, apelował o dymisję Ojca Świętego, czego nie sposób pogodzić z właściwym i uświęconym posłuszeństwem wobec Rzymu.

O ile bowiem pierwsze jego wystąpienie dotyczyło „nurtu homoseksualnego", a kilka kolejnych oświadczeń miało pogłębić wiedzę opinii publicznej o tej sprawie, o tyle potem arcybiskup z ukrycia zaczął pisać na zupełnie inne tematy. Jakiś czas temu skrytykował Sobór Watykański II, nawołując nawet do uznania go za niebyły. Wcześniej napisał list do Donalda Trumpa, w którym przeciwstawiał się negatywnej opinii progresywnych amerykańskich biskupów o aktualnym prezydencie, jeszcze wcześniej zaś pisał na temat wątpliwości co do pandemii koronawirusa, tuż po tym, jak przedstawił surową krytykę synodu amazońskiego.

W większości swoich wywodów hierarcha miał rację, ale wyobraźmy sobie sytuację, w której ów ukrywający się przed homolobby arcybiskup (tak, tak, w takich czasach żyjemy!) pisze wyłącznie o homoseksualnej infiltracji Kościoła. Nawołuje do oczyszczenia, grzmi o prawdziwych powodach kryzysu związanego z nadużyciami seksualnymi itp. O ile bardziej przysłużyłby się Kościołowi? Jak wyglądałaby dziś debata nad homoseksualizmem w Kościele?

Może arcybiskup uznał, że powinien wypowiadać się znacznie szerzej. Wszak na temat homoseksualnego zgorszenia wśród kleru wypowiedział się już nawet papież emeryt Benedykt XVI, a jego wypowiedź przez większą część światowej opinii publicznej (katolickiej i nie tylko) została nie tyle zignorowana, ile wręcz wyśmiana, sam były papież został zaś uznany za zbyt starego, by wypowiadać się na tak poważne tematy jak upadek moralności wśród części kleru?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym PCh24.pl.

eprasa.pl dfe5ca67de

Grzegorz Kucharczyk

Pederastia i tzw. homoseksualny styl życia miały być rewolucyjnym taranem, przygotowującym grunt pod nowe Niemcy

Letni obóz chłopców z Hitlerjugend, 1936 r. FOT. CENTRUM DOKUMENTACJI NAZIZMU W KOLONII

Totalitaryzm ideologii LGBT

Amerykański publicysta i pisarz neokonserwatywny Jonah Goldberg w swojej bestsellerowej książce o „liberalnym faszyzmie" zauważył, że „nazizm podkreślał wiele kwestii charakterystycznych dla późniejszych odmian Nowych Lewic: prymat rasy, odrzucenie racjonalizmu, położenie nacisku na to, co organiczne i holistyczne – wliczając w to ochronę środowiska, zdrową żywność i ćwiczenia fizyczne – a przede wszystkim potrzebę »przekroczenia« pojęcia klasy [społecznej]".

To są tylko symptomy czegoś znacznie głębszego. Niemiecki narodowy socjalizm należy bowiem traktować jako konglomerat wszystkich tych prądów ideowych, które już dawno były obecne w niemieckiej kulturze (także kulturze politycznej), a których wspólnym mianownikiem było odrzucenie chrześcijaństwa. Chodzi tutaj nie tylko o kwestię stricte religijną (chociaż, gdy chodzi o konsekwencje, najważniejszą), lecz także o chrześcijańską wizję człowieka, kultury i społeczeństwa.

Taki charakter miały: biologiczny rasizm (uważany, podobnie jak komunizm, za osiągnięcie „naukowe"), eugenika, promocja fizycznej tężyzny czy nowoczesności (radio, autostrady) jako alternatywy dla „starego, zmurszałego świata". Podobne konotacje miał kult witalności i młodzieży, od początku obecny w ruchu narodowo-socjalistycznym. Analogicznie do innych elementów składowych tej ideologii nie był on wymyślony przez Hitlera, Rosenberga et consortes, ale został przejęty przez NSDAP z „zasobów kulturowych" obecnych w Rzeszy Niemieckiej na długo przed wybuchem pierwszej wojny światowej.

Na przełomie wieków XIX i XX w prasie i literaturze francuskiej coraz częściej pojawiało się określenie „niemiecki grzech". Nie chodziło tutaj bynajmniej o pruski militaryzm lub rozbuchany etatyzm państwa Hohenzollernów. Pod tym pojęciem kryły się homoseksualizm i cała homoseksualna kultura. W tym samym czasie Berlin, zyskujący pod względem dynamicznego wzrostu ludności, urbanistycznego rozmachu oraz industrializacji rangę światowej metropolii (Weltmetropole), stawał się stolicą europejskiego – a zważywszy na znaczenie Europy w tamtej epoce także światowego – homoseksualizmu.

W 1906 r. Rzeszą Niemiecką wstrząsnął skandal w związku z ujawnieniem w prasie homoseksualnej siatki w najbliższym otoczeniu cesarza Wilhelma II. Jej najważniejszą postacią był najbliższy od 1890 r. doradca Hohenzollerna hrabia Philipp zu Eulenburg. Po „aferze Eulenburga" nie tylko nad Sekwaną zaczęto pisać o „niemieckim grzechu", mając na myśli pederastię.

WĘDROWNY „KLUB PEDERASTÓW"

Ekspansja homoseksualizmu nie była w Niemczech na początku XX w. zjawiskiem ograniczonym li tylko do wąskich kręgów arystokratycznej socjety. Fenomen ten był charakterystyczny również dla dynamicznie rozwijającego się wówczas „ruchu młodzieżowego" (Jugendbewegung). Jego najbardziej znaną formą były Wędrowne Ptaki (Wandervogel), uznawane przez niektórych historyków za archetyp kolejnych młodzieżowych „ruchów protestu" w XX-wiecznych Niemczech (Ch. Fuller).

Jego nazwa pochodzi od pierwotnej formy aktywności uczestników tej młodzieżowej inicjatywy. Na początku XX w. całą Rzeszę Niemiecką przemierzały gromady studentów i gimnazjalistów, chcących w ten sposób z jednej strony zamanifestować swój zachwyt nad „niemiecką przyrodą", ale z drugiej odciąć się od świata „burżuazyjnych wartości". W tym przypadku nie chodziło li tylko o zerwanie z mieszczańską mental-

eprasa.pl dfe5ca67de

nością „szkiełka i oka" ani odejście od zgiełku cywilizacji przemysłowej, ale – z biegiem czasu coraz bardziej – o odejście od norm chrześcijańskiej (katolickiej zwłaszcza) moralności.

Manifestacją tej postawy był szerzący się wśród Wędrownych Ptaków homoseksualizm. Zjawisko było na tyle powszechne, że inną, najbardziej popularną nazwą tego ruchu w Niemczech na krótko przed wybuchem pierwszej wojny światowej był Klub Pederastów (Paderastenclub). To było pokłosie szeroko opisywanych w prasie niemieckich skandali pedofilskich na tle homoseksualnym, które co rusz wybuchały w kolejnych grupach Wędrownych Ptaków.

Credo pierwszego XX-wiecznego niemieckiego ruchu młodzieżowego spisał w 1912 r. Hans Blüher w swojej trzytomowej książce „Niemiecki ruch Wędrownych Ptaków jako erotyczny fenomen". Autor (rocznik 1888), zdeklarowany homoseksualista, podkreślał w swoim dziele, że istotą Wandervogel jest „hierarchia milusińskich" (Hierarchie der Lieblinge). Chodzi o to – pisał Blüher – by „młodzież zawierzyła swoje serce dorosłym mężczyznom". Nie tylko zresztą serce, skoro – jak pisał ten sam autor – ruch Wędrownych Ptaków powinien „dać ujście seksualnej namiętności dwunasto- czy piętnastolatków".

Tezy te Blüher rozwijał w swoim kolejnym dziele pt. „Rola erotyki w męskim społeczeństwie". Na kartach dwóch tomów rozwinął on, na długo przed Wilhelmem Reichem, teorię „politycznego erosa"; w tym przypadku o jawnie homoseksualnym (i pedofilskim) odcieniu. W największym skrócie teoria ta głosiła, że męsko-męskie „związki erotyczne" powinny być podstawą wytworzenia niemieckiej wspólnoty narodowej na nowych (czytaj: antychrześcijańskich) podstawach.

Nieprzypadkowo tezy Blühera zostały zauważone i były życzliwie komentowane jeszcze przed wielką wojną przez takich teoretyków i praktyków rewolucji seksualnej jak Zygmunt Freud czy Magnus Hirschfeld (przywódca zorganizowanego niemieckiego ruchu homoseksualnego).

W SŁUŻBIE REWOLUCJI

Jeszcze przed 1933 r. niemiecki „ruch młodzieżowy" afiliował się przy kolejnej emanacji ruchu protestu wobec świata „zgniłych wartości", jakim było NSDAP. Do narodowego socjalizmu przystał również autor koncepcji „politycznego erosa" i radykalny antysemita Hans Blüher.

Monachium – miasto związane z początkami ruchu nazistowskiego – podobnie jak Berlin było skupiskiem artystycznej bohemy i podobnie jak stolica nad Sprewą miało dosyć rozbudowaną homoseksualną scenę. Pierwsi naziści gromadzili się w monachijskich piwiarniach, wśród których był lokal Bratwurst Glöckl znany z tego, że spotykali się tam miejscowi pederaści.

Jednym z nich był kpt. Ernst Röhm, który wstąpił do Narodowosocjalistycznej Partii Robotników Niemiec jeszcze przed Adolfem Hitlerem. Rohm w 1921 r. objął dowództwo Oddziałów Szturmowych (SA) – zbrojnego ramienia nazistowskiego ruchu. Stał na ich czele do 1934 r., gdy w ramach wewnątrzpartyjnej dintojry (noc długich noży z 30 czerwca 1934 r.) został na rozkaz Hitlera zgładzony wraz z całą skupioną wokół niego homoseksualną siatką.

Jak pisze jeden z historyków zajmujących się dziejami III Rzeszy: „Röhm zaprojektował taki porządek społeczny, w którym homoseksualizm byłby uważany za wzór ludzkich zachowań i cieszyłby się dobrą reputacją" (L. Snyder). Jednak nie tylko o to chodziło. Pederastia i tzw. homoseksualny styl życia miały być rewolucyjnym taranem, przygotowującym grunt pod nowe Niemcy.

Niektórzy biografowie Hitlera sugerują, że zorganizowana przez niego noc długich noży, której ofiarą padł m.in. Röhm, nie tyle była wyrazem „homofobii" Führera, ile raczej chęcią zapobieżenia wyjściu na jaw jego intymnych sekretów, być może związanych z homoseksualną przeszłością przyszłego „wodza Tysiącletniej Rzeszy Niemieckiej". Pojawiały się w tym kontekście plotki o zarabianiu przez młodego Hitlera na życie w czasie jego wiedeńskich lat (1907–1912) jako męskiej prostytutki. Tej kwestii nie sposób definitywnie rozstrzygnąć na podstawie dostępnych obecnie materiałów źródłowych.

OFIARY I KACI

Po 1933 r. Hitler prowadził politykę wymierzoną w zorganizowany homoseksualizm w Niemczech (znowu pojawia się pytanie, czy chodziło o zacieranie genezy NSDAP). Na mocy istniejącego w niemieckim kodeksie karnym (na długo przed Hitlerem) paragrafu 175 penalizującego czyny homoseksualne do obozów koncentracyjnych trafiło kilkanaście tysięcy pederastów. Ocenia się, że niemal połowa z nich zginęła.

Należy zauważyć, że likwidacja frakcji Röhma nie oznaczała całkowitej anihilacji homoseksualnego środowiska w ruchu nazistowskim. Bardzo wymowne było to, że młodzieżówka Hitlerjugend potocznie nazywana była również Homojugend. W niemieckiej prasie katolickiej, dopóki do 1937 r. mogła jeszcze ukazywać się na terenie Rzeszy, przestrzegano katolickich rodziców przed wysyłaniem tam swoich dzieci, wskazując zarówno na antykatolicką ideologię, jak i szerzący się homoseksualizm i pedofilię w szeregach „nowej, niemieckiej młodzieży".

Homoseksualiści w niemieckich obozach koncentracyjnych to nie tylko ofiary. Byli wśród nich również okrutni kapo oraz członkowie kadry zarządzającej fabrykami śmierci. Jednym z nich był zatrudniony w Treblince Max Bielan, który „miał harem złożony z małych żydowskich chłopców. Lubił, by byli młodzi, nie starsi niż siedemnaście lat" (J.F. Steiner). Z kolei Elie Wiesel wspominał jednego z komendantów baraków w Auschwitz o „twarzy mordercy", który „podobnie jak komendant obozu lubił dzieci. […] Jak się później okazało, nie robił tego bezinteresownie: wśród tutejszych [w Auschwitz] homoseksualistów kwitł handel dziećmi".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dfe5ca67de

Olivier Bault

Lokalni politycy naciskani przez mieszkańców mają już dość przyjmowania nielegalnych imigrantów. Włoski rząd przeciwnie – wciąż luzuje bariery. A z przepełnionych ośrodków uciekają nosiciele COVID-19

Migranci w porcie na włoskiej wyspie Lampedusa, 30 lipca 2020 r.

FOT. ALBERTO PIZZOLI/AFP/EAST NEWS

Sycylia ma dość

Gubernator Sycylii Nello Musumeci w sprawie imigrantów mówi wprost o „inwazji", na którą jego wyspa nie może się zgodzić. Polecił podlegającym mu jednostkom do północy 24 sierpnia przetransportować poza Sycylię wszystkich pensjonariuszy ośrodków dla nielegalnych imigrantów. Do 10 września miał obowiązywać całkowity zakaz wstępu, tranzytu i pobytu na terytorium Sycylii dla „każdego imigranta, który dostałby się do wybrzeża Sycylii na pokładzie dużych czy małych łodzi, łącznie ze statkami NGO". A włoski region Sycylii obejmuje także położoną między Tunezją a Maltą wyspę Lampedusę, gdzie dociera najwięcej nielegalnych imigrantów.

W Rzymie rząd Giuseppe Contego natychmiast przypomniał, że kwestie imigracyjne leżą w jego kompetencjach. Musumeci odpowiedział, że kwestie sanitarne leżą także w kompetencjach regionów, a swoją decyzję motywuje właśnie pandemią COVID-19 i brakiem możliwości przestrzegania rygorów sanitarnych w przepełnionych ośrodkach dla imigrantów.

Minister spraw wewnętrznych Luciana Lamorgese zaskarżyła zarządzenie gubernatora do regionalnego sądu administracyjnego, który owo zarządzenie zawiesił już po trzech dniach. Zdaniem sądu, nie został udowodniony związek między nielegalną imigracją a rozprzestrzenianiem się COVID-19 wśród Włochów. Decyzja sądu nie zakończyła jednak sporu politycznego, w którym prawica, od centroprawicowej partii Forza Italia Silvia Berlusconiego do narodowej Fratelli d'Italia Giorgii Meloni poprzez Ligę Mattea Salviniego stoi murem za Musumecim. Nie rozwiązała też ona problemu przepełnienia ośrodków z powodu lawinowego wzrostu nielegalnej imi-

eprasa.pl dfe5ca67de

gracji w ostatnich miesiącach ani problemu imigrantów zakażonych koronawirusem, uciekających z tychże ośrodków.

SPRZECIW NIE TYLKO PRAWICY

Musumeci to człowiek prawicy. Wygrał wybory na gubernatora w 2017 r. z poparciem Fratelli d'Italia (Bracia Włoscy) i ówczesnej przybudówki partii Salviniego na południu Włoch – Noi con Salvini (My z Salvinim). Jednak nie tylko prawicowi samorządowcy mają zastrzeżenia do napływu nielegalnych imigrantów w dobie pandemii. Kilka dni przed dekretem gubernatora burmistrz sycylijskiego miasta portowego Trapani nie chciał się zgodzić na wysadzenie na ląd ok. 700 imigrantów ze statku przypływającego z Lampedusy. Podobnie jak Lampedusa Trapani żyje z turystyki, a dodatkowo miejscowość ta reklamowała się jako „COVID-free". Burmistrz Giacomo Tranchida należy do Partii Demokratycznej (PD), która rządzi obecnie w Rzymie w koalicji z Ruchem 5 Gwiazd (M5S). Mimo swojej politycznej proweniencji stawiał opór przed przybiciem do brzegu „kolejnego statku przeznaczonego do kwarantanny w porcie Trapani", nie wiedząc, „dokąd rząd zamierza przetransferować imigrantów z ujemnym testem na koronawirusa".

Na samej Lampedusie, gdy pod koniec czerwca zorganizowane zostało lokalne referendum w sprawie zamknięcia ośrodka dla imigrantów, 988 obywateli zagłosowało „za", a tylko czterech przeciw temu projektowi (wyspę zamieszkuje ok. 5,9 tys. osób).

Sytuację zaogniło to, że wielokrotnie dochodziło do ucieczek imigrantów z zamkniętych ośrodków, w których poddawani byli oni kwarantannie, a w niektórych przypadkach okazało się, że uciekinierzy byli nosicielami koronawirusa SARS-CoV-2. Pod koniec lipca, po masowych ucieczkach z ośrodków, poszukiwano ponad pół tysiąca imigrantów, którzy uciekli m.in. dlatego, że nie mogli dłużej znieść warunków pobytu w zamkniętych strefach, w których byli upychani pomimo braku miejsc. Na samej Lampedusie w ośrodku przewidzianym maksymalnie dla 200 osób znajdowało się pod koniec lipca ok. 600 imigrantów, a pod koniec sierpnia ponad 1,2 tys.

31 sierpnia rano (według włoskiej agencji prasowej ANSA) na Lampedusie było dokładnie 1219 nielegalnych imigrantów. Poprzedniej nocy 307 przetransferowano na Sycylię i na kontynent, a dwa dni wcześniej wieczorem 370 przypłynęło na pokładzie statku rybackiego z Libii (pochodzili głównie z Bangladeszu i Senegalu).

Lewicowy mer Lampedusy – Totò Martello – jeszcze kilka lat temu bronił moralnego obowiązku przyjmowania statków z imigrantami. – Kto myśli, że nie powinniśmy przyjmować na Lampedusie [migrantów – przyp. red.], jest w błędzie – mówił w 2017 r. ten były członek Partii Demokratycznej. I uzasadniał: – Jesteśmy na środku Morza Śródziemnego, są na pokładzie statków rybackich, zasada na morzu jest taka, że każdego trzeba ratować.

Jeszcze na początku 2019 r. Martello protestował przeciw zakazowi wpłynięcia statku NGO do portu Lampedusy wydanemu przez ówczesnego ministra spraw wewnętrznych Matteo Salviniego. Jednak już pod koniec sierpnia tego roku, w obliczu szerzących się protestów mieszkańców, którzy domagają się zamknięcia ośrodka dla imigrantów i usunięcia z portu rybackiego łodzi po imigrantach, Martello zagroził rządowi Contego strajkiem generalnym na wyspie, jeśli ten niezwłocznie nie rozwiąże problemu.

Władze centralne nie nadążają bowiem z transferem migrantów przypływających na Lampedusę. W lipcu i sierpniu nierzadko zdarzały się dni, kiedy nielegalnie przypływało po kilkuset imigrantów na kilku czy kilkunastu łodziach. W większości z Tunezji. Dlatego mniej mówi się dzisiaj o statkach NGO przywożących imigrantów z wybrzeży Libii, choć proceder ten trwa w najlepsze po poluzowaniu kwarantanny we Włoszech, gdyż lewicowy rząd Contego zrezygnował z polityki zamkniętych portów poprzedniego ministra spraw wewnętrznych Matteo Salviniego.

Przeciwnie – 30 lipca włoski senat, głosami koalicji rządzącej, dał zielone światło na ściganie Salviniego przed tzw. trybunałem ministrów za odmowę przyjęcia statku hiszpańskiej organizacji Activa Open Arms w sierpniu 2019 r. Będzie to już drugi proces Salviniego za tego typu decyzję podjętą w czasie, kiedy stał na czele ministerstwa spraw wewnętrznych jako wicepremier w pierwszym rządzie Contego.

LEGALIZACJA PRZYCIĄGA

Dlaczego jesteśmy dzisiaj świadkami takiego napływu statków nie tylko z Libii, lecz także z Tunezji? Na to pytanie odpowiedział na początku sierpnia tunezyjski poseł Sami Ben Abdelaali w trakcie wizyty w ośrodku dla imigrantów na Lampedusie – główna przyczyna to ogłoszona w maju przez rząd Giuseppe Contego legalizacja pobytu nielegalnych imigrantów, którzy pracują na czarno w rolnictwie lub jako pomoc domowa. Co prawda, decyzja ta dotyczyła tylko tych, którzy przebywali już na terenie Włoch przed 8 marca. Przełożyła się jednak na ponad 200 tys. wniosków o legalizację pobytu i pracy imigrantów a – jak twierdzi deputowany z Tunezji – organizacje przemytnicze wykorzystały okazję, aby zachęcać ludzi do nielegalnej emigracji do Włoch. Dzięki temu inkasują dodatkowe tysiące euro w zamian za obietnicę fałszywych umów o pracę, które mają umożliwić ich klientom legalny pobyt po drugiej stronie Morza Śródziemnego.

Według danych z 28 sierpnia Tunezyjczycy stanowili aż 42 proc. nielegalnych imigrantów przybyłych do Włoch od początku roku. Tymczasem zarówno Libia, jak i Tunezja były w sierpniu dotknięte gwałtownym wzrostem liczby stwierdzonych przypadków COVID-19. Chodzi o kilkaset nowych przypadków dziennie, choć i tak liczba wykonanych testów na milion mieszkańców jest dużo niższa niż we Włoszech czy nawet w Polsce. Włoski lewicowy rząd koalicyjny nie zrezygnował jednak z zapowiedzi poluzowania dekretów Salviniego wymierzonych w NGO przewożących imigrantów. Nowa szefowa MSW Luciana Lamorgese w odpowiedzi na decyzję gubernatora Sycylii stwierdziła, że na froncie nielegalnej imigracji nic takiego w tym roku się nie dzieje, skoro w 2011 r. (kiedy w Tunezji doszło do rewolucji) przybyło do Włoch aż 30 tys. Tunezyjczyków, a w tym roku „tylko" 8 tys.

Od 1 stycznia do 28 sierpnia do Włoch dostało się już 17 985 imigrantów

Gdy porówna się ten rok z ubiegłym (kiedy szefem MSW był Salvini), to widać, że sytuacja się pogorszyła, i to pomimo względnej przerwy w napływie imigrantów w marcu i kwietniu w związku z bardzo trudną sytuacją epidemiczną we Włoszech. Do 28 sierpnia dostało się do Włoch już 17 985 nielegalnych imigrantów. W tym samym okresie w roku 2019 było ich 4878. W ogromnej większości są to imigranci ekonomiczni, na co wskazują kraje pochodzenia: w pierwszej kolejności Tunezja, a na kolejnych miejscach Bangladesz, Wybrzeże Kości Słoniowej i Algieria.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dfe5ca67de

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

MURZYNKOWA CENZURA

Prawnuk Agaty Christie, James Prichard (na zdjęciu), który ma prawa autorskie do jej dzieł, zażądał zmiany tytułu francuskiego wydania książki „Dziesięciu małych Murzynków". Jego zdaniem prababcia nie chciała napisać tego, co napisała. Tytuł zmieniono na „Było ich dziesięciu". (Jesteśmy bardziej poprawni politycznie od Francuzów, gdyż polskie wydanie tej książki od 2004 r. brzmi: „I nie było już nikogo").

ANTYKONCEPCJA DLA DZIECI

We Francji od siedmiu lat rząd zapewnia darmową antykoncepcję dla dziewcząt w wieku 15–18 lat. Teraz zdecydowano, że i dzieci poniżej 15. roku życia nie będą płacić za konsultacje lekarskie i środki antykoncepcyjne. Uzasadnienie? Małoletni mają „niestabilną sytuację finansową". Rząd wskazał też, że we Francji rocznie zachodzi w ciążę prawie tysiąc dzieci między 12. a 14. rokiem życia i zdecydowana większość z nich decyduje się potem na aborcję.

PRZEWRÓCONY PIERWSZY PREMIER

Podczas ostatniej manifestacji w Montrealu (Kanada) grupa ludzi domagała się obniżenia środków przekazywanych na policję. Nie wiadomo, jak to ma podnieść standard ich pracy. Nie wiadomo też, dlaczego akurat w proteście przewrócono pomnik pierwszego premiera Kanady sir Johna Macdonalda. To oburzyło polityków kanadyjskich. „Musimy walczyć z rasizmem, ale niszczenie części naszej historii nie jest rozwiązaniem" – napisał na Twitterze premier Quebeku François Legault.

MINISTER TO KONSTYTUCJA

W Niemczech w związku z COVID-19 jest politycznie gorąco. Ostatnio minister zdrowia Jens Spahn, który wychodził z budynku w Bergisch-Gladbach, musiał się zmierzyć z tłumem, który krzyczał do niego: „Hańba!". W obronę w Internecie kolegę z rządu wziął szef finansów. „Każdy, kto pluje na demokratycznie wybranego polityka, narusza niemiecką konstytucję" – napisał na Twitterze Peter Altmaier.

RESTRYKCJE ZA SPRZECIW WOBEC RESTRYKCJI

W Berlinie zebrało się sporo Niemców – szacunki mówią o 18 tys. – niezadowolonych z restrykcji utrzymywanych w kraju w związku z pandemią COVID-19. Policja próbowała im wcześniej zakazać protestu, ale sąd oddalił ten zakaz, stawiając warunek: można iść protestować w odległości 1,5 m od siebie. Funkcjonariusze policji stwierdzili podczas marszu, że dystans społeczny nie był zachowywany, i przerwali demonstrację. ©℗ ***Łukasz Zboralski***

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Biden w defensywie

Po konwencji Partii Republikańskiej szybko topnieje przewaga Joe Bidena nad Donaldem Trumpem. Wywoływane przez lewicowe bojówki zamieszki na ulicach zarządzanych głównie przez demokratów miast pozwoliły prezydentowi USA zmienić główny temat kampanii z epidemii koronawirusa na walkę z bezprawiem. Gospodarz Białego Domu może bez obaw przedstawiać się jako przeciwnik ekstremistów z Antify. Kandydat Partii Demokratycznej musi być w tym względzie bardziej ostrożny – aby zwyciężyć w listopadowych wyborach, może bowiem potrzebować również głosów radykalnej lewicy oraz anarchistów.

Niezbędne będą mu też głosy czarnych. Jego ekipa musi więc zręcznie pomijać choćby argumenty adwokata, mówiące o tym, że słynny George Floyd prawdopodobnie nie zginął w wyniku uduszenia przez bezwzględnego białego policjanta, ale przez przedawkowanie narkotyków. Tymczasem Trump bez większego ryzyka mógł stanąć w obronie swoich zwolenników używających gazu pieprzowego wobec protestujących czy też w obronie starszych białych małżonków broniących majątków przed aktywistami Black Lives Matter.

Taktyka sztabowców Bidena – polegająca na tym, aby skłonnego do gaf polityka schować jak najdalej od mediów i spotkań w realnej rzeczywistości, a kampanię prowadzić głównie wirtualnie – sprawia, że Trump przejął kontrolę nad przedwyborczą narracją. Na razie sprzyjają mu również gospodarka, władze Rezerwy Federalnej oraz gracze na Wall Street. Gospodarka jest zaś dla wyborców najważniejsza. Jeżeli więc do listopada w USA będzie przybywać miejsc pracy, a giełdy będą nadal bić kolejne rekordy wszech czasów, to wraz z nimi poszybują w górę szanse Donalda Trumpa na kolejną kadencję. ©℗

eprasa.pl dfe5ca67de

Forum Ekonomiczne 2020

8-10 WRZEŚNIA 2020, KARPACZ

Województwo Małopolskie
Główny Partner
Forum Ekonomicznego

EUROPA PO PANDEMII: SOLIDARNOŚĆ, WOLNOŚĆ, WSPÓLNOTA?

Organizowana od prawie 30 lat, najważniejsza konferencja w Europie Środkowo-Wschodniej.

Liderzy świata polityki i biznesu z Europy, Azji i USA.

Ponad 150 debat - makroekonomia, biznes i zarządzanie, energetyka, innowacje.

Najbardziej znane miejsce spotkań elit gospodarczych w tej części Europy.

Znajdź nas na Facebooku!

- www.forum-ekonomiczne.pl
- kontakt: forum@isw.org.pl

eprasa.pl dfe5ca67de

Jacek Przybylski

Warren Buffett, jeden z najskuteczniejszych i najbardziej znanych inwestorów na świecie, skończył 90 lat. Wciąż aktywnie zarządza jednak funduszem inwestycyjnym i nadal z powodzeniem szuka okazji do zarobku

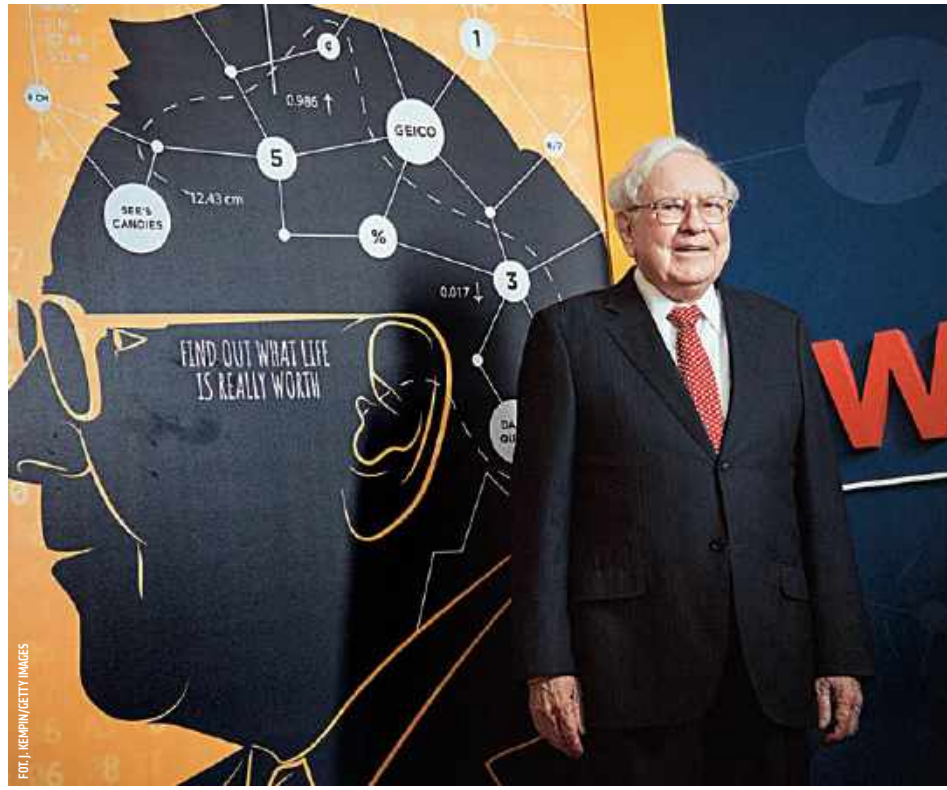

FOT. J. KEMPIN/GETTY IMAGES

Urodziny Wyroczni

Swoją przygodę z giełdą papierów wartościowych zaczął już jako 11-latek. W tym wieku Warren Buffett, urodzony w 1930 r. w amerykańskim mieście Omaha, pierwszy raz kupił akcje. Pierwsze zeznanie podatkowe musiał złożyć już jako 13-latek. Gdy wraz z rodzicami przeprowadził się do Waszyngtonu – jego ojciec był stosunkowo zamożnym republikańskim kongresmenem – dorabiał również, roznosząc gazety. Jako 14-latek pierwszy raz zainwestował zaś w nieruchomości: kupił 40-akrową działkę w Nebrasce, którą szybko wydzierżawił. Cały czas dorabiał. Handlując piłeczkami golfowymi, sprzedając znaczki, a także wykonując proste usługi, takie jak np. polerowanie samochodów, zarabiał czasem lepiej niż jego szkolni nauczyciele.

Ponieważ od dziecka najbardziej interesowały go inwestycje oraz pieniądze, uzyskał tytuł magistra nauk ekonomicznych w Columbia Business School, gdzie wykłady prowadził amerykański guru od inwestowania w wartość – Benjamin Graham.

OSTROŻNY MILIARDER

Szybko mógłby przestać pracować. Dzięki udanym inwestycjom formalnie milionerem stał się już jako 34-latek, a miliarderem w wieku 55 lat. W 2008 r. magazyn „Forbes" uznał go za najbogatszego człowieka globu (obecnie wyprzedzają go Jeff Bezos, Bill Gates oraz Bernard Arnault). Jest również w pierwszej dwudziestce najbardziej wpływowych ludzi świata, a w roku 2010 otrzymał Medal Wolności, najwyższe cywilne odznaczenie w USA.

Znany jako „Mędrzec z Omaha" lub wręcz „Wyrocznia z Omaha", od lat wierny jest prostym zasadom: poszukuje zdrowych spółek w „rozsądnej" cenie, wypłacających sowite dywidendy oraz mających zdolnych i uczciwych zarządzających. Jego śladami starają się zaś podążać inwestorzy na całym świecie, czytający tony książek o Buffetcie oraz Benjaminie Grahamie.

Podczas pandemii koronawirusa ogłosił, że dostosuje się do zaleceń i – tak jak miliony zwykłych pracowników – rozpoczął pracę z domu. Początek 2020 r. również dla niego nie był najlepszy. Po tym, jak jego fundusz Berkshire Hathaway przyniósł inwestorom mniejsze zwroty niż indeks S&P 500, wielu młodych ekspertów, z Jimem Bianco na czele, zaczęło publicznie ogłaszać, że Buffett „przestał być wyrocznią", i oskarżać podstarzałego inwestora o to, że zapewne z racji wieku przesypia hossę na amerykańskim rynku.

Legendarny inwestor w listach do akcjonariuszy swego funduszu wielokrotnie podkreślał jednak, że nigdy nie ściga się z rynkiem, zwłaszcza że rynek w krótkim terminie jest nieobliczalny. Mimo to z podobnymi oskarżeniami „Wyrocznia z Omaha" musiała się zmierzyć także podczas tzw. bańki internetowej z przełomu XX i XXI w. Również wówczas analitycy i dziennikarze pytali: „Czy to już koniec Buffetta?". Aż do momentu, gdy okazało się, że miliarder trafnie przewidział załamanie na rynku. – Inwestorzy mogli ten krach wypatrzyć z odległości kilometra – tłumaczył później. I zdradzał, że jego ulubionym sygnałem ostrzegawczym, który wskazuje na wielkie ryzyko krachu, jest wskaźnik kapitalizacji amerykańskiej giełdy do PKB Stanów Zjednoczonych. Wartość poniżej 50 proc. oznacza, że rynek jest bardzo niedoważony, powyżej 100 proc. zaś ostrzega, że na rynku może tworzyć się bańka. Obecnie ten wskaźnik również świeci się mocno na czerwono, ostrzegając przed ryzykiem gwałtownych spadków, a jego wartość osiągnęła w sierpniu swój historyczny szczyt na poziomie 170 proc. i ciągle frunie do góry.

eprasa.pl dfe5ca67de

Na początku sierpnia obecnego roku okazało się, że Buffett wcale niczego nie przespał, bo wartość pakietu akcji Apple należąca do funduszu Berkshire Hathaway wzrosła do poziomu ok. 110 mld dol. To zaś oznacza, że „Wyrocznia z Omaha" zarobiła na nich aż 70 mld dol. Podjętą przez Buffetta decyzję o stopniowym skupowaniu akcji Apple w latach 2016–2018 wielu analityków uznało nagle za jedną z najlepszych inwestycji w historii.

Oczywiście, fundusz Buffetta w ostatniej dekadzie stosunkowo często przegrywał np. z indeksem S&P 500. Nawet legendarny inwestor popełnia bowiem czasem kosztowne błędy: zbyt późno zainwestował w akcje Amazona, zbyt długo zwlekał z pozbyciem się akcji spółki IBM. Sporo stracił też na inwestycji w Tesco (jak sam przyznał, jego wielki błąd kosztował ponad 400 mln dol.) czy na kupnie udziałów w Dexter Shoe Co., na czym stracił mniej więcej 3,5 mld dol.

– To najgorszy interes, jakiego się podjąłem. I jako katastrofa finansowa zasługuje na miejsce w Księdze rekordów Guinnessa – przyznał Buffett w 2008 r., ostrzegając wówczas inwestorów, że z pewnością w przyszłości popełni takich błędów jeszcze pewnie kilka. Za największe – w rozmowie z felietonistą „Wall Street Journal" Jasonem Zweigiem – uznał jednak głównie inwestycje, za które zamiast gotówką płacił akcjami swojego Berkshire Hathaway. W okresie 1965–2019 fundusz zarządzany przez słynnego inwestora dawał bowiem zarobić jego akcjonariuszom średnio aż 20,3 proc. rocznie. Wartość funduszu od 1965 r. urosła zaś o 2 744 062 proc., czyli mniej więcej 138 razy bardziej niż indeks S&P 500.

W 2017 r. zarządzany przez miliardera fundusz padł ofiarą oszustwa. Zakupiona przez legendarnego inwestora niemiecka firma Wilhelm Schulz na papierze wyglądała znakomicie, ale okazało się, że kluczowy dla zawarcia transakcji wynik finansowy firmy został sfałszowany poprzez tworzenie nieprawdziwych zamówień i fałszowanie faktur. W efekcie Buffett aż czterokrotnie przepłacił. I chociaż sąd arbitrażowy w Nowym Jorku nakazał dawnym akcjonariuszom uzupełnienie różnicy w wysokości 643 mln euro, to utracone pieniądze są trudne do odzyskania.

ZADZIWIĆ MARSJAN?

Ani wiek, ani wykrycie raka prostaty nie przekonały Buffetta, aby wycofać się z interesów. Z nowotworem udało mu się wygrać. Nadal jest też aktywnym inwestorem i zarządzającym, który myśli o przyszłych biznesach. Na początku roku porzucił biznes prasowy i – chociaż jeszcze kilka lat temu przekonywał, że jest uzależniony od gazet drukowanych i zamierza dokupować kolejne tytuły – bez skrupułów pozbył się wszystkich należących do niego dzienników.

Już podczas koronawirusowej zawieruchy „Wyrocznia z Omaha" wyprzedawała zaś walory takich amerykańskich banków jak Wells Fargo, JP Morgan czy Goldman Sachs. Zainwestował za to ponad 560 mln dol. w akcje Barrick Gold, jednego z największych producentów złota na świecie, choć wcześniej bardzo niechętnie podchodził do lokowania pieniędzy w złoty kruszec.

– W Afryce lub innym miejscu kopiemy głęboki dół, z którego wydobywamy złoto, i płacimy za wydobycie, następnie wypławiamy złote sztaby i płacimy za to, kopiemy inny dół, żeby schować złoto w tym dole, i płacimy ludziom, aby go pilnowali. Nie używamy złota do niczego. Gdyby widzieli to Marsjanie, to byliby bardzo zdziwieni – przekonywał.

Wielu inwestorów ma mu jednak za złe, że traci rynkowe okazje, np. ignorując zupełnie możliwość spekulacji na bitcoinach i innych kryptowalutach, które Warren Buffett nazwał w 2018 r. „trutką na szczury do kwadratu". – Kryptowaluty niczego nie dostarczają. Kiedy kupujesz nieproduktywne aktywa, możesz liczyć tylko na to, że następna osoba zapłaci więcej niż ty, bo jeszcze bardziej wierzy w to, że zaraz znajdzie się kolejny inwestor – zauważył „Mędrzec z Omaha".

I chociaż rzeczywiście w 2018 r. na rynkach kryptowalut doszło do pęknięcia bańki i gigantycznego krachu, to od tego czasu spekulanci znów mieli okazję zbić fortuny na frunącym w górę bitcoinie, ethereum, litecoinie, compie etc.

Buffett zawsze jasno odróżniał jednak spekulację od inwestowania, przekonując obrazowo, że „spekulacja jest jak pornografia". Jego zdaniem każdy może łatwo odpowiedzieć sobie na pytanie, czy jest inwestorem czy spekulantem. – Sprawdzianem jest podejście do tego, czy rynki są otwarte, czy zamknięte. Kiedy kupuję akcje, nie obchodzi mnie, czy jutro zamkną giełdę na kilka lat, szukam bowiem wartościowych biznesów, takich jak Coca-Cola lub podobne, które w przyszłości będą generowały dla mnie zyski. Gdyby zależało mi na ciągłym otwarciu rynku, wtedy w pewnym stopniu byłbym spekulantem. Myślałbym bowiem, czy cena kolejnego dnia pójdzie w górę, czy nie. Natomiast tak naprawdę nie mogę wiedzieć, jak zachowają się notowania – zauważył doświadczony inwestor.

30 sierpnia, na swoje 90. urodziny, ujawnił najnowszą decyzję inwestycyjną: zarządzany przez Buffetta Berkshire Hathaway kupił udziały w japońskich spółkach handlowych Itochu Corp., Mitsubishi Corp., Mitsui & Co., Sumitomo Corp. oraz Marubeni Corp. Wszystkie wypłacają sowite dywidendy. Łączy je jeszcze jedna cecha – wszystkie działają dłużej, niż „Wyrocznia z Omaha" inwestuje. Ich korzenie sięgają bowiem nawet kilkuset lat wstecz, a przez ostatnie stulecia zajmowały się m.in. importem surowców i towarów. Łączny pakiet akcji skupowanych dyskretnie przez ostatnie 12 miesięcy wyceniany jest obecnie na 6,25 mld dol.

KRÓL SKĄPCÓW

Warren Buffett nazywany jest także czasem złośliwie „Królem Skąpców". Czwarty najbogatszy człowiek świata – magazyn „Forbes" w zeszłą środę szacował jego fortunę na 82,4 mld dol. – jeździ skromnym samochodem, mieszka w domu, który niemal 60 lat temu kupił za nieco ponad 30 tys. dol., i wprost radzi znajomym, pytającym o to, jak można się wzbogacić, aby markowe produkty kupowali tylko na wyprzedażach. Do historii przeszła także dieta Buffetta, który przez lata potrafił na śniadanie zjeść opakowanie ciastek i popić je colą. Uwielbia też frytki oraz steki (co roku odbywa się licytacja, której zwycięzca ma możliwość zjedzenia obiadu ze słynnym inwestorem w serwującej doskonałe steki restauracji Smith & Wollensky na Manhattanie). W wolnym czasie miliarder grywa też w brydża, brzdąka na ukulele oraz – i na to przeznacza najwięcej czasu – czyta książki i zajmuje się działalnością charytatywną.

Majątek „Wyroczni z Omaha" byłby dziś jednak o wiele wyższy, gdyby nie darowizny, i prawdopodobnie przekraczałby 100 mld dol. Do tej pory Buffett rozdał już ponad 41 mld dol. Już kilka lat temu zadeklarował jednak, że zamierza rozdać ponad 99 proc. swojego majątku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dfe5ca67de

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Szczęście w nieszczęściu?

W czasach kryzysu, wywołanego przez nadzwyczaj radykalny sposób reakcji władz wielu państw (w tym Polski) na COVID-19, czyli przez chyba niemający precedensu gospodarczy lockdown, niemało procesów przebiegających do tej pory „w swoim tempie" nagle „nabrało tempa", przyspieszyło. I wygląda na to, że jednym z tych procesów jest ten, na którym nam, Polakom, szczególnie zależy – proces doganiania (i przeganiania) kolejnych państw Europy pod względem tak czy inaczej rozumianego bogactwa.

Polska ze swym od trzech dekad rosnącym rocznym dochodem na mieszkańca (przy uwzględnieniu realnej siły nabywczej), który jeszcze przed koronakryzysem osiągnął poziom 35,6 tys. euro, wyprzedziła najpierw Grecję (31,6 tys.), a w ubiegłym roku także Portugalię (34,9 tys.). Ta sama sztuka udała się też Węgrom (35,7 tys.), a jeszcze lepiej pościg za czołówką idzie Czechom (40,5 tys.), którzy powoli doganiają Włochy (41,5 tys.) i Hiszpanię (43 tys.).

I jak się okazuje, w trudnych czasach COVID-19 gospodarce Polski, relatywnie – przynajmniej na razie – nie aż tak bardzo dotkniętej przez recesję, gonienie gospodarek innych krajów, zwłaszcza tych z południa Europy, idzie coraz lepiej. A więc gospodarek w znacznej mierze opartych na mocno kulejących teraz dochodach z turystyki, a ponadto borykających się z mnóstwem kłopotów, wynikających z ich przeregulowania, w tym z wysokim bezrobociem.

Zgodnie z szacunkami to w końcu gospodarka Polski ma się skurczyć w tym roku o „zaledwie" 4,6 proc., podczas gdy np. gospodarka Hiszpanii aż niemal o 13 proc. Podobne prognozy dotyczą także gospodarki Włoch. Nawet jeśli dorzucić do tego, że polska gospodarka była mocno rozpędzona i wzrosła w ubiegłym roku o ponad 3 proc., a hiszpańska i włoska szorowały po dnie, to i tak różnica na korzyść polskiej jest widoczna gołym okiem. A to oznacza, że nasza pogoń za Hiszpanią i Włochami przyspieszyła jeszcze bardziej.

Trafność tych prognoz zdają się już potwierdzać pierwsze fakty. Na przykład dane za drugi kwartał 2020 r. – gospodarka Hiszpanii skurczyła się – w porównaniu z pierwszym kwartałem – aż o 18,5 proc., Włoch – o 12,4 proc., a Polski – „tylko" o 8,2 proc. Albo informacje o eksporcie Polski, który szybko wychodzi z koronawirusowego kryzysu – nie dość, że w pierwszym półroczu 2020 r. zmniejszył się „tylko" o 7 proc. w porównaniu z pierwszym półroczem 2019 r., to jeszcze ostatni miesiąc pierwszego półrocza – czerwiec br. – jest już lepszy od czerwca ub.r.

A zatem: szczęście w nieszczęściu. Szczęście w nieszczęściu? A może raczej rezultat wysiłku niezastąpionych polskich pracodawców i pracobiorców oraz niezłej reakcji rządu na kłopoty gospodarcze wywołane być może pandemią COVID-19, a na pewno pandemią strachu przed COVID-19? ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Mam władzę i posady

Krewni polityków obozu rządzącego też muszą gdzieś pracować. Tylko dlaczego tak się składa, że nadzwyczaj często pracują w państwowych urzędach, zależnych od nich organizacjach albo spółkach Skarbu Państwa?

Mogłem być naiwny, ale naprawdę przed 2015 r. wyobrażałem sobie, że nowa władza wyciągnie wnioski z losów swoich poprzedników i systemowo rozwiąże kilka wiecznych problemów, w tym sprawę nepotyzmu. To przecież nie nauka o fuzji jądrowej. Wystarczy określić katalog osób, których krewnych obowiązywałyby ograniczenia, oraz katalog podmiotów, w których by obowiązywały. Zarazem można by zastrzec, że nie dotyczy to sytuacji, gdy na dane stanowisko organizowany jest całkowicie przejrzysty konkurs. Wówczas ktoś z rodziny nawet najwyżej postawionego polityka może go przecież uczciwie wygrać, a publiczność może to stwierdzić, mając wgląd w przebieg konkursu.

Tak się niestety jakoś nieszczęśliwie stało, że tej sprawy nie uregulowano systemowo. I tak się jakoś zdarzyło, że w ostatnim czasie dowiedzieliśmy się o nowych posadach – dla stryja pana prezydenta oraz dla małżonki wiceministra-od-nie-wiadomo-czego Adama Andruszkiewicza.

To, że Prawo i Sprawiedliwość szkodzi samo sobie takimi przypadkami i że to się jednak gdzieś odkłada (PO także przez długi czas sądziła, że nic się nigdzie nie odkłada i że nic jej nie pogrąży) – to pół biedy. Zresztą chyba ta świadomość zaczyna w partii kiełkować, skoro wicepremier Jacek Sasin zapowiedział, że syn posła Prawa i Sprawiedliwości Grzegorza Matusiaka jednak nie zostanie prezesem jednej ze spółek zależnych od KGHM.

Najbardziej przykre nie jest również to, że ktoś ma nas tutaj za idiotów. Przykre jest przede wszystkim to, że na samym początku poprzedniej kadencji utracono okazję, żeby raz na zawsze wyeliminować jeden z podstawowych sposobów pasożytowania władzy – każdej władzy – na państwie.

Jeśliby zostało to zrobione pięć lat temu, to nikt nie byłby w stanie przywrócić poprzedniego stanu rzeczy – oznaczałoby to potężne straty w oczach opinii publicznej. Ci zaś, którzy w mętnej wodzie chętnie by łowili, musieliby przywyknąć do braku łowiska.

Niestety – czas na takie zmiany jest zawsze wyłącznie na początku sprawowania władzy. Jeżeli nie przetnie się wrzodu w ciągu najdalej trzech pierwszych miesięcy, to nie ma już o czym mówić. A potem właśnie stryjek, żona, teściu, kochanka… Jak śpiewał kiedyś Ryszard Makowski, z tym że o poprzednich decydentach: „Mam władzę i mam posady, i rozdaję je bez żenady". ©℗

eprasa.pl dfe5ca67de

Polacy się na to nie zgodzą

Wyjątkowo dużą popularnością cieszy się w ostatnim czasie wśród polskich przedsiębiorców niejaki Piotr Patkowski – jeden z wiceministrów finansów. Chociaż akurat słowo „cieszy" jest tu niezbyt odpowiednie, bo cieszyć się tak naprawdę nie ma z czego. Otóż Patkowski w przypływie… – niech będzie, że szczerości – wyznał, że „wielkie zamykanie gospodarki jesienią może powrócić". – Nie możemy w stu procentach wykluczyć drugiego lockdownu na takim samym poziomie jak wiosną – stwierdził w rozmowie z RMF FM.

Krzysztof Budka, ekspert Rady Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa

To jedno zdanie w zasadzie wystarczyło, by podpalić Internet. Jeśli ktoś do tej pory Patkowskiego nie kojarzył, no to teraz kojarzyć już musi. Nie tylko z fizjonomii, lecz także z nie do końca przemyślanych wypowiedzi. Zresztą doszło do tego, że za swojego wice musiał się tłumaczyć Tadeusz Kościński, który wystąpił w roli strażaka i – jak tylko potrafił – próbował gasić pożar, uspokajając przy okazji nastroje wśród przedsiębiorców. W ostatni dzień sierpnia w Polsacie News minister finansów próbował przekonywać, że ogólnopolski lockdown nie jest przez rząd w ogóle brany pod uwagę. – Jeżeli szef resortu zdrowia powie, że lockdown jest potrzebny, to naszą rolą jest, by znaleźć na to pieniądze. Ale to musiałaby być ogólnopolska katastrofa – stwierdził Kościński.

Katastrofa to zdecydowanie najlepsze określenie tego, co by się stało, gdyby rząd jesienią po raz kolejny całkowicie zamroził gospodarkę. W zasadzie nikt nie ma złudzeń, że po czymś takim nie byłoby, co zbierać. Zresztą bardzo rozsądnie, bez politycznego czy ideologicznego zacięcia, mówił o tym na portalu fpg24.pl Bartłomiej Pawlak, wiceprezes Polskiego Funduszu Rozwoju, czyli instytucji, z której szerokim strumieniem popłynęło finansowe wsparcie w postaci tarczy do wielu polskich firm po wiosennym lockdownie. – Żadnego kraju już na coś takiego nie stać. To straty rzędu 5 proc. PKB podczas dwóch miesięcy. Powtórka więc nie jest możliwa, ale też nikt nie planuje kolejnego wyłączenia gospodarki i totalnej kwarantanny. Jesteśmy już znaczenie bardziej świadomi, czym jest COVID-19, oraz mamy przygotowaną służbę zdrowia, więc nie grozi nam powtórka z wiosny – zapewniał.

Podobnie uważa Adam Abramowicz, rzecznik małych i średnich przedsiębiorców. – Jesienią zazwyczaj różne wirusy, w tym wirus grypy, się aktywizują, więc niewykluczone, że znów zwiększy się liczba zarażonych. Jeśli natomiast z tego powodu mielibyśmy znów zamrozić gospodarkę na kilka miesięcy, to później nie będzie już do czego wracać. A przecież polska gospodarka w ostatnim czasie była naprawdę w bardzo dobrej kondycji. Ludzie czuli pieniądze w kieszeni, firmy dynamicznie się rozwijały, bezrobocie praktycznie spadło do zera. I co? I mielibyśmy to wszystko teraz zaprzepaścić? Myślę, że Polacy absolutnie się na to nie zgodzą – mówił jakiś czas temu w rozmowie z niżej podpisanym na łamach magazynu „Forum Polskiej Gospodarki". – Pandemia, niestety, zrzuciła nas ze ścieżki ciągłego wzrostu. Po bardzo dobrych ostatnich latach przedsiębiorcy w wielu branżach spodziewali się, że rok 2020 będzie rekordowy. Rzeczywistość okazała się brutalna i konieczne jest liczenie strat. Kolejny lockdown oznaczałby zapaść gospodarki, a co za tym idzie, zapaść systemu ochrony zdrowia. Większość firm go nie przetrwa – dodaje Abramowicz dzisiaj.

Nie zmienia to faktu, że wielu przedsiębiorców wciąż nie może być pewnym dnia ani godziny, bo resort zdrowia, już pod nowym kierownictwem, cały czas wprowadza „pełzający lockdown". I tak naprawdę jedna decyzja może zdecydować o tym, że wszyscy pracownicy wylądują na kwarantannie, po której w zasadzie nie będzie już sensu wracać do pracy, bo tej kwarantanny firma nie przetrwa. To coś, co bardzo szybko i skutecznie jest w stanie dobić odradzającą się polską gospodarkę. Wtedy już żadna pomoc nie będzie w stanie przywrócić tych firm do życia. Zresztą każda tarcza, postojowe czy inne ulgi kiedyś się przecież muszą skończyć. Dlatego najwyższy już czas – po dotychczasowych doświadczeniach z COVID-19 – zrewidować myślenie o tej całej epidemii.

Autor jest ekspertem Rady Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa
www.radagospodarcza-sws.pl
www.fpg24.pl.

Rada Gospodarcza STREFY WOLNEGO SŁOWA

ARTYKUŁ POWSTAŁ WE WSPÓŁPRACY Z RADĄ GOSPODARCZĄ STREFY WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl dfe5ca67de

TEST „DO RZECZY": IROBOT ROOMBA S9+

Rewelacyjny design, duża moc ssąca, możliwość sterowania za pomocą aplikacji oraz automatycznego opróżniania pojemnika na śmieci – to największe zalety najdroższego robota odkurzającego amerykańskiej firmy iRobot.

Model S9+ to produkt, który zarówno pod względem wzornictwa, jak i jakości wykonania nie pozostawia wątpliwości, że mamy do czynienia z urządzeniem klasy premium. To również pierwsza Roomba w kształcie litery D, dzięki czemu – przynajmniej w teorii – lepiej powinna radzić sobie ze sprzątaniem kątów.

Na pochwałę zasługuje duża moc ssąca, dzięki czemu Roomba nie tylko radzi sobie z kurzem czy okruszkami, lecz także zdaje test w domach, w których bez przerwy pełno jest psiej lub kociej sierści. Robot maksymalną moc wykorzystuje automatycznie (np. po wykryciu dywanu), ale można mu ją także ustawić w aplikacji. To istotna funkcja, bo przy maksymalnej mocy robot robi się stosunkowo głośny. Ważnym plusem jest też możliwość automatycznego opróżniania pojemnika na śmieci w stacji dokującej. Dzięki niej można zostawić zaprogramowanego robota na czas urlopu i po powrocie z wakacji cieszyć się dobrze posprzątanym mieszkaniem lub domem. Jeden worek na śmieci do stacji dokującej powinien pozwolić na trzydziestokrotne opróżnienie pojemnika robota.

Dzięki aplikacji iRobot Home można zdalnie sterować roboodkurzaczem z dowolnego miejsca na ziemi, używając aplikacji lub komend głosowych za pośrednictwem takich asystentów jak Google lub Alexa. Gdy akumulator wyczerpie się podczas sprzątania, robot automatycznie wraca do stacji dokującej, żeby się podładować, po czym kończy zaprogramowane zadanie. Tuż po zakupie robot wykonuje rundy treningowe, podczas których tworzy plan danego piętra. Dzięki temu w aplikacji można mu potem kazać sprzątać pokój dziecięcy np. trzy raz dziennie, a sypialnię dorosłych tylko raz dziennie. Można też np. zdalnie wysłać go, by posprzątał kuchnię.

Niestety, w przeciwieństwie do robota Roomba i7, który rzeczywiście świetnie sprawdza się w roli ciężko pracującego niewolnika, S9+ to wyjątkowo luksusowa pokojówka, która – przynajmniej w pierwszych dniach pracy – o wiele za często woła właściciela do pomocy. A to dywan wydaje się zbyt gęsty, a to robot gubi się za kanapą (być może jest za nią zbyt ciemno, bo Roomba do sprawnej nawigacji potrzebuje światła), a to znów alarmuje, że nie może dostać się na taras (choć w aplikacji ma wyraźnie zaznaczone, że ma na niego nie wjeżdżać). Podczas testów Roomba zazwyczaj sprawnie omijała przeszkody. Zdarzyło się jej jednak, że mimo czujnika antykolizyjnego i optycznego S9+ tak długo walczyła z rozkładanym stolikiem, aż w końcu udało jej się go złożyć, rozbijając przy okazji stojący na nim świecznik.

Mimo tych minusów S9+ to świetny robot odkurzający, który znacząco zmniejsza ilość domowych obowiązków i pasuje nawet do najbardziej prestiżowych wnętrz. Jego główną wadą jest wysoka cena, która wynosi aż 5399 zł. Z tego powodu ja sam wolałbym poprzedni model: iRobot Roomba i7+. Może nie wygląda aż tak ładnie, ale nie wymaga praktycznie żadnej uwagi, ma te same najważniejsze funkcje, a dodatkowo jest istotnie tańszy: i7+ kosztuje 3299 zł. ©℗

Jacek Przybylski

OPASKA WYKRYWAJĄCA EMOCJE

Amazon Halo Band – najnowsza opaska wyprodukowana przez amerykańskiego giganta – istotnie różni się od pozostałych gadżetów monitorujących stan zdrowia. Po pierwsze, w ogóle nie ma wyświetlacza. Po drugie, poza monitorowaniem snu czy tętna, a także mierzeniem czasu spędzonego na poszczególnych rodzajach aktywności, oferuje też opcję wykrywania emocji. Po włączeniu funkcji „Tone" Amazon Halo Band – przy użyciu niewielkich mikrofonów ukrytych w urządzeniu – monitoruje wysokość tonu, jego intensywność, tempo, rytm i na tej podstawie określa m.in. nastrój (od znudzenia po szczęście), poziom energii oraz optymizmu. Gadżet od Amazona ma pomóc użytkownikom w relacjach z innymi – ma bowiem dać możliwość przewidzenia, jak dany ton zostanie odebrany przez rozmówców. Cena: 99,99 dol. (ok. 375 zł), ale aby móc korzystać z gadżetu, wymagany jest też abonament na połączoną z opaską aplikację za 3,99 dol. (15 zł) miesięcznie.

ROBOT DLA FUTRZAKA

Każdy właściciel kota lub psa wie, że gdy jego pupil się nudzi, to mogą mu przychodzić do głowy głupie pomysły. Konstruktorzy stworzyli więc Pumpkii – inteligentnego robota, który powstał z myślą o zabawianiu psów i kotów. Ma więc wbudowany laser oraz motylek dla kota. Robot jest również wyposażony w kamerę, mikrofon oraz głośnik, dzięki czemu można próbować wydawać zwierzętom komendy (oczywiście: nie dotyczy to kotów). Jest też opcja łapówki-nagrody. W robocie można ukryć przysmaki, które za pomocą specjalnej wyrzutni w odpowiednim czasie będą wydawane czworonogom. Dzięki wymiennym modułom robot może być także wyposażony w koparkę do czyszczenia kuwety. Cena wersji podstawowej to 229 dol. (ok. 860 zł), ale może wzrosnąć w zależności od liczby dokupionych osobno modułów. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Jacek Przybylski

eprasa.pl dfe5ca67de

MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

„Bohater" ze skazą

Oddali siedem strzałów z bliska w plecy nieuzbrojonego mężczyzny. Nagranie z brutalnej interwencji policji"; „[AKTUALIZACJA] Podczas trzeciej nocy antyrasistowskich zamieszek w mieście Kenosha w amerykańskim stanie Wisconsin trzy osoby zostały postrzelone, w tym dwie śmiertelnie". Tak wyglądają oddalone od siebie o kilka dni nagłówki w portalu TVN24, ale analogiczną narrację możemy odnaleźć niemal wszędzie, od „Gazety Wyborczej" do CNN. Trudno natomiast odnaleźć prawdę o kolejnym już incydencie, który pod koniec sierpnia stał się zarzewiem nowej fali rabunków i przemocy pod płaszczem protestów Black Lives Matters.

Wszystko zaczęło się od interwencji i otwarcia ognia do 29-letniego Afroamerykanina Jacoba Blake'a, który choć uniknął śmierci, został sparaliżowany od pasa w dół. Z wideo, które pojawiło się w Internecie, mainstreamowe media stworzyły następującą historię: Blake rozdziela dwie bijące się kobiety, ktoś obserwujący zdarzenie wzywa policję, następnie – właściwie bez powodu – „funkcjonariusze otwierają do niego ogień, gdy wsiadał do samochodu, w którym znajdowały się jego dzieci".

Co w rzeczywistości widać i słychać na ujawnionym nagraniu? Po przyjeździe funkcjonariuszy mężczyzna był uzbrojony w ostre narzędzie, policja natomiast wzywała go do „rzucenia noża". Blake opierał się aresztowaniu, nie reagując na polecenia mundurowych. Chociaż porażono go paralizatorem, to zaczął iść w stronę swojego samochodu. W tym momencie grupa policjantów podbiegła, próbując zatrzymać mężczyznę, który otworzył drzwi do vana, ewidentnie sięgając po coś pod fotelem. Padły strzały.

Kilka dodatkowych faktów. W 2015 r. Jacob Blake został zatrzymany w aucie po tym, jak będąc pod wpływem alkoholu, groził bronią w barze. Nie stosował się do poleceń, był agresywny i szybko zaczął podchodzić do funkcjonariuszy, którzy obezwładnili go dzięki pomocy psa policyjnego. Co znaleźli pod siedzeniem auta? Naładowaną broń. Ten 29-latek był przy okazji od miesiąca poszukiwany listem gończym za napad seksualny trzeciego stopnia. To przestępstwo, za które grozi aż do 10 lat więzienia. I w obronie tego człowieka, jak podaje Reuters, spłonęło kilkanaście sklepów w afroamerykańskiej dzielnicy miasta Kenosha, a podczas strzelaniny między „protestującymi" polała się krew. Chyba nie tak powinno się walczyć o sprawiedliwość rasową. ©℗

REKLAMA

Biogen – jesteśmy pionierami neuronauki

Prowadzimy pionierskie badania naukowe, które poszerzają wiedzę na temat układu nerwowego. Dzięki zastosowaniu nowych technologii cyfrowych oraz włączeniu doświadczeń społeczności pacjenckich możemy pogłębić rozumienie oraz chronić cechy i wartości fundamentalne dla człowieka.

www.biogen-poland.pl

Biogen

Biogen-60776

eprasa.pl dfe5ca67de

Katarzyna Pinkosz

Mamy 2000 Powodów

Na świecie są już dostępne cztery leki dla chorych na mukowiscydozę działające przyczynowo; w Polsce nie ma ani jednego. Rodziny desperacko próbują zbierać na nie pieniądze lub myślą o emigracji. I walczą o leki, by zostać w Polsce

Marta Szerszeń wierzy, że jej drogi lek będzie w końcu refundowany również w Polsce FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Wpisy na FB ruchu „2000 Powodów" są przejmujące. Czarek, którego żona wraz z dziećmi wyjechała do Wielkiej Brytanii, przez lockdown nie widział rodziny pół roku: „Synek przed snem powiedział, że przez te pół roku często oglądał nasze wspólne zdjęcie, które ustawił sobie jako tapetę na telefonie, i płakał z tęsknoty. Szkoła zapewnia mu wszystko, czego na co dzień potrzebuje uczeń z przewlekłą chorobą. Brytyjski NHS otacza profesjonalną opieką i gwarantuje refundację leku przyczynowego, który minimalizuje do 90 proc. skutki mukowiscydozy [...]. A w Polsce wczoraj na mukowiscydozę umarł Grześ. Miał 15 lat. W UK na tę chorobę od lat już dzieci nie umierają". Ewa: „Mam sześcioletniego wnuczka z mukowiscydozą. Mieszkają w Irlandii, tam leczenie jest bezpłatne. Rozważania o powrocie do Polski hamuje cena leczenia w naszym kraju".

Z powodu mutacji w genie CFTR organizm chorego na mukowiscydozę produkuje duże ilości gęstego śluzu, który zalega w płucach i oskrzelach, utrudnia oddychanie. Blokuje przewody wyprowadzające z trzustki enzymy trawienne, dlatego organizm nie jest w stanie przyswoić dostatecznej ilości kalorii i składników odżywczych. Jeszcze 20–30 lat temu chorzy na mukowiscydozę żyli średnio 20 lat, dziś w wielu krajach staje się ona chorobą przewlekłą dzięki dobrej opiece, leczeniu objawowemu i pierwszym lekom przyczynowym (obecnie na świecie są już cztery, żaden nie jest refundowany w Polsce). Średnia długość życia chorych w Polsce jest o 10–15 lat krótsza niż w krajach z dobrze rozwiniętą opieką nad pacjentami.

POMÓŻ MARCIE ODETCHNĄĆ

W „Do Rzeczy" nr 5/2020 pisaliśmy o 31-letniej Marcie Szerszeń, chorującej na mukowiscydozę. Skrupulatnie przyjmowa-

eprasa.pl dfe5ca67de

ła zalecane leki, wykonywała zabiegi fizjoterapeutyczne, ćwiczyła, by maksymalnie utrzymać pojemność płuc, która rocznie i tak spada jej o 2–3 proc. Przy 50-procentowej pojemności płuc, jaką miała w styczniu, mogła jeszcze pracować z dziećmi jako wychowawczyni w przedszkolu. Przy 30 proc. pojemności płuc ratunkiem jest już tylko przeszczepienie płuc. Pod koniec ubiegłego roku rodzina i znajomi namówili ją na próbę zebrania pieniędzy chociaż na jedno opakowanie leku. W pomoc zaangażowało się wielu: dzieci, rodzice, wychowawcy w przedszkolu, a potem niemal cały Kwidzyn. W ramach akcji „Pomóż Marcie odetchnąć z ulgą" organizowano koncerty, kiermasze, publiczne zbiórki. – Udało się zebrać 130 tys. zł. Lekarz wypisał receptę, wysłaliśmy ją skanem do apteki w Niemczech, zapłaciliśmy, po dwóch dniach znajomy odebrał dla mnie lek – opowiada Marta. W aptece nie mogli nadziwić się, że ktoś sam za takie leczenie płaci. – W Niemczech jest ono refundowane, pacjent płaci 5 euro. Ja zapłaciłam równowartość ok. 74 tys. zł.

Gdy w szpitalu przyjmowała pierwsze tabletki, cały personel chciał zobaczyć, jak wygląda „cudowna tabletka", dzięki której można nie tracić oddechu. Tuż wcześniej Marta zrobiła badanie pojemności płuc; kolejne po 28 dniach przyjmowania leków. Efekty były znakomite: pojemność płuc wzrosła o 17 proc.: – Czułam, że lepiej oddycham, jestem silniejsza, a ponieważ codziennie wykonuję ćwiczenia, to zdumiało mnie, że po raz pierwszy przy rozgrzewce nie miałam zadyszki.

Gdy skończyło się opakowanie kupione z zebranych pieniędzy, Anonimowy Pomagacz podarował jej dwa kolejne. Miała jednak tydzień przerwy w przyjmowaniu tabletek. Musiała się wysilać, żeby złapać oddech. Dzisiaj nie wyobraża sobie, żeby przestać przyjmować leki. – Jedno opakowanie jeszcze uda mi się kupić z zebranych pieniędzy, a potem liczę na to, że lek w końcu stanie się refundowany. Inaczej musiałabym myśleć o całkowitej zmianie życia i wyjeździe do Niemiec, zostawieniu rodziny, pracy. A całe miasto zbierało dla mnie pieniądze, nawet dzieci przynosiły to, co dostały w prezencie – opowiada Marta. W czasie lockdownu nie pracowała; jednak w sierpniu zdecydowała się na powrót do przedszkola. Tęskniła za pracą z dziećmi.

PRAWO JAZDY NA CIĘŻARÓWKĘ

Michał, tata czteroletniego Józka chorego na mukowiscydozę, zrobił niedawno prawo jazdy na ciężarówki, żeby móc znaleźć pracę w takim kraju Europy, w którym leczenie mukowiscydozy jest refundowane, jeśli w Polsce nadal go nie będzie. Na razie synek funkcjonuje dzięki leczeniu objawowemu. Gdy idzie na plac zabaw, wygląda jak zdrowe dziecko. Codziennie jednak wstaje godzinę wcześniej, żeby jeszcze przed śniadaniem zrobić sobie pierwszą inhalację. Po śniadaniu (do którego musi przyjąć leki umożliwiające wchłanianie składników odżywczych) jest kolejna inhalacja, potem fizjoterapia. Później może iść do przedszkola, ale przed każdym posiłkiem przychodzi rodzic, żeby podać leki. W domu kolejna inhalacja, dwie godziny spokojnej zabawy, kolacja z następną porcją leków, znów inhalacja i fizjoterapia. Do tego raz w miesiącu wizyta u specjalisty. – Na razie stan Józka jest dobry, jednak za rok czy dwa lata włączenie leczenia przyczynowego będzie konieczne. Jeśli do tej pory w Polsce nie będzie refundowane, to będziemy musieli wyjechać. Inaczej musielibyśmy żyć ze świadomością, że tuż za granicą jest lek, ale nasze dziecko nie może go dostać – mówi Michał.

W Polsce jest ok. 2000 chorych na mukowiscydozę; każde chore dziecko powinno mieć zapewnione leczenie przyczynowe

EMIGROWAĆ CZY WALCZYĆ

– Polski system ochrony zdrowia nie jest przygotowany na narodziny dziecka z mukowiscydozą i opiekę nad rodziną – przekonuje Anna Cisowska, mama dziewięcioletniej Hani. Po traumie, jaką przeżyła jako młoda mama, zaczęła działać jako wolontariuszka: nie chciała, żeby taką samą traumę przeżywali inni rodzice. Jeździła na oddział, gdy dowiadywała się o kolejnym dziecku, u którego zdiagnozowano mukowiscydozę. Doradzała rodzicom, jak sobie z taką sytuacją radzić, jakie są szanse na leczenie. – Gdy dowiadywałam się o kolejnych lekach dostępnych na świecie, narastała we mnie złość, że w Polsce nie ma żadnego, podczas gdy prawie 30 krajów na całym świecie refunduje leki już od kilku lat. Moja córka jeszcze nie jest w takim stanie, że musi mieć takie leczenie, ale wiem, że ten moment nastąpi, i jeśli sytuacja się nie zmieni, to dla mojego dziecka nie będzie w Polsce przyszłości – mówi Anna Cisowska.

Z niezgody na to wyrósł ruch „2000 Powodów". – Skąd nazwa? Bo w Polsce jest ok. 2000 chorych na mukowiscydozę, a każde dziecko jest powodem do tego, żeby było dla niego leczenie przyczynowe – mówi. Celem ruchu „2000 Powodów" jest to, żeby leki przyczynowe stały się w Polsce dostępne. – O refundację leków przyczynowych, a także zmiany w organizacji leczenia, również bardzo potrzebne, starają się inne stowarzyszenia i fundacje działające na rzecz chorych na mukowiscydozę. Staramy się przekonywać ministerstwo, ale też wpływać na firmę, żeby występowała z wnioskiem o refundacje kolejnych leków zmieniających losy chorych, które już są zarejestrowane na świecie – opowiada Anna Cisowska. Chcą też przybliżyć społeczeństwu, co to za choroba, by nie odkładać ich problemów na półkę.

W procesie refundacyjnym w Polsce są obecnie dwa leki dla chorych na mukowiscydozę, w Europie do niedawna były dostępne trzy leki, a czwarty niedawno został dopuszczony i w niektórych krajach już jest objęty refundacją. Chorzy i ich rodzice z nadzieją będą czekać na listopadową listę i decyzje ministra. – W Polsce jest coraz doskonalsze leczenie objawowe, lepsze warunki w szpitalach. Między innymi krajami a Polską tworzy się jednak coraz większa przepaść, wynikająca z braku dostępu do leczenia przyczynowego. Wyniki długości przeżycia naszych chorych zdecydowanie nie są satysfakcjonujące, wprowadzenie leczenia przyczynowego jest konieczne – mówi prof. Dorota Sands, kierująca Centrum Leczenia Mukowiscydozy Szpitala w Dziekanowie Leśnym, prezes zarządu Polskiego Towarzystwa Mukowiscydozy.

Anna Cisowska: – Raz na dwa–trzy tygodnie widzę na naszym forum informację, że odeszła na zawsze kolejna młoda osoba. To motywuje do walki. Jestem w stanie jechać na koniec świata po lek dla Hani, nie chcę czekać, aż nastąpi degradacja trzustki, wątroby, płuc. Dwie osoby z naszej grupy już rozpoczęły proces emigracji do Niemiec, jednak zawsze to trudny temat, przecież mamy tu rodziny, przyjaciół.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dfe5ca67de

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Diabelskie gniazda

Każdy zamek w Polsce ma swoją legendę – zwykle o pokutującej duszy okrutnego właściciela lub jego żony, zamordowanej, zadręczonej, więzionej lub zniewolonej. Rzadko która jednak warownia naprawdę była siedzibą prawdziwego okrutnika, sadysty czy banity, który zajeżdżał sąsiadów, terroryzował szlachtę, a w lochach trzymał więźniów. Na naszych ziemiach można znaleźć ledwie kilka takich diabelskich gniazd. Jednym z najsławniejszych na początku XVII stulecia był zamek Stanisława Stadnickiego, sztandarowego warchoła staropolskiego w Łańcucie. Współcześni mylą go czasem z pałacem Lubomirskich i Potockich, co jest krzywdzące dla tego pięknego zabytku. Prawdziwy zamek Diabła Łańcuckiego wznosił się bowiem w zupełnie innym miejscu – na północ od kościoła pod wezwaniem św. Stanisława Biskupa, dawniej św. Barbary, na przedłużeniu ulicy Farnej. Stał na wzgórzu za mostem nad dzisiejszą ulicą Jagiellońską, nazywanym wówczas Łysą Górą. Samą budowlę okoliczni poddani nazywali po prostu Piekłem. Zamek wzniesiony przez Pileckich, który pod koniec XVI w. trafił do rąk Stadnickiego, był wzniesiony z cegły i kamienia, miał też być może drewniane wyższe piętra. Do „Piekła" łatwo było trafić, trudniej z niego wyjść. Stanisław Stadnicki przez całe życie prowadzący wojny z sąsiadami – ze starostą leżajskim Łukaszem Opalińskim i Mikołajem Spytkiem Ligęzą z Rzeszowa – trzymał tutaj zarówno swoich wrogów, jak i ich poddanych.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

RYS. PEGAZ

Zamek słynął z okrucieństw. Schwytanych chłopów Opalińskiego torturowano tutaj i okaleczano, innych przykuwano do ściany. Według protestacji sądowych wiecznie zadłużony Stadnicki kazał więźniom „kuć monetę", czyli wybijać fałszywe pieniądze. Jednym ze sławniejszych jeńców był Konstanty Korniakt, któremu Diabeł Łańcucki winien był znaczne sumy pieniędzy i dlatego zdecydował się porwać swego wierzyciela, uwięzić i zmusić torturami psychicznymi do darowania ogromnego długu. Bez przerwy straszono więźnia ścięciem, niejednokrotnie wyprowadzano niby na egzekucję. Wreszcie, kiedy Korniakt się rozchorował, Stadnicki wymusił na nim siłą zwolnienie z pożyczek – dostarczył więźnia w kajdanach do zamku w Sanoku, gdzie pan Konstanty pod przymusem zgodził się na anulowanie długu.

„Piekło" już nie istnieje, nie ma też pewności, że znajdowało się na Łysej Górze, zwanej dziś w Łańcucie wzgórzem plebańskim. Zamek został zburzony i spalony w czasie wojny z Opalińskim w 1608 r., kiedy rozwścieczeni żołnierze starosty wpadli do miasta w pogoni za ludźmi Diabła. Więźniowie wyrwali się wówczas z lochów i zrujnowali warownię, podkładając na koniec ogień. Prowadzone trzy lata temu wykopaliska odkryły fragmenty starego muru, wiele skorup i średniowieczne kafle, co potwierdzałoby lokalizację „Piekła", gdyż zamek znany był z pięknych pieców zniszczonych w czasie krwawego zdobycia Łańcuta. Siedziba Stadnickiego nigdy nie została odbudowana. Jego synowie wznieśli obronny dwór w miejscu dzisiejszego pałacu, a pamięć o dawnej siedzibie Pileckich i Stadnickich zaginęła.

Opaliński spalił „Piekło", przetrwał jednak pałac Radziwiłłów w Białej Podlaskiej, siedziba niebezpiecznego okrutnika Hieronima Floriana Radziwiłła, chorążego wielkiego litewskiego, syna Karola Stanisława Radziwiłła. Książę dziś uważany jest za postać kontrowersyjną. Miłośnik sztuki i twórca własnego teatru, do którego sprowadzał artystów z Niemiec, a kiedy coś przewinili albo chcieli odejść ze służby, więził ich i przymuszał do służby. Twórca gabinetu osobliwości, będącego jednym z pierwszych muzeów w Rzeczypospolitej, terroryzował sąsiadów, gdyż w swoich dobrach utrzymywał 6 tys. wojska umundurowanego i wyposażonego na wzór armii pruskiej, a w Słucku ufundował szkołę kadetów. Hieronim Florian znany był jednak ze swego okrucieństwa w stosunku do służby i chłopów. Tym pierwszym obniżał zasługi do minimum, tych drugich więził w lochach za byle przewinienia, naznaczał też srogie kary – z karą śmierci włącznie. W podziemiach Białej Podlaskiej przetrzymywał tylu więźniów, że zwał ich swoimi „najlepszymi śpiewakami", okrutnie katował służbę, ponoć nawet osobiście torturował obwinionych. Swojego kapitana Marszeta skazał na dożywotnie więzienie w kajdanach. Jednego ze sług kazał powiesić przy bramie za zbyt gorliwe wypełnianie obowiązków, aby „zawsze był na widoku". Malarza Stefana Cybulskiego, który uciekł ze służby, bo nie wypłacano mu zasług, kazał schwytać i cztery lata trzymać w lochach, zmuszając do malowania swoich rozlicznych portretów. Warto o tym pamiętać, zwiedzając kompleks radziwiłłowski w Białej Podlaskiej. ©℗

eprasa.pl dfe5ca67de

POPISOWE DANIE STANISŁAWA ŻÓŁTKA

Trybowana kaczka nadziewana kaczką z migdałami i rodzynkami to danie bardzo pracochłonne i wymagające. Przygotowuję je na różne okazje, kilka razy popisywałem się nim przed znajomymi i za każdym razem bardzo to danie chwalili (czując na sobie ciężar mojego surowego spojrzenia). Kaczkę tę jadam zwykle na zimno (w zastępstwie wędliny), ale smakuje wyśmienicie także na ciepło. Tego przepisu nie znajdą państwo w Internecie, bo to mój autorski pomysł z czasów, gdy Internetu jeszcze nie było.

Składniki:

- 1 kaczka
- 5–7 kaczych ud

Zalewa z przyprawami:

- 1,5–2 l wody
- papryka słodka (1–2 łyżki)
- papryka chili (1–3 łyżeczki – zależy od wytrzymałości ust)
- pieprz mielony (1 łyżka)
- pomiażdżony czosnek (duża główka)
- cząber, tymianek, estragon (po 1 kopiatej łyżce)
- goździki, ziele angielskie (po 1 łyżeczce)
- liście laurowe (kilkanaście sztuk)
- cukier (1 szklanka)
- sól (2 kopiate łyżki)

Farsz:

- żelatyna
- rodzynki (pół szklanki)
- migdały (pół szklanki)

Przygotowanie:

Odciąć skrzydła i podudzia kaczki (udka zostawić), wytrybować razem z kośćmi udek (to trudne), nie dziurawiąc skóry. Z podanych powyżej składników przyrządzić zalewę. Włożyć do niej kaczkę oraz uda na dzień lub dwa. Po tym czasie kaczkę wyciągnąć i osuszyć. Udka w zalewie mocno zagrzać (przez 30 min, ale nie gotując, bo mają być półsurowe). Obrać mięso z ud.

Przygotowujemy farsz. Żelatynę rozpuścić w ¼ l płynu (woda z przecedzoną zalewą w proporcjach według uznania ze względu na ostrość), dodać rodzynki i migdały, zagotować (mieszając) i odstawić na 2–4 godz. Po tym czasie dodać do mieszaniny mięso z ud, zagrzać (bez gotowania), by żelatyna wniknęła w mięso. Mieszać, bo łatwo można przypalić.

Farsz wystudzić i wypełnić nim kaczkę. Nie ubijać na siłę, bo kaczka pęknie podczas pieczenia, nadmiar farszu zjeść. Zaszyć dratwą wszelkie otwory. Piec w piekarniku w temp. 180–200 st. C przez ok. 1,5 godz. Po wystudzeniu usunąć dratwę.

Kaczkę podawać zimną w całości, przed podaniem nadkroić tylko kilka plastrów. Gościom nie smakuje – wyrzucić gości. ©℗

FOT. MAREK LASYK/REPORTER

oprac. raw
Stanisław Żółtek jest politykiem i przedsiębiorcą, kandydował na urząd prezydenta RP w 2020 r.

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Nieprzyjemny temat

STANISŁAW ŁUBIEŃSKI „KSIĄŻKA O ŚMIECIACH" AGORA 2020

Śmieci to coś takiego, o czym wolimy nie wiedzieć. Każdy chce się ich pozbyć. Wyrzucić, stracić z oczu. Co się później dzieje? Tego nie chcemy wiedzieć. Byle nie zalegały w domu, w śmietniku pod blokiem. Wylądują gdzieś na jakimś wysypisku, może w spalarni. Jest recykling, ale ile z tego wszystkiego naprawdę się odzyskuje, nie wiemy. Każdy widział wyspy śmieciowe pływające gdzieś po oceanie – mamy nadzieję, że to daleko od nas i że ktoś się tym wreszcie zajmie.

A jak się ma do tej wyspy foliowa torebka, w którą zawinięto nam trzy ogórki w supermarkecie?

Tak, że w sumie śmieci to temat nieprzyjemny. Po „Książce o śmieciach" Stanisława Łubieńskiego również nie spodziewajmy się miłej lektury na dobranoc. Te oparte na badaniach naukowych, świetnie zresearchowane eseje uświadamiają katastroficzną wizję odpadów, którymi zarzuca planetę nasza nienasycona cywilizacja.

Zabójczy plastik, niezbędny plastik. Od greckiego słowa „plastikos", zbiorcza nazwa dla tysięcy polimerów. Wczesne wcielenie: bakelit (ciężkie czarne bakelitowe telefony – kto pamięta?) opatentowany w 1907 r. przez Leo Baekelanda. To był tylko niewinny debiutancki eksperyment. Masowa jednorazowość wybuchła na Zachodzie w latach 50. XX w. razem z gwałtownym rozwojem przemysłu tworzyw sztucznych. „Eksplozję ilustruje zdjęcie, które ukazało się w sierpniowym »Life Magazine« w 1955 roku – pisze Stanisław Łubieński. – Przedstawiało idealną amerykańską rodzinę. Blondyna, blondynkę i ich córeczkę [takie zdjęcie dzisiaj byłoby szczytem niepoprawności politycznej, nawet rasizmu – przyp. J.B.]. Bohaterowie są szczupli, młodzi i szczęśliwi. Zatrzymani w radośnie beztroskim geście rozrzucania plastikowych kubków, kubeczków, talerzyków, kubełków, tacek, misek, noży i czegoś tam jeszcze".

Tak się zaczynało. Euforia jednorazowości. Koszmar zmywania odsunięty na zawsze… To była oczywiście tylko reklamówka, i to amerykańska, ale ona rozpoczynała nową erę. Wszystko miało być wygodne, szybkie, łatwe. My przerabialiśmy to 40 lat później, gdy jednorazowość dotarła do nas w latach 90. Początkowo była atrakcyjna: piknik przy grillu czy ognisku w lesie…

Potem już było groźnie. I co dalej?

Ostatnie słowa książki: „W czasie pandemii produkujemy mniej śmieci i zmienia się ich skład. W obawie przed nieprzewidywalnym, przed chudymi miesiącami ludzie powstrzymują się od niepotrzebnych zakupów. […] Wirus może być pretekstem do przykręcenia śruby. Prawda jest jednak taka, że nie wiemy, jak będzie". ©℗

eprasa.pl dfe5ca67de

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

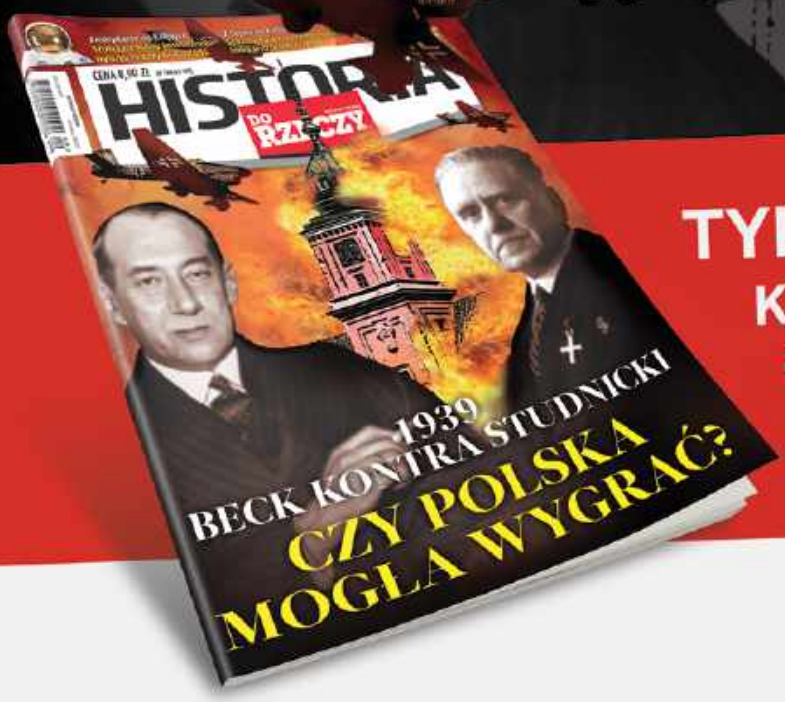

TYLKO U NAS!

Kulisy wielkiej afery szpiegowskiej II RP

Piotr Zychowicz – **Z Niemcami na Moskwę?**
Stanisław Żerko – **W obronie Józefa Becka**
Charles Fishman – **Amerykanie na księżycu**
Sławomir Koper – **Erotyczne skandale Kiepury**
Arkadiusz Karbowiak – **Jak zamordowano Mussoliniego**
Jacek Bartosiak – **Polacy na linii Niemna**
Sławomir Cenckiewicz – **Piłsudski i Rozwadowski**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl dfe5ca67de

WOJCIECH ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Nie dajmy się zwariować

Uczeni rozróżnili niedawno antropologię ograniczoną od nieograniczonej. Jest to rozróżnienie fundamentalne dla zrozumienia tego, co się dzieje z naszą cywilizacją.

Wedle tej pierwszej człowiek jest istotą o konkretnej tożsamości, danej przez naturę lub Boga. Wedle antropologii nieograniczonej człowiek stwarza się sam i może być tym, czym chce. W postaci umiarkowanej stanowiska te nie są jeszcze groźne. Musimy znać swoje możliwości, ale jeśli nie pragniemy ze swoim życiem zrobić niczego dobrego, to w świetle Ewangelii ciężko grzeszymy. Gorzej, jeśli człowiek nie zauważa granic swoich możliwości i wydaje mu się, że może być zawsze piękny, bogaty i młody, że może nie tylko poprawić swoją urodę, lecz także zmieniać płeć, role społeczne i zasady postępowania wedle własnego widzimisię. Słowem kluczem dla ludzi reprezentujących dziś doktrynę antropologii nieograniczonej jest „transgresja". Zachodzi jednak pytanie, jakie są granice przekraczania norm wyznaczonych przez biologię i zasady współżycia społecznego. Jeśli ktoś chce być drugim Einsteinem, to niech się pilnie uczy – może coś z tego będzie. Jeśli dziewczyna chce być piękna, to niech się stara, byle nie szkodziła sobie na zdrowiu. Jeśli mężczyzna ma problemy z tożsamością seksualną, co zdarza się w jakimś ułamku przypadków, oraz chce być kobietą, to wymaga szczególnej troski i opieki psychologicznej. Jeśli jednak biologiczny mężczyzna twierdzi, że jest kobietą, to trzeba go dokładnie przebadać, podobnie jak tego, który twierdzi, że jest Einsteinem, Napoleonem czy myszą.

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

Obserwując ostatnie, agresywne demonstracje zwolenników ideologii LGBT, zastanawiam się, na ile udało im się bezkarnie przenieść cały spór z płaszczyzny psychiatrii na płaszczyznę polityki. Tymczasem sytuacja, w której ktoś twierdzi, że jest kobietą, a jest naprawdę mężczyzną, wymaga specjalnej uwagi. Kiedy biologiczny mężczyzna kandyduje do parlamentu jako kobieta, istnieje podejrzenie popełnienia przestępstwa, polegającego na wprowadzeniu w błąd wyborców. Nawet jeśli część wyborców traktuje tę mistyfikację jako ideologiczną zabawę, to jest to mistyfikacja podlegająca ocenie prawnej i tyle. Tożsamość człowieka sprawdza się przy wielu okazjach: w banku, na poczcie czy przy głosowaniu. Podszywanie się pod kogoś innego rodzi poważne konsekwencje i musi być ścigane. Człowiek odpowiada za swe czyny jako konkretny obywatel lub obywatelka, a nie jako ktoś inny.

Istnieje oczywiście pewien rodzaj mistyfikacji lub zafałszowania osobowości, nawet niebędący sam w sobie przestępstwem, który jednak świadczy o zachwianiu poczytalności takiej osoby. Ktoś, kto ma w dowodzie osobistym wpisaną płeć męską, jest prawnie mężczyzną i jego pretensje do bycia kobietą winny być zbadane przez psychiatrę, gdyż przypominają urojenia ludzi, którym się zdaje, że posiedli wiedzę tajemną, że są kosmitami lub rycerzami okrągłego stołu. Twierdzenie, że tożsamość człowieka jest kwestią jego wyboru, a nie formalnego statusu prawnego, nieuchronnie prowadzi do ogromnych nadużyć. Tę prostą prawdę potwierdzi chyba każdy prawnik. Jeśli przestępca podaje się za kogoś innego, to obowiązkiem policji i prokuratury jest ustalenie, kim naprawdę jest. Podobnie jest, gdy dodatkowo ten ktoś ukrywa się za kolorową flagą i udaje poszkodowanego, prowokując innych niespełna rozumu do uznawania jego fałszywej tożsamości.

Dna absurdu sięgnęła „Gazeta Wyborcza", jęcząc, że pana Michała, który żąda, by go nazywać Margot, agresywnego faceta, uważającego się za kobietę, zamknięto w areszcie męskim. Istnieje coś takiego jak stan prawny. Jeśli delikwent ma papiery mężczyzny, to winien siedzieć z mężczyznami. Państwo musi chronić nas nie tylko przed oszustami, lecz także przed ludźmi niespełna rozumu, gdyż mogą oni być groźni dla otoczenia. Wspomniany przypadek nie byłby groźny nawet jako zachęta do dalszych prowokacji. Jest groźny, gdyż międzynarodowe gremia psychiatryczne, notabene nie wiadomo na jakiej podstawie, uznały, że urojenia seksualne nie są chorobą. W Polsce zaś politycy reprezentujący dużą część opozycji parlamentarnej upierają się, by owego chuligana, oskarżonego o niszczenie cudzego mienia i napaść fizyczną na drugiego obywatela, uważać za kobietę. Powinien on odpowiadać za swe czyny jako ktoś zarejestrowany pod określonym nazwiskiem, natomiast jako Margot nadaje się do badań psychiatrycznych.

W przeciwnym razie państwo, jak to ująłem w wywiadzie dla portalu wPolityce, będzie wkrótce zmuszane chronić ludzi uważających się za myszy przed kotami, a nie kierować ich na leczenie. Nie dajmy się zwariować. ©℗

eprasa.pl dfe5ca67de

FOT. W. CEJROWSKI LTD/B. MROZOWSKI

Brudny film

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Panie WC, a co pan tutaj robi? Pan się teraz zajmuje dziennikarstwem?

Nie. Dziennikarzem nigdy nie byłem i być nie chcę. Jestem pisarzem, utrzymuję się z prowadzenia różnorodnych biznesów (na trzech kontynentach) i dobrze mi z tym. Z wykształcenia jestem czeladnikiem ciesielskim oraz antropologiem, a z zawodu… trudno powiedzieć.

Przez 10 lat wywoziłem obornik i stawiałem płoty w stadninie koni wyścigowych – czy to się liczy jako zawód? Bo umiem bardzo sprawnie obchodzić się z końskimi odchodami, aż do etapu pakowania ich w worki i sprzedaży jako nawóz do gospodarstw ogrodniczych. I nie byłem kierownikiem tego biznesu, lecz pracownikiem fizycznym; a wieczorny prysznic miałem wliczony w godziny pracy. I zbudowali mi w tej stajni osobną kabinę, bo nikt inny nie chciał brać prysznica tam gdzie Gówniarz.

To słowo nie było obraźliwe – po prostu nazwa mojego stanowiska pracy. Pasowało mi do inicjałów WC, oddawało prawdę, a poza tym… Lubiłem te szepty za plecami, że „Gówniarz zarabia najwięcej z nas wszystkich". Lubiłem się też wtedy odwracać i stawać twarzą w twarz z osobnikiem szepczącym. Umiesz to zrobić lepiej ode mnie, to zrób. Masz ochotę na moją robotę, to ją bierz, a ja wezmę twoją. I za tydzień spotkamy się tu w identycznej sytuacji, bo ty nadal będziesz szeptał to samo co teraz, gnojku.

Byłem dumny z mojej roboty przy końskich odchodach, bo nikt przede mną ani nikt po mnie nie robił tego lepiej, sprawniej, szybciej, dokładniej.

Czasami jest jakaś brudna robota do wykonania i ktoś ją powinien wykonać. Chętnych jest niewielu i potem też nie ma orderów ani podziękowań. Stąd moja obecność.

***

Jak często dziękujesz swojemu szambiarzowi? Jak często podajesz mu rękę? Płacisz rachunek i chcesz, żeby szybko zniknął z tą swoją cuchnącą beczką. Taka jego robota i on jest przyzwyczajony do takich relacji z klientami. Hydraulikowi dziękują za dobrą robotę, a wybieranie szamba… Tej roboty nawet nikt nie odbiera – klient nie zagląda przez klapę, nie świeci na dno latarką i nie chwali, że doskonale wybrane, wszystko do samego dna. Klient w trakcie twojej roboty zamyka szczelnie okna i czeka, kiedy wreszcie odjedziesz. Taka jest robota szambiarzy i oni to wiedzą i biorą to z dumą na klatę.

***

Byli właśnie u mnie. Wybrali co trzeba.

Amerykańskie szamba wybiera się raz na trzy, czasem raz na pięć lat. Tak! Bo to są szamba trzykomorowe, z jednej komory przelewa się do drugiej, potem do trzeciej, a w tej trzeciej jest pompa do podlewania trawnika i woda w zasadzie czysta. W amerykańskim szambie pracują bakterie, które przerabiają zawartość na same siebie, dwutlenek węgla i wodę. To, co (bardzo powoli) osadza się na dnie pierwszej komory, to zwłoki tych bakterii oraz różne resztki, ale już nie te… podstawowe, które spuszczałeś z muszli, bo tym zajęły się bakterie i zjadły.

Byli więc u mnie szambiarze, jakieś pięć lat od poprzedniej wizyty. Wybrali co trzeba, a potem ja zajrzałem do wszystkich trzech komór, poświeciłem latarką, pochwaliłem, że ładnie wybrane do samego dna, na czysto, a potem jeszcze dodatkowo przemyte wodą ze szlaucha.

– Poprzednim razem zostawili tu Panowie jedną parę rękawic – powiedziałem, oddając im wielkie, grube rękawice szambiarskie sięgające do łokcia.

– Nie wyrzucił ich Pan?

– Nie. Umyłem, odłożyłem na bok w garażu i tak czekały na powrót Szanownych Panów.

– Trzeba było wywalić.

– Nie moje, to nie wywaliłem.

– Ale… To są rękawice jednorazowe.

– Takie grube i mocne? Stosowałem je czasami w ogrodzie, gdy musiałem walczyć z gniazdem czerwonych mrówek lub os.

– Są zdecydowanie jednorazowe.

– Hm.

– Może je Pan spokojnie zatrzymać. Mamy je wliczone w cenę.

Skoro tak, to zatrzymałem. Są bardzo dobre do niebezpiecznej roboty z robactwem.

***

Wkrótce po wizycie szambiarzy nagrałem ten brudny film wyborczy, który Państwo pewnie znają z sieci i wielu zniesmaczył. Mnie też, ale nagrałem. Bo czasami jest jakaś brudna robota do wykonania i ktoś ją powinien wykonać. Są też sprawy do załatwienia, których nie da się zrobić w białych rękawiczkach; nie da się wykonać i przy okazji się nie upaprać. Mimo to ktoś tę robotę powinien wykonać. Dobra robota nie zawsze jest czysta. I nie musi być. To gra ma być czysta – robota niekoniecznie. Udawanie, że zawartość szamba to koktajl z truskawkami, byłoby głupie.

baj,
wc

PS

Koktajl też potrafię zrobić – byłem barmanem na plażach w Belize i Meksyku – ale to osobna historia na inną okazję. Może za tydzień. ©℗

eprasa.pl dfe5ca67de

PRENUMERATA 2020 W CENIE 2019

TYGODNIK POLSKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIK „DO RZECZY"

WERSJA PAPIEROWA TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

NOWOŚĆ!

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

SŁAWOMIR KOPER „SEKRETNE ŻYCIE AUTORÓW LEKTUR SZKOLNYCH. NIE TACY ŚWIĘCI JAK ICH MALUJĄ"

~~337 ZŁ~~ > **139,00 ZŁ** < OSZCZĘDNOŚĆ 198 ZŁ

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR. 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10, 539 953 631** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl dfe5ca67de

eDO App

Sprawdza się w każdej sytuacji

ZDALNE POTWIERDZANIE TOŻSAMOŚCI

AUTOMATYCZNA WERYFIKACJA ORYGINALNOŚCI DOWODU OSOBISTEGO

PODPIS ELEKTRONICZNY

KORZYSTANIE Z USŁUG E-URZĘDÓW

*Dowiedz się więcej na **www.edoapp.pl**

Bezpłatna aplikacja eDO App to najnowszy produkt IT w portfolio PWPW S.A., dostępny dla każdego posiadacza dowodu osobistego z warstwą elektroniczną oraz smartfona z modułem NFC*.

Jest ona prostym i wygodnym sposobem na korzystanie z e-dowodu bez użycia czytnika. Pozwala zdalnie potwierdzić tożsamość własną lub klienta, a także bezpiecznie zawierać umowy i podpisywać dokumenty.

eprasa.pl dfe5ca67de